This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

PISMA
H. SIENKIEWICZA

82c172

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA.

Pisma
Henryka Sienkiewicza.

TOM I.

Stary sługa.
Hania.
Szkice węglem.
Janko muzykant.

WYDANIE TRZECIE.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1884.

I.K

PG7158
S4
1883
v.1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Октября 1883 года.

Warszawa.—Druk S. Niemiery, Włodzimierska N. 2 l. A.

I.

STARY SŁUGA.

STARY SŁUGA.

Obok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziéj z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiéj Suchéj Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po ś. p. rodzicu swoim, przy którym za czasów Napoleońskich wojen był ordynansem. Kiedy w służbę do dziada mojego nastał, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał.

— Ta, byłem jeszcze gołowąsem, a i pan pułkownik, Panie świeć nad jego duszą, jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencerzem, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusu; nakręcał zegary, ale przedewszystkiém zrzędził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczéj, jak mruczącego. Mruczał na ojca mego, na matkę: ja bałem się go jak ognia, choć go lubiłem; w kuchni wyrabiał brewerye z kucharzem, chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zapruszył głowę, co stale zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą passyą.

— Oglądaj się, oglądaj — mruczał—to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talérz. Czego gębę otwierasz? co? Widzicie go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy prowadzonéj przy stole, stale się wtrącał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie od tego. A niech-ta koniska nogi połamią na takiéj drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem!—wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, żem nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżéj gospodyni z Niewodowa, a państwoby nie mieli jechać na wizytę. Albo to wizyta gorsza od księżéj gospodyni? Wolno słudze, wolno i panu.

I tak szło już w kółku bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i brat mój młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcéj niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcéj niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdéj „panienka,“ choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonii. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało po lekcyach, wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się jak mogę najgrzeczniéj, przymilam jak najuprzejmiéj i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ściérkę przypaszę i basta.

A potém przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiéjbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcye—odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcye. Hę! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc szukał już po kieszeniach). Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy że się to wszystko na licha nie zdało; potém zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak onto ten pistolet trzyma—mówił—jak cyrulik s....gę. Gdzie tobie świece gasić, chyba jak dziadowi w kościele. Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Częstokroć po obiedzie, ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potém choć jego jednego najwięcéj bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje jak stara krowa.

Ja jako najstarszy, najbardziéj byłem pod jego komendą najwięcéj téż cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołaisko, gdy oddawano mnie do szkół, buczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potém jeszcze bardziéj stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: „Wzięli dziecko i wywieźli, mówił. A niechta umrze! Uu! u! A jemu poco szkoły. Aboto on nie dziedzic. Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko i pojechało, a ty stary łaź po kątach i szukaj czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało.“

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasném światłem, barwiącém na różowo śnieg leżący pod przyźbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczególną. Ot poprostu, nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny i karności szkolnéj, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowéj milczącéj miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj, z nosem zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącéj śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: „paniczku złoty najdroższy!“ Jak krzyknie i stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyna ściskać i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potém darować mi téj śmietanki: „człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę, mówił, a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał...“ i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniéj obiecywał mi dać w skórę, za dwa mierne z kaligrafii i z niemieckiego jakie z sobą przyniosłem; ale z jednéj strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiéj interwencya mojéj słodkiéj matki, a nakoniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie! Mikołaj o kaligrafii nie wiedział coby to było za stworzenie, a o karze za niemiecki, ani chciał słyszeć.

— A cóżto, on luter jest, czy szwab jaki—mówił. Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umié? co? Jakeśmy spotkali niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i dyabeł wié nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i, pada, tyle.

Stary Mikołaisko miał jeszcze jednę właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w staréj głowie fakta mieszały się mu jedne z drugiemi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego pułkownika, a święcie sam wierzył w to co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyzniaków młócących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopi zawieszali robotę i poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawianemi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegł i w krzyk:

— Czegożeście wytrychtowali na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu łupu! cupu! łupu! cupu! Słychać było przez jakiś czas odgłos cepów uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Pisze mi mój syn, że właśnie został generałem u królowéj Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żołd, pada, bierze wysoki, tylko, pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który do-

szedłszy lat, nabroił Bóg wié co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu; córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamuciła się ze wszystkimi oficyalistami, jacy tylko byli we wsi i wreszcie wydawszy na świat córkę, umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna, ale słabowita dziewczynka. Nieraz, pamiętam, bawiliśmy się razem w żołnierze: Hania bywała doboszem, a pokrzywy naszemi nieprzyjaciołmi. Dobra była i łagodna jak anioł. Czekała ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam słyszałem go opowiadającego, że jak raz rozhukały się konie ułanom w Maryampolu, to ośmnaście tysięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień nim je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje:

— Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić. Raz pamiętam, była wojna z Austryakiem. Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu, mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelny wódz, niby chce powiedzieć, od Austryaków, od strony przeciwnéj i pada: „Ej ty Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli.“

— A o pułkowniku nie wspomniał?—zapytał mój ojciec.

— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwił i rzekł:

cieranie nóg, chrząkanie i mruczenie półgłosem, po którym natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie był to Mikołaj, przeziębnięty, wychudzony, zmęczony, z soplami lodu na wąsach, prawie do siebie niepodobny.

— Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu?

— Co robił, co robił—mruczy Mikołaj. Co miałem robić? Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go takoż nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to on nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili, że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czyto on wójt? Pojechał do gubernii. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do gubernii i oddałem mu list.

— No i dał ci odpowiedź?

— Dał, nie dał. Jużci dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. Pan twój, pada, prosił mnie na polowanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada, po polowaniu. I znowu się śmiał. Oto jest list. Dlaczego się nie miał śmiać? Albo...

— I cóżeś ty jadł przez ten czas?

— To i cóż, że od wczoraj nie jadłem. Albo to ja tu głód cierpię. Albo to mi łyżki strawy żałują? Nie jadłem, to będę jadł....

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale ile razy go gdzie wysyłano, za-

wsze mu mówiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w kilka miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta, za kupnem koni fornalskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

— Co tobie jest, Mikołaju?

— Pobiłem się—odburknął krótko.

— Wstydź się stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz. Stary a głupi! Wiész ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę. Wstydź się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład.

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał jak pień. Widocznie stary zaciął się. Napróżno dopytywali go inni, jak i co to było? Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Nazajutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się pan Zoll, nasz dawny karbowy i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył

Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieńcem, a gdy pan Zoll dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczasto karbowy, wraz z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

Ojcu memu, gdy usłyszał to opowiadanie, łzy zakręciły się w oczach. Nie mógł sobie darować, że wyburczał Mikołaja, który naumyślnie o całéj sprawie zamilczał. Gdy wyzdrowiał, ojciec poszedł mu robić wymówki. Stary początkowo nie chciał się przyznać do niczego i według zwyczaju mruczał, ale potém rozczulił się i popłakali się razem z ojcem, jak bobry. Zolla wyzwał ojciec za tę sprawę na pojedynek, który niemiec długo popamiętał.

Jednakże, gdyby nie doktor, poświęcenie Mikołaja pozostałoby w ukryciu. Tego doktora swoją drogą Mikołaj przez długi czas nienawidził. Była to rzecz taka: miałem śliczną i młodą cioteczkę, siostrę ojca, która mieszkała przy nas. Kochałem ją bardzo, bo była równie dobra jak piękna i bynajmniéj mnie nie dziwiło, że kochali ją wszyscy, a między wszystkiemi i doktor, człowiek młody, rozumny i w całéj okolicy nadzwyczaj poważany. Mikołaj poprzednio lubił doktora, mawiał nawet o nim, że to łebski chłopak i że dobrze na koniu siedzi; ale gdy doktor począł bywać u nas w widocznych zamiarach względem cioci Maryni, uczucia Mikołaja dla niego zmieniły się do niepoznania. Zaczął być dla niego grzeczny, ale chłodny, jak dla człowieka zupełnie obcego. Dawniéj, nieraz, bywało zrzędził i na niego. Gdy czasem zasiedzał się u nas zbyt długo, Mikołaj ubierając go na drogę szemrał: „Coto po nocy się tłuc. To się na nic nie zdało: czy to kto kiedy widział!“

Teraz przestał zrzędzić, ale natomiast milczał jak skamieniały. Poczciwy doktor zrozumiał wkrótce o co idzie i jakkolwiek uśmiechał się jak dawniéj do starego dobrotliwie, przecież myślę, że w duszy musiało mu to być przykro.

Szczęściem jednak dla młodego Eskulapa, ciocia Marynia żywiła dla niego uczucia wprost Mikołajowym przeciwne; stało się więc pewnego pięknego wieczora, że gdy księżyc świecił w sali bardzo ładnie, gdy zapach jaśminu wchodził przez otwarte okna z ogrodowych klombów, a ciocia Marynia śpiewała przy fortepianie: „Io questa notte sogno," doktorek Staś zbliżył się do niéj i spytał ją drżącym głosem, czy sądzi że on żyć bez niéj potrafi? Ciocia wyraziła oczywiście swoje powątpiewania w tym względzie, poczém nastąpiły wzajemne zaklęcia, wzywanie księżyca na świadka i wszystkie tym podobne rzeczy, jakie się zawsze w takich razach dziać zwykły.

Na nieszczęście, w téj chwili właśnie wszedł Mikołaj z zamiarem proszenia na herbatę. Gdy ujrzał co się dzieje, pobiegł natychmiast do ojca, a ponieważ ojca nie było w domu, bo obchodził na folwarku zabudowania, udał się więc do matki, która ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem prosiła go, żeby się do tego nie wtrącał.

Skonfundowany Mikołaj milczał już gryząc się wewnętrznie przez resztę wieczora; ale gdy ojciec przed udaniem się na spoczynek, poszedł jeszcze do kancelaryi dla napisania jakichś listów, Mikołaj udał się za nim i stanąwszy przy drzwiach, począł chrząkać znacząco i szurgać nogami.

— Czego tam Mikołaj chce?—spytał ojciec.

— Ato tego... Jakże się nazywa? Ato ja chciałem się pana spytać, czy to prawda, że panienka nasza się... żeni, chciałem powiedzieć: idzie za mąż?

— Prawda. Alboż co?

— A bo to nie może być, żeby panienka wyszła za tego... pana cyrulika.

— Co za cyrulik? Czy Mikołaj oszalał. Że też Mikołaj musi wszędzie wścibić swoje trzy grosze!

— A cóżto, panienka, to nie nasza panienka; czyto nie córka pana pułkownika? Pan pułkownik nigdyby na to nie pozwolił. Czyto panienka nie warta dziedzica i pana z panów. A doktor to z przeproszeniem co? Na śmiech ludzki się panienka poda.

— Doktor to mądry człowiek.

— Mądry, nie mądry. Czyto ja mało doktorów widziałem? Chodzili to po obozie, kręcili się to po sztabie, a jak co do czego, jak do bitwy, to ich niéma. Alboto pan pułkownik raz ich nazywał lancetnikami. Jak człowiek zdrów, to on go nie ruszy, a jak leży nawpół żywy, to on dopiero do niego z lancetem. To nie sztuka krajać takiego, co nie może się bronić, bo nic w garści nie może utrzymać. Spróbuj ty go ukrajać, kiedy on zdrów i trzyma karabin. Oj jej! wielka rzecz ludziom po kościach nożem chodzić! To się na nic nie zdało! A pan pułkownik chybaby z grobu wstał, żeby się o tém dowiedział. Co mi-to za żołnierz, doktor! Albo taki też i dziedzic! To nie może być! Panienka za niego nie pójdzie. To nie jest według przykazania. Komu-to tu po panienkę sięgać?

Na nieszczęście Mikołaja, doktor nie tylko po panienkę sięgnął, ale jéj nawet dosięgnął. W pół roku potém nastąpiło wesele i panna pułkownikówna oblana

potokiem łez krewnych i domowników w ogólności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dolę z doktorem.

Mikołaj do niéj urazy nie chował, bo nie mógł długo chować: zbyt ją kochał, ale jemu nie chciał przebaczyć. Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska, i w ogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem jak najszczęśliwsza. Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potém już naprzemiany, jak zapisał. Mikołaj dzieci to kochał jak własne, obnosił je na ręku, pieścił, całował; że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorycz, z powodu *mezaliansu* cioci Maryni, zauważyłem te jeszcze niejednokrotnie. Raz, pamiętam, w święta Bożego Narodzenia zasiedliśmy do wilii, gdy nagle zdala po grudzie dał się słyszeć turkot powozu. Spodziewaliśmy się zawsze mnóstwa krewnych, dlatego ojciec rzekł:

— Niech Mikołaj wyjrzy, kto tam jedzie?

Mikołaj wyszedł i powrócił wkrótce z radością na twarzy.

— Panienka jedzie! wykrzyknął z daleka.

— Kto taki?—spytał mój rodzic, choć wiedział już o kim mowa.

— Panienka!

— Jaka panienka?

— Nasza panienka—odparł stary.

I trzeba było widzieć tę panienkę, jak wchodziła do pokoju z trojgiem dzieci. Śliczna mi panienka! Swoją drogą stary umyślnie nigdy jéj inaczej nie nazywał.

Ale wreszcie skończyła się i jego niechęć do doktora Stasia. Zachorowała mu ciężko Hania na tyfus.

Były to i dla mnie dni strapienia, bo Hania była moją rówieśnicą i jedyną towarzyszką zabaw, kochałem ją więc prawie jak siostrę. Owóż doktor Staś, trzy dni prawie nie wychodził z jéj pokoju. Stary który Hanię kochał całą siłą duszy, przez czas jéj choroby chodził jak struty; ani jadł, ani spał; siedział tylko u drzwi jéj pokoju, bo do łóżka nikomu, prócz mojéj matki, nie wolno było przystąpić i żuł twardą żelazną boleść, która rozrywała mu piersi. Była to dusza zahartowana zarówno na trudy ciała, jak i na ciosy niedoli, a jednak mało się nie ugięła pod brzemieniem rozpaczy, przy łożu jednego dziewczątka. Aż gdy wreszcie po wielu dniach śmiertelnéj bojaźni, doktor Staś otworzył cicho drzwi od pokoju choréj i z promienną szczęściem twarzą, wyszeptał do oczekujących wyroku w przyległéj izbie, jeden mały wyraz: „uratowana!" stary nie wytrzymał, ale ryknął jak żubr i rzucił mu się do nóg, powtarzając tylko ze łkaniem: „dobrodzieju mój! dobrodzieju!"

Hania rzeczywiście szybko potém wyzdrowiała: doktor Staś oczywiście został oczkiem w głowie starego.

— Łebski człowiek—powtarzał muskając sumiaste wąsy—łebski człowiek. I na koniu dobrze siedzi i gdyby nie on, toby Hania... ot! nie chcę nawet wspominać. Na psa urok!

Ale w rok jaki potém zdarzeniu począł zapadać sam stary. Prosta i silna postać jego pochyliła się. Zgrzybiał bardzo, przestał marudzić i kłamać. W końcu dobiegłszy prawie dziewięćdziesięciu lat życia, zdziecinniał całkowicie. Robił tylko sidła na ptaszki i chował ich mnóstwo, zwłaszcza sikorek w swojéj stancyi. Na kilka dni przed śmiercią nie odróżniał już ludzi; ale w sam dzień śmierci dogorywająca lampa jego umy-

słu, zaświeciła raz jeszcze jasném światłem. Pomnę, że rodzice moi, dla zdrowia matki, byli wtedy za granicą. Pewnego wieczoru siedziałem przed kominkiem z bratem młodszym Kaziem i z księdzem, który także bardzo się już był posunął. Wicher zimowy z tumanami śniegu tłukł w szyby; ksiądz Ludwik modlił się, ja zaś z pomocą Kazia opatrywałem broń na jutrzejszą ponowę. Nagle dali nam znać, że stary Mikołaj kona. Ksiądz Ludwik ruszył natychmiast do domowéj kaplicy po Sakramenta, ja zaś pobiegłem co tchu do starca. Leżał na łóżku blady już bardzo, żółty i prawie stygnący, ale spokojny i przytomny. Piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami: głowa starego żołnierza i uczciwego człowieka. Światło gromnicy rzucało trumienny blask na ściany pokoiku. Po kątach kwiliły chowane sikorki. Starzec jedną ręką przyciskał do piersi krucyfiks, drugą dłoń jego potrzymywała i okrywała pocałunkami bledziuchna, jak kwiatek lilii, Hania. Wszedł ksiądz Ludwik i zaczęła się spowiedź; potém umierający zażądał mnie widzieć.

— Niéma mojego pana i ukochanéj pani—wyszeptał—więc ciężko mi umierać. Ale wy jesteście, paniczu złoty, dziedzicu mój... Opiekujcie się tą sierotą... Bóg wam nagrodzi. Nie gniewajcie się... Jeślim co zawinił... przebaczcie. Bywałem przykry, ale wierny...

Nagle rozbudzony na nowo, zawołał mocniejszym głosem i z pośpiechem, jakby mu już brakło tchu!

— Paniczu!... Dziedzicu!... moja sierota!... Boże, w ręce... Twoje..,

— Polecam ducha, tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka!—dokończył uroczyście ksiądz Ludwik.

Starzec już nie żył.

Uklękliśmy i ksiądz począł głośno czytać modlitwy za umarłych.

Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile poczciwego sługi porosły bujnie wrzosy cmentarne. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojéj wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie; ja piórem na gorzki chléb powszedni zarabiam, a Hania....

Hej! łzy się kręcą!

II.

HANIA.

HANIA.

I.

Kiedy stary Mikołaj, umierając zostawił Hanię opiece i sumieniu memu, miałem wówczas lat szesnaście; ona zaś, młodsza niespełna o rok, również wychodziła zaledwie z lat dziecinnych.

Od łoża zgasłego dziadka odprowadziłem ją prawie przemocą i oboje udaliśmy się do naszéj domowéj kaplicy. Drzwi jéj były otwarte; przed starym bizantyjskim obrazem Matki Bożéj paliły się dwie świéce, których blask słabo tylko rozwidniał mrok panujący w głębi ołtarza. Klęknęliśmy jedno obok drugiego. Złamana bolem, zmęczona łkaniem, bezsennością i żalem dziecina, oparła swą biédną główkę o moje ramię i tak pozostawaliśmy w milczeniu. Godzina była późna; w sali przyległéj do kaplicy, na starym gdańskim zegarze kukułka wykukała chrapliwym głosem godzinę drugą po północy; wszędy panowała głęboka cisza, przerywana tylko odległym szumem śnieżnéj zawiei, wstrząsającéj ołowianą oprawą okienek w kaplicy i bolesnemi westchnieniami Hani. Nie śmiałem się ozwać do niéj ża-

dném słowem pociechy, tuliłem ją tylko do siebie, jakby już opiekun, albo brat starszy. Nie mogłem się jednak modlić; tysiączne wrażenia, uczucia rozkołysały mi serce i głowę! różnorodne obrazy przesuwały mi się przed oczyma, ale powoli z tego zamętu wyłaniała się jedna myśl i jedno uczucie, oto, że ta bledziuchna twarzyczka z przymkniętemi oczyma, wsparta na mojém ramieniu, ta bezbronna, biédna maleńka istota, staje mi się teraz ukochaną siostrą, za którą oddałbym życie i za którą, gdyby była potrzeba, rzuciłbym rękawicę całemu światu.

Tymczasem nadszedł brat mój młodszy Kazio i klęknął za nami, a potém ksiądz Ludwik i kilkoro ludzi ze służby. Odmawialiśmy pacierz wieczorny, wedle codziennego u nas zwyczaju. Ksiądz Ludwik czytał głośno modlitwy, a my powtarzaliśmy je za nim lub odpowiadaliśmy chórem w litanią; ciemna zaś twarz Matki Boskiéj z dwoma cięciami szabli na policzku, poglądała na nas dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych naszych troskach, zmartwieniach, doli i niedoli, i błogosławić wszystkich u Jej stóp zebranych. Przy modlitwie, gdy ksiądz Ludwik zaczął wymieniać zmarłych, za których odmawialiśmy zwykle „wieczny odpoczynek“ i dołączył do nich imię Mikołaja; Hania poczęła łkać głośno nanowo, ja zaś wykonałem sobie w duszy cichą przysięgę, że zobowiązań, jakie na mnie włożył nieboszczyk, święcie dochowam, choćby mi to kosztem największych ofiar wykonać przyszło. Był to ślub młodego egzaltowanego chłopaka, nie rozumiejącego jeszcze ani możliwéj wielkości ofiar, ani odpowiedzialności, ale nie pozbawionego szlachetnych porywów i tkliwych uniesień duszy.

Po skończonym pacierzu rozeszliśmy się na spoczynek. Poleciłem staréj Węgrowskiéj, gospodyni, aby odprowadziła Hanię do pokoiku, w którym odtąd miała mieszkać, nie zaś, jak zwykle, do garderoby, i żeby pozostała z nią razem przez całą noc; sam zaś, ucałowawszy serdecznie sierotkę, udałem się do oficyny, w któréj mieszkałem razem z Kaziem i księdzem Ludwikiem, a którą nazywano w domu stancyą. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Mimo żalu za Mikołajem, którego kochałem serdecznie, czułem się dumny i szczęśliwy niemal ze swojej roli opiekuna. Podnosiło mnie to we własnych oczach, że ja szesnastoletni chłopak, miałem już być podporą dla jednéj słabéj i biednéj istoty. Czułem się mężczyzną. Nie zawiedziesz się poczciwy starcze, myślałem sobie, na twym paniczu i dziedzicu: w dobre ręce złożyłeś przyszłość twojéj wnuczki i możesz spać spokojnie w mogile. Istotnie o przyszłość Hani byłem spokojny. Myśl, że Hania zczasem dorośnie i że trzeba ją będzie wydać zamąż, nie przychodziła mi wtedy do głowy. Myślałem sobie, że zawsze zostanie przy mnie, otoczona staraniami jak siostra, kochana jak siostra, smutna może, ale spokojna. Wedle odwiecznego zwyczaju, najstarszy syn brał przeszło pięć razy tyle majątku, ile młodsze rodzeństwo; młodsi zaś synowie i córki szanowali ten zwyczaj i nigdy nie występowali przeciw niemu, jakkolwiek nie było w rodzie naszym prawnego majoratu. Byłem najstarszym synem rodziny, a zatem większość majątku miała w przyszłości należeć do mnie; jakkolwiek więc student jeszcze, poglądałem już nań, jak na swoję własność. Ojciec należał do majętniejszych w okolicy obywateli. Ród nasz nie odznaczał się wprawdzie boga-

ctwem magnatów, ale ową wielką staroszlachecką zamożnością, dającą chleba wbród i żywot cichy, dostatni, w rodzinném gnieździe aż do śmierci. Miałem więc być względnie bogaty i dlatego ze spokojem patrzyłem w przyszłość tak swoję, jak i Hani, wiedząc, że jakakolwiek dola ją czeka, zawsze przy mnie znajdzie spokój i oparcie, jeżeli go będzie potrzebować.

Z temi myślami usnąłem. Nazajutrz rano począłem wprowadzać w czyn powierzoną mi opiekę. Ale w jakiżto czyniłem sposób śmieszny i dziecinny! a jednak dziś, gdy to sobie przypomnę, nie mogę się oprzeć pewnemu rozczuleniu. Gdy przyszliśmy z Kaziem na śniadanie, zastaliśmy już siedzących przy stole: księdza Ludwika, madame d'Yves, naszą guwernantkę i dwie moje małe siostrzyczki, siedzące, jak zwykle, na wysokich trzcinowych krzesłach, przebierające nóżkami i gwarzące wesoło. Rozsiadłem się z nadzwyczajną powagą na krześle ojca i rzuciwszy okiem dyktatora na stół, zwróciłem się do posługującego chłopaka i rzekłem sucho a rozkazująco:

— Nakrycie dla panny Hanny.

Na wyrazie „panna“ położyłem umyślny nacisk.

Tego dotąd nigdy nie bywało. Hania zwykle jadała w garderobie, bo jakkolwiek matka moja życzyła sobie aby siadała razem z nami, stary Mikołaj nigdy na to nie chciał pozwolić, powtarzając: „Na co to się zdało; niech zna mores dla państwa. Jeszcze czego!“ Teraz ja wprowadziłem nowy zwyczaj. Poczciwy ksiądz Ludwik uśmiechnął się, pokrywszy uśmiech szczyptą tabaki i fularową chustką od nosa; pani d'Yves skrzywiła się, bo mimo dobrego serca, jako pochodząca ze staréj rodziny szlacheckiéj francuzkiéj, wielką była

arystokratką; chłopak zaś usługujący Franciszek, otworzył szeroko usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nakrycie dla panny Hanny! czy słyszysz? — powtórzyłem.

— Słucham wielmożnego pana—odpowiedział Franciszek, któremu widocznie zaimponował ton, jakim do niego mówiłem.

Dziś wyznaję, że i „wielmożny pan“ zaledwie mógł powstrzymać uśmiech zadowolenia, jaki na usta jego wywoływał nadawany mu poraz pierwszy w życiu ten tytuł. Powaga jednak nie pozwoliła wielmożnemu panu się uśmiechnąć. Tymczasem nakrycie za chwilę było gotowe, otworzyły się drzwi i weszła przez nie Hania; ubrana w czarną suknię, którą przez noc uszyły jéj panna służąca i stara Węgrowska: blada. ze śladami łez na oczach i ze swemi długiemi złotemi warkoczami, które spływały po sukience i kończyły się wstążeczkami z czarnéj żałobnéj krepy, wplecionéj między promienie włosów.

Powstałem i pobiegłszy ku niéj, przyprowadziłem ją do stołu. Starania moje i cały ów splendor zdawały się tylko zawstydzać, mieszać i męczyć dziecinę; ale nie rozumiałem jeszcze wówczas, że w chwili smutku, cichy, samotny, odludny kącik i spokój więcéj jest wart, niż hałaśliwe owacye przyjaciół, choćby z najlepszego serca płynące. Dręczyłem tedy Hanię w najlepszéj wierze swoją opieką, sądząc, że wywiązuję się ze swego zadania doskonale. Hania milczała i tylko od czasu do czasu odpowiadała na moje pytania: co będzie jadła i piła?

— Nic, proszę łaski panicza.

Zabolało mnie owo: „proszę łaski panicza,“ témbardziéj, że zwykle Hania była ze mną poufalsza i mówiła mi poprostu: „paniczu.“ Ale właśnie rola, jaką odgrywałem od wczoraj i odmienne warunki, w jakich postawiłem Hanię, czyniły ją tém nieśmielszą i pokorniejszą. Zaraz po śniadaniu wziąłem ją na bok i rzekłem:

— Haniu, pamiętaj, że odtąd tyś moją siostrą. Odtąd nie mów mi nigdy: proszę łaski panicza.

— Dobrze, proszę łask... dobrze paniczu.

Byłem w dziwném położeniu. Chodziłem z nią po pokoju i nie wiedziałem co z nią mówić. Radbym był ją pocieszał, ale na to trzeba było wspomnieć Mikołaja i wczorajszą śmierć jego, coby Hanię do nowych łez przywiodło i byłoby tylko odnowieniem boleści. Skończyło się więc na tém, że siedliśmy oboje na nizkiéj kozetce, stojącéj w końcu pokoju; dziecina znowu oparła główkę o moje ramię, ja zaś począłem gładzić ręką jéj złote włoski.

Tuliła się do mnie rzeczywiście, jak do brata, i może owe słodkie uczucie ufności powstające w jéj sercu, wywołało nowe łzy w jéj oczach. Płakała rzewnie, ja zaś pocieszałem ją jakem umiał.

— Znowu płaczesz, Haniulko? — mówiłem — dziadek twój w niebie, a ja się będę starał...

Nie mogłem i ja mówić dłużéj, bo i mnie się na łzy zbierało.

— Paniczu, mogę ja do dziadzi?—wyszeptała.

Wiedziałem, że przyniesiono trumnę i że teraz właśnie kładziono w nią Mikołaja; dlatego niechciałem, żeby Hania poszła do ciała dziadka piérwéj, nim wszystko będzie gotowe. Ale za to poszedłem sam.

Po drodze spotkałem panią d'Yves, którą prosiłem żeby zaczekała na mnie, ponieważ potrzebuję z nią chwili rozmowy. Wydawszy ostatnie rozporządzenia pogrzebowe i pomodliwszy się u zwłok Mikołaja, wróciłem do Francuzki i po kilku wstępnych słowach, prosiłem ją, czyby po niejakim czasie, kiedy pierwsze tygodnie żałoby przejdą, nie chciała dawać Hani lekcyi francuzkiego i muzyki.

— *Monsieur Henri*,—odpowiedziała pani d'Yves, którą widocznie gniewało, że rozporządzam się wszędzie, jak szara gęś po niebie—ja uczyniłabym to najchętniej, bo kocham bardzo tę dziewczynkę, ale nie wiem, czy to leży w zamiarach rodziców pana, jak również nie wiem, czy zgodzą się na rolę, jaką pan usiłujesz samowolnie nadać wśród waszéj rodziny téj maleńkiéj. *Pas trop de zèle, monsieur Henri.*

— Ona jest pod moją opieką—odrzekłem wyniośle—i ja za nią odpowiadam.

— Ale ja nie jestem pod opieką pana—odparła pani d'Yves—i dlatego pozwoli pan, że zaczekam aż do powrotu pańskich rodziców.

Rozgniewał mnie ten upór Francuzki, ale szczęściem, nierównie lepiéj poszło mi z księdzem Ludwikiem. Poczciwy księżysko, który i tak poprzednio już uczył Hanię, nietylko że się zgodził na dalsze i obszerniejsze jéj kształcenie, ale jeszcze pochwalił mnie za moję gorliwość.

— Widzę—mówił—że szczerze bierzesz się do spełnienia swego zadania, a jakkolwiek jesteś młodym i dziecko jeszcze, ale ci się to pochwala; pamiętaj tylko, tak być wytrwałym. jak gorliwym.

I widziałem, że ksiądz kontent był ze mnie. Rola pana domu, jaką sobie nadawałem, bawiła go raczej, niż gniewała. Widział staruszek, że dużo było w tém wszystkiém dzieciństwa, ale powody uczciwe, więc dumny był i cieszył się z tego, że jego posiéw rzucony w moję duszę, nie marniał. Zresztą kochał mnie stary ksiądz bardzo; ja zaś, o ile z początku, za lat zupełnie dziecinnych, bałem się go z całéj duszy, o tyle teraz, w miarę jak dochodziłem do lat młodzieńczych, zawojowywałem go coraz bardziéj. Miał do mnie słabość, więc pozwolił sobą powodować. Hanię téż kochał i rad był los jéj, o ile leżało w jego mocy, polepszyć, z jego więc strony nie spotkałem najmniejszego oporu. Pani d'Yves w gruncie rzeczy miała dobre serce, i również, jakkolwiek trochę na mnie rozgniewana, otoczyła Hanię troskliwością. Jużto na brak serc kochających, nie mogła się sierota uskarżać. Służba nasza poczęła ją traktować inaczéj: nie jak koleżankę, ale jak panienkę. Wola najstarszego syna w rodzinie, choćby nawet i dziecka, była u nas bardzo szanowana. Tego wymagał i mój ojciec. Od téj woli służyło prawo apelacyi do starszego pana i starszéj pani, ale nie wolno było sprzeciwiać się jéj bez upoważnienia. Najstarszemu synowi również nie wolno było mówić inaczéj, jak „paniczu“ od najmłodszych lat jego. Służba, równie jak i młodsze rodzeństwo, wdrażane było do szacunku dla najstarszego, a szacunek ten pozostawał potém na całe życie. „Tém stoi rodzina,“ mawiał mój ojciec, i istotnie, skutkiem tego, dobrowolny, a nie oparty na prawie układ rodzinny, mocą którego najstarszy miał więcéj majątku od młodszych, utrzymywał się oddawna. Była to rodzinna tradycya, przechodząca z pokolenia na poko-

lenie. Ludzie przywykli byli patrzeć na mnie jak na przyszłego pana, a uczuciu temu nawet nieboszczyk stary Mikołaj, któremu wszystko było wolno i który jeden tylko nazywał mnie po imieniu, nie mógł się do pewnego stopnia oprzéć.

Matka trzymała w domu apteczkę i sama nawiedzała chorych. W czasie cholery spędzała całe noce w chatach włościańskich wraz z doktorem, narażając się na śmierć niechybną, a ojciec, który o nią drżał, przecie jéj tego nie bronił, powtarzając: „obowiązek, obowiązek.” Zresztą i sam ojciec, lubo surowy, dawał zapomogi; nieraz darowywał robociznę, przebaczał, mimo wrodzonéj popędliwości, winy łatwo; płacił nieraz długi za włościan, sprawiał wesela, trzymał dzieci do chrztu; nam kazał ludzi szanować, starym zaś gospodarzom na ich powitanie odpowiadał czapką: ba! często nawet wzywał ich na naradę. Ale też nie można inaczéj powiedzieć, jak to chłopi przywiązani byli do całego rodu bardzo, czego później niejednokrotnie wyraźnie złożyli dowody.

Mówię to wszystko dlatego, raz aby odmalować wiernie, jak to u nas jest i bywało; powtóre, aby okazać, że w kreowaniu Hani na „panienkę” nie spotkałem wielkich trudności. Najwięcéj biernego oporu spotkałem w niéj saméj, bo dziecinka zbyt była lękliwą i w zbytniéj czci dla „państwa” przez samego Mikołaja wychowaną, aby z łatwością mogła się ze swoim losem pogodzić.

II.

Pogrzeb Mikołaja odbył się w trzy dni po jego śmierci. Sąsiedztwo zjechało na ten pogrzeb dosyć licznie, chcąc uczcić pamięć starego, który, jakkolwiek sługa, przecież powszechnie był szanowany i lubiony. Starca pochowano w naszych grobach rodzinnych, a trumnę jego postawiono przy trumnie dziada mojego, pułkownika. Przez cały czas ceremonii pogrzebowych nie opuszczałem Hani ani na chwilę. Przyjechała ze mną w sankach i chciałem, żeby ze mną wracała, ale ksiądz Ludwik kazał mi iść prosić sąsiadów, żeby z cmentarza wstąpili do nas dla ogrzania się i posiłku. Hanią tymczasem zajął się kolega mój i przyjaciel Mirza-Dawidowicz, syn Mirzy-Dawidowicza, obywatela i sąsiada mojego ojca, z pochodzenia Tatara i mahometanina, ale z rodziny z dziada pradziada osiadłéj u nas i od dawnego czasu posiadającéj obywatelstwo i szlachectwo tutejsze. Musiałem siąść razem z Ustrzyckimi, Hania zaś zabrała się z panią d'Yves i z młodym Dawidowiczem do innych sani. Widziałem jak poczciwy chłopczysko otulał ją własném futrem, potém wziął od woźnicy lejce, krzyknął na konie i pomknęli jak wi-

cher. Po powrocie do domu, Hania poszła płakać do pokoiku dziadka, ja zaś nie mogłem za nią pośpieszyć, bo wraz z księdzem Ludwikiem musieliśmy przyjmować gości.

Wreszcie rozjechali się wszyscy, został tylko Mirza Dawidowicz, który miał przepędzić u nas resztę świąt Bożego Narodzenia, trochę się ze mną uczyć, bo byliśmy obaj w siódméj klassie i czekał nas egzamin *maturitatis;* ale więcéj jeździć konno, strzelać do celu z pistoletów, fechtować się i polować, które to zajęcia, obadwa przekładaliśmy o wiele niż tłómaczenie Annalów Tacyta Ksenofontową Cyropajdaję. Ten Mirza był wesoły chłopak, urwis i psotnik wielki, zapalczywy jak iskra, ale do najwyższego stopnia sympatyczny. U nas w domu lubili go wszyscy bardzo, prócz ojca mego, którego gniewało to, że młody Tatar strzelał i fechtował się lepiéj odemnie. Za to pani d'Yves przepadała za nim, bo gadał po francuzku jak Paryżanin, usta mu się nie zamykały, plótł, dowcipkował i bawił Francuzkę lepiéj od nas wszystkich.

Ksiądz Ludwik znowu miał trochę nadziei, że go nawróci na religię katolicką, témbardziéj, że chłopiec żartował sobie czasami z Mahometa i pewno byłby chętnie Koran porzucił, gdyby nie to że bał się ojca, który, ze względu na tradycye rodzinne, trzymał się oburącz mahometanizmu, powtarzając, że jako stary szlachcic, woli być starym mahometaninem, niż świeżym katolikiem. Zresztą nie miał stary Dawidowicz innych tureckich lub tatarskich sympatyi. Przodkowie jego osiedli tu od czasów pono Witoldowych. Była to szlachta również zamożna bardzo i oddawna w jedném gnieździe osiadła. Majątki, które posiadali, nadał jeszcze Jan Sobie-

ski Mirzie-Dawidowiczowi, pułkownikowi lekkiéj chorągwi petychorskiéj, który cudów dokazywał pod Wiedniem, a którego portret wisiał jeszcze w Chorzelach. Pamiętam, że portret ten dziwne na mnie robił wrażenie. Pułkownik Mirza był to człek straszny; twarz jego była tak popisana Bóg wié jakiemi szablami, jakby tajemniczemi literami Koranu. Płeć miał śniadą, policzki wystające, oczy skośnie o dziwnie ponurym blasku, które miały tę własność, że z portretu patrzyły na ciebie zawsze, czyś stanął wprost, czy z któregokolwiek boku. Ale kolega mój Selim w niczém nie był do przodków swych podobny. Matka jego, z którą stary Dawidowicz ożenił się w Krymie, nie była Tatarką, ale pochodziła z Kaukazu. Ja nie pamiętałem jéj ale wiem, że mówiono, iż była to piękność nad piękności i że młody Selim jak dwie krople wody do niéj podobny.

Ach! cudny był chłopak ten Selim! Oczy jego miały już zaledwie dostrzegalny skośny kierunek. Nie byłyto jednak oczy tatarskie, ale wielkie, czarne, smutne i łzawe oczy, jakiemi podobno odznaczają się Gruzinki. Oczu obdarzonych taką niewypowiedzianą słodyczą, gdy były spokojne, nie widziałem jak żyję i nie zobaczę więcéj. Gdy Selim o co prosił, a spojrzał temi oczyma na człowieka, to zdawało się, że brał go wprost za serce. Rysy miał regularne. szlachetne, jakby z pod rzeźbiarskiego dłuta wyszłe, płeć smagłą, ale delikatną, wypukłe trochę, czerwone jak malina usta, słodki uśmiech i zęby jak perły. Gdy jednak Selim pobił się naprzykład z kolegą, co zdarzało się dość często, wtedy ta jego słodycz znikała jak zwodnicza mara; stawał się prawie straszny: oczy zdawały się mu w ukos wyciągać i świeciły jak u wilka; żyły wyprężały się na

twarzy; płeć ciemniała i obudził się w nim na chwilę prawdziwy Tatar, taki, z jakiemi chodzili w taniec nasi przodkowie. Trwało to jednak krótko. Po chwili Selim płakał, przepraszał, całował i wybaczono mu zwykle. Serce miał jak najlepsze, skłonność do szlachetnych porywów wielką. Był jednak roztrzepany, trochę lekkomyślny i chulaka niepochamowanego temperamentu. Jeździł konno, strzelał i fechtował się jak mistrz; uczył się średnio, bo mimo wielkich zdolności, trochę był próżniak. My obaj kochaliśmy się jak bracia, czubili często, godzili równie często i przyjaźń trwała niepożyta. Na wakacye i wszystkie święta połowę czasu albo ja przepędzałem w Chorzelach, albo on u nas. Jakoż i teraz przyjechawszy z pogrzebu Mokołaja, miał już u nas pozostać do końca świąt Bożego Narodzenia.

Gdy tedy goście rozjechali się po obiedzie, była godzina może czwarta po południu. Krótki dzień zimowy kończył się; przez okna zaglądała wielka zorza wieczorna; na stojących pod oknami drzewach, pokrytych śniegiem i oblanych czerwonym blaskiem, poczęły łopotać i krakać wrony. Przez okna widać było całe ich stada, ciągnące nad stawem od boru i pławiące się w świetle wieczornem. W sali, do któréj przeszliśmy po obiedzie, panowało milczenie. Pani d'Yves poszła do swego pokoju układać, jak zwykle, kabałę; ksiądz Ludwik chodził wzdłuż komnaty miarowym krokiem i zażywał tabakę; dwie moje małe siostrzyczki przewracały się pod stołem na dywanie i trykając się główkami, plątały sobie wzajemnie złote pukle włosków; Hania zaś, ja i Selim, siedząc pod oknem na kanapce, poglądaliśmy na staw od strony ogrodu, na bór za stawem i na niknący blask dzienny.

Wkrótce zrobiło się zupełnie szaro. Ksiądz Ludwik wyszedł odmawiać pacierze, jedna moja siostrzyczka pogoniła za drugą do przyległego pokoju: zostaliśmy sami. Selim począł już coś gwarzyć i szczebiotać, gdy Hania przysunęła się do mnie nagle i wyszeptała:

— Paniczu, mnie czegoś straszno: ja się boję.

— Nie bój się, Haniulko—odpowiedziałem, przyciągając ją do siebie.—Przytul się do mnie, ot tak. Póki jesteś przy mnie, nic ci się złego stać nie może. Patrz, ja się nie boję niczego i zawsze potrafię cię obronić.

Była to nieprawda, bo czy to z powodu mroku pokrywającego salę, czy skutkiem słów Hani i niedawnéj śmierci Mikołaja, i ja byłem pod jakiemś dziwném wrażeniem.

— Może każesz przynieść światło?—spytałem.

— Dobrze, paniczu.

— Mirza, każ Frankowi podać światło.

Mirza skoczył z kanapki i wkrótce za drzwiami posłyszeliśmy niezwykłe tupotanie i chałas. Drzwi się otworzyły z trzaskiem i wpadł jak wicher Franek, a za nim trzymający go za ramiona Mirza. Franek miał minę ogłupiałą i przestraszoną, bo Mirza trzymając go za ramiona, kręcił nim jak frygą i sam się obracał z nim razem. Poczém przywiódłszy go tym ruchem aż do kanapki, zatrzymał się i rzekł:

— Pan każe ci przynieść światło, bo panienka się boi. Co wolisz, czy przynieść światło, czy żebym ci głowę ukręcił?

Franek poszedł po lampę i wrócił z nią za chwilę; ale pokazało się, że światło razi zapłakane oczy Hani, więc Mirza je zgasił. Zostaliśmy znów pogrążeni w tajemniczym mroku i znów zapanowało mię-

dzy nami milczenie. Teraz księżyc rzucał jasne, srebrne światło przez okna. Hania widocznie bała się, bo przytuliła się do mnie jeszcze mocniéj, a przytém musiałem ją trzymać za rękę. Mirza siadł naprzeciw nas na krześle i wedle swego zwyczaju, od hałaśliwego usposobienia przeszedł w zadumę i pochwili rozmarzył się jakoś. Cisza panowała między nami wielka, było nam trochę straszno, ale dobrze.

— Niech Mirza opowié nam jaką bajkę—rzekłem. —On tak ślicznie opowiada. Dobrze, Haniu?

— Dobrze—odpowiedziała dziewczynka.

Mirza podniósł w górę oczy i zamyślił się trochę. Księżyc oświecał jasno jego śliczny profil. Po chwili zaczął opowiadać swoim drgającym, sympatycznym a przyciszonym głosem:

— Za lasami, za górami, żyła w Krymie pewna dobra wróżka, imieniem Lala. A raz przejeżdżał koło jéj chaty sułtan, który nazywał się Harun i który był bardzo bogaty: miał pałac z korali z dyamentowemi kolumnami, dach na tym pałacu był z pereł, pałac był tak wielki, że trzeba było iść rok, żeby go przejść od końca do końca. Sam sułtan w zawoju nosił prawdziwe gwiazdy, zawój był z promieni słonecznych, na wierzchu zawoju był sierp księżyca, który pewien czarownik od księżyca odciął i sułtanowi podarował. Przejeżdża ten tedy sułtan koło wróżki Lali i płacze, ale tak płacze, tak płacze, że łzy padają na drogę, a gdzie łza padnie, tam wyrasta zaraz lilia biała.

— Czego płaczesz, sułtanie Harunie? — pyta go wróżka Lala.

— Jakże nie mam płakać — mówi sułtan Harun— kiedy mam tylko jednę córkę, piękną jak zorza poran-

na i muszę ją oddać czarnemu Dewsowi o ognistych oczach, który co rok...

Mirza urwał nagle i umilkł.

— Śpi Hania?—wyszeptał do mnie.

— Nie, nie śpię — odpowiedziała sennym głosem dziewczynka.

— Jakże nie mam płakać — mówi do niéj sułtan Harun (ciągnął Mirza) — kiedy mam tylko jednę córkę, którą muszę oddać Dewsowi.

— Nie płacz, sułtanie mówi Lala—siądź na skrzydlatego konia i jedź aż do groty Borach. Złe obłoki będą cię gonić po drodze, ale ty rzuć na nie temi oto ziarnkami maku i obłoki usną zaraz...

I tak daléj opowiadał Mirza, a potem urwał znowu i spojrzał na Hanię. Dziecina spała teraz rzeczywiście. Zmęczona była bardzo i zbolała, więc zasnęła mocno. Obaj z Selimem nie śmieliśmy prawie oddychać, żeby jéj nie obudzić. Oddech jéj był równy, spokojny, przerywany tylko czasem głębokiemi westchnieniami. Selim podparł ręką czoło i zamyślił się głęboko, ja zaś podniosłem oczy w niebo i zdawało mi się, że na skrzydłach aniołów ulatuję w niebieskie przestworza. Nie umiem wypowiedzieć słodyczy, jaka przejmowała mnie całego, gdym czuł, że ta droga, maleńka istota śpi spokojnie i z całém zaufaniem na mojéj piersi. Jakieś drżenie przejmowało mnie całego; jakieś nie ziemskie, nowe, a nie znane głosy szczęścia rodziły się mi w duszy i poczęły śpiewać i grać jak kapela. Ach! jakże kochałem Hanię! jak ją kochałem miłością brata i opiekuna jeszcze, ale bez granic i miary!

Zbliżyłem cicho usta do warkocza Hani i ucałowałem go. Nie było w tém nic ziemskiego, bo ja i pocałunek byliśmy jeszcze jednakowo niewinni.

Mirza wzdrygnął się nagle i obudził z zadumy.

— Jakiś ty szczęśliwy, Henryku!—wyszeptał.

— Tak, Selimie.

Nie mogliśmy jednak wiecznie tak pozostawać.

— Nie budźmy jéj i przenieśmy ją do jéj pokoju, rzekł do mnie Mirza.

— Ja ją sam przeniosę, a ty tylko otwieraj drzwi, odpowiedziałem mu na to.

Wysunąłem delikatnie ramię z pod główki śpiącéj, główkę zaś oparłem na kanapie. Poczém ostrożnie wziąłem Hanię na ręce. Byłem jeszcze dzieciak, ale pochodziłem z rodu ludzi nadzwyczaj silnych; dziecina zaś była drobna i wiotka, więc uniosłem ją jak piórko. Mirza otworzył drzwi do przyległego oświeconego pokoju i w ten sposób dotarliśmy aż do zielonego gabinetu, który przeznaczyłem na mieszkanie Hani. Łóżeczko było już tam posłane; na kominku trzaskał obfity ogień, a pod kominkiem siedziała, grzebiąc w węglach, stara Węgrowska, która ujrzawszy mnie obciążonego w ten sposób, zawoła:

— A dla Boga! a toć paniczyk podźwiga się dziewczyną. Nie można to było jéj obudzić, żeby sama przyszła?

— Niech Węgrosia cicho będzie!—zawołałem gniewnie.—Panienka, nie „dziewczyna,“ mówię, tylko panienka; czy Węgrosia słyszy? panienka zmęczona. Proszę jéj nie budzić. Rozebrać i położyć cicho w łóżeczko. Niech Węgrosia pamięta, że to sierota i że dobrocią trzeba ją pocieszyć po dziadku.

— Sierota niebożątko, jużci że sierota—jęła zaraz powtarzać z rozrzewnieniem poczciwa Węgrowska.

Mirza pocałował za to babinę, poczém wróciliśmy na herbatę.

Mirza rozszalał się przy herbacie, zapomniawszy o wszystkiém, ja jednak nie wtorowałem mu; raz, że byłem smutny, a powtóre, sądziłem, iż człowiekowi poważnemu, który już jest opiekunem, nie wypada dokazywać jak dzieciakowi. Tego wieczora Mirza oberwał jeszcze burę od księdza Ludwika za to, że podczas gdy mówiliśmy pacierze w kaplicy, on wyleciał na podwórze, wlazł na nizki dach od lodowni i począł wyć. Psy podwórzowe oczywiście zleciały się ze wszystkich stron i uczyniły taki harmider wtórząc Mirzie, że nie mogliśmy mówić pacierza.

— Czyś to oszalał, Selimie?—pyta ksiądz Ludwik.

— Ja, proszę księdza, modliłem się po mahometańsku.

— A ty smarkaczu! nie żartuj sobie z religii żadnéj.

— A kiedy ja, proszę księdza, chcę zostać katolikiem, tylko się ojca boję. Co ja tam sobie robię z Mahometa.

Ksiądz uderzony w słabą stronę, zamilkł i poszliśmy spać. Mnie i Selimowi dano osobny pokój, bo ksiądz wiedział że lubimy gawędzić, a nie chciał nam przeszkadzać. Kiedym się już rozebrał i zauważyłem, że i Mirza poczyna toż samo czynić bez pacierza, spytałem:

— Czy ty, Selimie, rzeczywiście nie modlisz się nigdy?

— A jakże. Chcesz, to zaraz zacznę.

I stanąwszy w oknie, wzniósł oczy na księżyc, wyciągnął do niego ręce i począł wołać śpiewnym głosem:

— O Allach! Akbar Allach! Allach Kerim!

Ubrany już tylko w bieliznę, z temi oczyma wzniesionemi ku niebu, śliczny był taki, że nie mogłem od niego wzroku oderwać.

Poczém zaczął mi się tłómaczyć:

— Co ja zrobię?—mówił.— Ja w tego naszego proroka, co innym nie pozwalał mieć więcéj jak jedną żonę, a sam miał ich tyle, ile mu się podobało, nie wierzę. Przytém mówię ci, że lubię wino. Nikim innym jak mahometaninem być mi nie wolno, ale ja w Boga przecie wierzę i nieraz modlę się jak umiem. Czy ja co wiem wreszcie? Wiem, że jest Pan Bóg i kwita.

A po chwili już zaczął mówić co innego.

— Wiész co, Henryk?

— Co?

— Mam pyszne cygara. Nie jesteśmy już dzieci: możemy palić.

— Dawaj.

Mirza wyskoczył z łóżka i wyjął paczkę cygar. Zapaliliśmy je, pokładłszy się oba i paliliśmy w milczeniu, spluwając tylko w sekrecie jeden przed drugim za łóżka.

Po chwili Selim ozwał się:

— Wiész co, Henryku? Jak ja tobie zazdroszczę. Ty, to już jesteś naprawdę dorosły.

— Spodziewam się.

— Bo jesteś już opiekunem. Ach! żeby tak kto i mnie zostawił kogo na opiekę.

— Nie tak to łatwo, a zresztą, zkądby się wzięła druga taka Hania na świecie. Ale wiész co?—mówiłem daléj tonem dorosłego sensata—wiész co, ja spodziewam się, że nawet już do szkół nie pójdę. Człowiek, który ma takie obowiązki w domu, nie może chodzić do szkół.

— I... bredzisz. Cóżto, nie będziesz się nic więcéj uczył. A szkoła główna?

— Przecie mnie znasz, że uczyć się lubię, ale obowiązek przedewszystkiém. Chyba, że rodzice poślą ze mną Hanię do Warszawy.

— Ani im się będzie śniło.

— Póki jestem w klassach, to pewno że nie, ale jak zostanę akademikiem, to mi ją oddadzą. Cóżto, ty nie wiész, co to znaczy akademik?

— Ba! ba! A może być. Będziesz się nią opiekował, a potém się z nią ożenisz.

Aż siadłem na łóżku.

— Mirza, czyś ty oszalał!

— A dlaczegoby nie. W klassach, to się człowiekowi ożenić nawet nie wolno, ale akademikowi wolno. Akademik to nietylko żonę mieć może, ale nawet i dzieci. Ha! ha!

Ale w téj chwili, prerogatywy i wszelkie przywileje akademickie nie obchodziły mnie ani trochę. Pytanie Mirzy rozświeciło, niby błyskawicą, te strony serca mojego, które i dla mnie były jeszcze ciemne. Tysiące myśli, niby tysiące ptaków, przeleciało mi nagle przez głowę. Ożenić się z moją drogą, ukochaną sierotką, tak! to była błyskawica, nowa błyskawica myś i i uczuć. Zdawało mi się, że nagle w ciemność mego serca ktoś wniósł światło. Miłość lubo głęboka, ale braterska dotąd, porożowiała nagle od tego światła i ogrzała się od niego nieznaném ciepłem. Ożenić się z nią, z Hanią, z tym jasnowłosym aniołkiem, z moją najdroższą, najukochańszą Hanią... Słabym już i cichszym głosem powtórzyłem, jak echo, poprzednie pytanie:

— Mirza, czyś ty oszalał?

— Założyłbym się, że się już w niéj kochasz— odparł Mirza.

Nie odrzekłem nic, zgasiłem światło, potém porwałem róg poduszki i począłem go całować.

Tak! Już ją kochałem.

III.

Drugiego, czy trzeciego dnia po pogrzebie, przyjechał wezwany telegramem mój ojciec. Drżałem, żeby nie odwołał moich względem Hani rozporządzeń, i przeczucia moje spełniły się do pewnego stopnia. Ojciec pochwalił mnie i uściskał za gorliwość i sumienność w spełnianiu obowiązków; cieszyło go to widocznie. Powtórzył nawet kilkakrotnie: nasza krew! co powtarzał wtedy tylko, kiedy był bardzo ze mnie kontent; nie domyślił się wcale, o ile ta gorliwość była już interesowną, ale rozporządzenia moje niezbyt mu się podobały. Być może, że przyczyniły się do tego trochę zbyt przesadzone opowiadania pani d'Yves, choć rzeczywiście w ostatnich dniach po owéj nocy, w któréj uczucia moje doszły do świadomości, uczyniłem z Hani piérwszą osobę w całym domu. Również nie podobał mu się projekt kształcenia, tak jak miały się kształcić moje siostry.

— Nie odwołuję i nie cofam nic. To rzecz twojéj matki—mówił do mnie.—Ona postanowi co zechce. To jéj wydział. Ale warto się zastanowić, jak będzie lepiéj dla saméj dziewczyny.

— A wszakże ukształcenie, mój ojcze, nie zaszkodzi nigdy. Sam nieraz z twoich ust to słyszałem.

— Tak, w mężczyznie—odpowiedział—bo mężczyznie ukształcenie daje pozycyą, ale z kobiétami inna rzecz. W kobiecie wykształcenie powinno być zastosowane do pozycyi, jaką ona w przyszłości ma zająć. Taka dziewczyna nie potrzebuje innego, jak średniego wykształcenia; nie potrzebuje francuzczyzny, muzyki i tym podobnie. Ze średniem wykształceniem Hania prędzéj sobie znajdzie męża jakiegoś uczciwego oficyalistę...

— Ojcze!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Co tobie jest?

Byłem czerwony jak burak. Krew mało mi nie wytrysła z twarzy. W oczach zrobiło mi się ciemno. Zestawienie Hani z oficyalistą wydało mi się takiém bluźnierstwem w obec świata moich marzeń i nadziei, że nie mogłem powstrzymać krzyku oburzenia. A bluźnierstwo owo zabolało mnie témbardziej, że wyszło z ust ojca. Było to pierwsze oblanie zimną wodą gorącej wiary młodzieńczéj przez rzeczywistość, pierwszy pocisk, wymierzony przez życie w czarowny gmach złudzeń; piérwszy taki zawód i rozczarowanie, od goryczy których bronimy się pessymizmem i niewiarą. Ale jak rozpalone żelazo, gdy upadnie nań kropla zimnéj wody, syknie tylko i wnet w parę i nicość ją zamieni, tak i gorąca dusza ludzka. Pod wpływem piérwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości, syknie wprawdzie z bólu, lecz wnet i samą rzeczywistość własnym żarem ogrzéwa.

Słowa ojca więc zraniły mnie na razie i to zraniły mnie w dziwny sposób, bo pod wpływem ich uczułem urazę nie do ojca, ale jakby do Hani; wkrótce jednak,

mocą owego wewnętrznego oporu, jaki ma się tylko w latach młodzieńczych, wyrzuciłem je jak najdalej z duszy i na zawsze. Ojciec uniesienia mego nic nie zrozumiał i przypisał je zbytniemu przejęciu się powierzonemi mi obowiązkami, co zresztą w moim wieku było naturalnem, a co, zamiast rozgniewać pochlebiło mu tylko i osłabiło jego niechęć do wyższego kształcenia Hani. Umówiłem się z ojcem, że napiszę list do matki, która przez długi czas jeszcze miała bawić za granicą i poproszę jéj aby wydała ostateczne w tym względzie postanowienie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek napisał list równie długi i równie serdeczny. Opisałem w nim matce śmierć starego Mikołaja, jego ostatnie słowa, moje pragnienia, obawy, nadzieje; poruszyłem strunę litości, tak żywo zawsze drgającą w jéj sercu, odmalowałem niepokój sumienia, jaki oczekiwałby mnie niezawodnie, gdybyśmy dla Hani nie uczynili wszystkiego co leży w naszéj mocy: słowem, wedle mego ówczesnego zdania, list mój był prawdziwém w swoim rodzaju arcydziełem, które musiało wywrzéć swój skutek. Uspokojony tém cokolwiek, oczekiwałem cierpliwie odpowiedzi, która nadeszła aż w dwóch listach: w jednym do mnie, w drugim do pani d'Yves. Wygrałem bitwę na wszystkich punktach. Matka moja nietylko że godziła się na wyższe kształcenie Hani, ale jak najusilniéj je polecała. „Pragnęłabym (pisała moja dobra matka), aby, jeżeli się to z wolą ojca zgadza, Hania uważana była pod każdym względem, jako należąca do naszéj rodziny. Winniśmy to pamięci starego Mikołaja, jego dla nas sercu i poświęceniom.“ Tryumf mój tedy był zarówno wielki, jak zupełny,

a dzielił go ze mną całém sercem Selim, którego wszystko co tyczyło Hani, obchodziło tak, jak gdyby sam był jéj opiekunem.

Co prawda nawet, to sympatya jaką czuł i troskliwość jaką okazywał dla sierotki, poczynały mnie trochę gniewać, témbardziej, że od owéj pamiętnéj dla mnie nocy, w któréj doszedłem do świadomości własnych uczuć, stosunki moje z Hanią odmieniły się znacznie. Czułem się z nią jakby złapanym. Owa serdeczność i dziecinna poufałość z mojéj strony znikła zupełnie. Zaledwie kilka dni temu, dziewczynka usnęła spokojnie na méj piersi, na samą myśl o tém włosy jeżyły mi się na głowie. Przed kilku dniami na dzień dobry i dobranoc całowałem jak brat blade jéj usteczka, teraz dotknięcie jéj ręki paliło mnie, lubo przejmowało rozkoszném drżeniem. Poczynałem ją czcić tak jak zwykle czci się przedmiot pierwszéj miłości, a gdy dzieweczka niewinna, nie domyślająca się niczego i nie wiedząca o niczém, garnęła się po dawnemu do mnie, gniewałem się w duszy i na nią, siebie zaś poczytywałem za świętokradzcę.

Miłość przyniosła mi nieznane szczęście, ale i nieznane umartwienia. Gdybym miał był powierzyć komu moje umartwienia, gdybym mógł był popłakać czasem na czyjéj piersi, do czego, mówiąc nawiasem, miałem nieraz dziwną ochotę, byłbym połowę ciężaru zdjął niezawodnie z duszy. Mogłem wprawdzie wyznać wszystko Selimowi, ale obawiałem się jego usposobienia. Wiedziałem, że w pierwszéj chwili odczuje całém sercem moje słowa, ale któż mi mógł zaręczyć, czy na drugi dzień nie wyśmieje mnie z właściwym sobie cynizmem i lekkomyślnemi słowy nie pokala mego ideału,

którego żadną myślą płochą dotknąć nie śmiałem. Charakter miałem zawsze dość zamknięty w sobie, a przytém między mną a Selimem była jedna wielka różnica. Oto: ja zawsze byłem trochę sentymentalny, Selim nie miał w sobie za grosz sentymentalizmu. Ja mogłem kochać tylko na smutno, Selim tylko na wesoło. Ukrywałem więc swoją miłość przed wszystkimi, prawie że i przed sobą samym i istotnie nikt jéj nie dostrzegł. W kilka dni, nigdy nie widząc żadnych wzorów, nauczyłem się instynktem pozorować wszystkie téj miłości objawy: często trafiające mi się pomieszanie, rumieńce, jakiemi oblewałem się, gdy Hanię przy mnie wspominano; słowem, rozwinąłem niepomierną chytrość: tę chytrość, z pomocą któréj nieraz szesnastoletni chłopak potrafi wywieść w pole najbaczniejsze czuwające nad nim oko. Hani wyznać moich uczuć nie miałem najmniejszego zamiaru. Kochałem ją i dość mi było tego. Czasem tylko, gdyśmy pozostawali sami, popychało mnie coś, żeby naprzykład klęknąć przed nią lub ucałować brzeżek jéj sukienki.

Selim tymczasem waryował, śmiał się, dowcipkował i był wesoły za nas obydwóch. Onto piérwszy wywołał uśmiech na twarz Hani, gdy pewnego razu przy śniadaniu zaproponował księdzu Ludwikowi, by przeszedł na mahometańską wiarę i ożenił się z panią d'Yves. Obraźliwa dosyć Francuzka i ksiądz, nawet gniewać się nie mogli, bo jak się przymilił do niéj, jak się spojrzał swemi oczyma a uśmiechnął, tak skończyło się wszystko na lekkiém połajaniu i wzajemnym śmiechu. W postępowaniu jego z Hanią znać było pewną czułość i troskliwość, ale i w tym stosunku przemagała wrodzona mu wesołość. Był z nią o wiele

poufalszy niż ja. Widać było, że i Hania lubi go bardzo, bo ile razy wchodził do pokoju, tyle razy stawała się weselszą. Ze mnie a raczéj z mojego smutku, żartował sobie ustawicznie, biorąc go za sztuczną powagę człowieka, któremu gwałtem chce się być dorosłym.

— Obaczycie wszyscy, że on księdzem zostanie— mówił.

Wówczas ja puszczałem pierwszy lepszy przedmiot, aby schyliwszy się po niego, pokryć rumieńce, jakie biły mi na twarz; ksiądz Ludwik zaś zażywał tabaki i odpowiadał:

— Na chwałę Bożą, na chwałę Bożą!

Ale tymczasem skończyły się święta Bożego Narodzenia. Moje słabe nadzieje, że zostanę już w domu, nie sprawdziły się ani trochę. Wielkiemu opiekunowi oświadczono pewnego wieczora, aby nazajutrz rano gotów był do drogi. Potrzeba było jechać rano, bo musieliśmy jeszcze wstąpić do Chorzel, gdzie Selim miał się pożegnać ze swoim ojcem. Jakoż wstaliśmy o szóstej godzinie, jeszcze po ciemku. Ach! dusza moja była tak ponurą wówczas, jak ów ranek zimowy, ciemny i wietrzny. Selim był także w jak najgorszym humorze. Zaraz wylazłszy z łóżka oświadczył, że świat jest głupi i jak najnędzniéj urządzony, na co zgodziłem się zupełnie; poczém oba ubrawszy się, udaliśmy się ze stancyi do dworu na śniadanie. Na dworze było ciemno, drobne płatki ostrego śniegu kręcone wichrem, uderzały o nasze twarze. Okna sali jadalnéj były już oświecone. Przed gankiem stały zaprzężone sanki, na które znoszono nasze rzeczy; konie potrząsały dzwoneczkami, psy szczekały koło sani: wszystko to razem wzięte stanowiło, dla nas przynaj-

mniéj, tak posępny obraz, że aż serce ściskało się na jego widok. Wszedłszy do jadalnego pokoju zastaliśmy ojca i księdza Ludwika, obu chodzących z poważnemi twarzami, Hani zaś nie było. Z bijącem sercem poglądałem na drzwi zielonego gabinetu, czy téż nie wyjdzie, czy odjadę nawet bez pożegnania. A tymczasem ojciec z księdzem Ludwikiem poczęli dawać nam rady i prawić morały. Obaj zaczęli od tego, że jesteśmy już w tym wieku, iż nie potrzeba nam powtarzać, co znaczy praca i nauka, a jednak obaj nie mówili o czém inném. Słuchałem tego wszystkiego piąte przez dziesiąte, gryząc grzanki i połykając ze ściśniętem gardłem ciepłą polewkę winną. Nagle serce zabiło mi tak silnie, że ledwie mogłem usiedzieć na krześle, bo w pokoiku Hani usłyszałem jakiś szelest. Otworzyły się drzwi i weszła... ubrana w ranny szlafroczek i w papiloty, pani d'Yves, która uściskała mnie czule, a któréj za zawód, jakiego doznałem, miałem ochotę rzucić szklankę z polewką na jéj głowę. I ona także wyraziła nadzieję, że tak słuszna młodzież będzie się pewno uczyć doskonale, na co Mirza odpowiedział, że pamięć jéj papilotów doda mu sił i wytrwania w pracy: Hania tymczasem nie pokazywała się.

Nie było mi jednak przeznaczoném wychylić ten kielich goryczy aż do dna. Gdy wstaliśmy od śniadania, Hania wyszła z gabinetu, zaspana jeszcze, cała różowa z potarganemi włosami na główce. Gdy uścisnąłem ją za rękę na dzień dobry, ręka ta była gorąca. Zaraz przyszła mi do głowy myśl, że Hania ma gorączkę z powodu mego wyjazdu i odegrałem w duszy czułą scenę, ale było to po prostu ze snu. Po chwili ojciec z księdzem Ludwikiem poszli po li-

sty, aby je nam oddać do Warszawy, Mirza zaś wyjechał za drzwi na ogromnym psie, który przed chwilą wszedł do pokoju. Zostałem z Hanią sam na sam. W oczach kręciły mi się łzy, z ust wydzierały mi się gwałtem czułe i gorące słowa. Nie miałem zamiaru wyznać, że ją kocham, ale parło mnie, żeby jéj powiedzieć coś takiego jak: moja droga, ukochana moja Haniu! i ucałować przytém jéj ręce. Była to jedyna sposobna chwila do takiego wybuchu, bo przy ludziach, choć mogłem to uczynić bez zwrócenia czyjéjkolwiek uwagi, alebym nie śmiał. Chwilę tę jednak zmarnowałem najhaniebniéj. Już, już zbliżyłem się do niéj, już wyciągnąłem ku niéj rękę, ale uczyniłem to jakoś niezgrabnie i nienaturalnie, takim nie swoim głosem wyrzekłem: „Haniu!“ że cofnąłem się natychmiast i umilkłem. Miałem ochotę się spoliczkować. Tymczasem sama Hania zaczęła:

— Mój Boże, jak to smutno będzie bez panicza!

— Przyjadę na Wielkanoc—odpowiedziałem szorstko, nizkim, nie swoim basem.

— A do Wielkanocy tak daleko.

— Wcale nie daleko—mruknąłem.

W téj chwili wpadł Mirza, a za nim ojciec mój, ksiądz Ludwik, pani d'Yves i jeszcze kilkoro ludzi. Wyrazy: siadać! siadać!“ zabrzmiały mi uszach. Wyszliśmy wszyscy na ganek. Tu ojciec, ksiądz Ludwik, brali mnie po kolei w ramiona. Gdy przyszła koléj żegnania się z Hanią, miałem niepohamowaną ochotę porwać ją w objęcia i ucałować po dawnemu, ale nie zdobyłem się i na to.

— Bądź zdrowa, Haniu!—rzekłem podając jéj rękę, a w duszy płakało mi sto głosów i sto najczulszych *pieszczonych* wyrazów na ustach.

Nagle spostrzegłem, że dziewczynka płacze i również nagle ozwał się we mnie ten przekorny szatan, ta niepohamowana chęć do rozdrapywania ran własnych, jakiéj nieraz doświadczyłem późniéj w życiu; więc choć serce pękało w kawałki, odezwałem się zimno i szorstko:

— Nie rozczulajże się bez powodu, moja Haniu— to rzekłszy siadłem do sanek.

Tymczasem Mirza żegnał się ze wszystkiemi. Przybiegłszy do Hani, porwał jéj obie ręce i mimo, że dziewczynka się wydzierała, począł całować zapamiętale to jedną, to drugą. Ach! jakąż miałem ochotę wybić go w téj chwili. Wycałowawszy Hanię wskoczył do sanek. Ojciec krzyknął: „ruszaj!“ Ksiądz Ludwik począł żegnać nas krzyżykiem na drogę. Furman krzyknął: „hetta! ho!“ na konie; zabrzęczały dzwonki, zaszumiał śnieg pod płozami i ruszyliśmy w drogę.

Łotrze! rozbójniku! — zacząłem wołać na się w duszy.—Takto pożegnałeś swoją Hanię! dokuczyłeś jéj, połajałeś za łzy, których jesteś nie wart... za łzy sieroce...

Podniosłem kołnierz od futra i rozpłakałem się sam jak małe dziecko, ale cicho, bo bałem się żeby nie schwytał mnie na płaczu Mirza; pokazało się jednak że Mirza widział to doskonale, tylko że sam był wzruszony, więc nie powiedział mi nic na razie. Nie dojechaliśmy jeszcze jednak do Chorzel, gdy ozwał się:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

— Daj mi pokój.

I znowu zapanowało między nami milczenie. Ale po chwili Mirza znów:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

Nie odpowiedziałem nic; nagle Mirza pochylił się, złapał ręką śniegu, podniósł mi czapkę, rozpruszył mi snieg na głowie i przykrył ją znowu, mówiąc:

— To cię ochłodzi.

IV.

Na Wielkanoc nie powróciłem do domu, bo blizki egzamin *maturitatis* stanął temu na przeszkodzie. Przytém ojciec mój życzył sobie, abym jeszcze przed rozpoczęciem roku uniwersyteckiego zdał egzamin wstępny do szkoły głównéj, wiedział bowiem, że przez wakacye nie będzie mi się chciało pracować i że niezawodnie zapomnę przynajmniéj połowę z tego, czegom się w szkołach nauczył. Pracowałem więc bardzo usilnie. Oprócz zwykłych godzin gimnazyalnych i pracy do egzaminu *maturitatis*, braliśmy z Selimem jeszcze lekcye specyalne od młodego akademika, który sam niedawno do szkoły głównéj wstąpiwszy, wiedział najlepiéj czego do niéj potrzeba.

Były to dla mnie czasy pamiętne bo wtedy-to runęła cała budowa moich pojęć i wyobrażeń tak mozolnie wznoszona przez księdza Ludwika, ojca i całą atmosferę naszego cichego gniazda. Młody akademik był wielki radykał pod każdym względem. Wykładając mi historyą rzymską, tak dobrze umiał przy reformach Gracchów udzielić mi swego obrzydzenia i pogardy dla wszelkiéj oligarchii, że moje arcy-szlacheckie przekonania rozwiały się jak dymek. Z jakąż głęboką wiarą wypowiadał

naprzykład mój młody nauczyciel, że człowiek, który ma wkrótce zająć potężne i ze wszech miar wpływowe stanowisko studenta uniwersytetu, powinien być wolnym od wszelkich „przesądów“ i nie patrzyć na nic, jak z politowaniem prawdziwego filozofa. W ogóle był zdania, że do rządzenia światem i do wywierania potężnego na całą ludzkość wpływu, człowiek najzdolniejszym jest między ośmnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia, później bowiem staje się zwolna idyotą czyli konserwatystą.

O ludziach nie będących ani studentami, ani professorami uniwersytetu, odzywał się z litością; miał jednak pewne swe ideały, które nigdy nie schodziły z jego ust. Pierwszy raz wtedy dowiedziałem się o istnieniu Maleschotta, Büchnera, dwóch uczonych, których najczęściéj cytował. Trzeba było słyszeć naszego praeceptora, z jakim zapałem mówił o zdobyczach naukowych ostatnich czasów, o wielkich prawdach, które ślepa przesądna przeszłość omijała, a które z niesłychaną odwagą najnowsi uczeni podnieśli „z pyłu zapomnienia“ i ogłosili całemu światu. Wypowiadając podobne zdania, potrząsał bujną kręconą czupryną i wypalał niesłychaną ilość papierosów, zaręczając przytém, iż taką ma już do tego wprawę, że mu wszystko jedno, czy puszczać dym nosem czy ustami, i że niéma w Warszawie człowieka, coby się tak zaciągał. Potém zwykle wstawał, nakładał płaszcz, przy którym brakowało większéj połowy guzików i oświadczał, że się musi spieszyć, bo ma jeszcze dziś „maleńkie spotkańko.“ To mówiąc, przymrużał w tajemniczy sposób oko i dodawał, że zbyt młody wiek mój i Mirzy, nie pozwala mu udzielić nam bliższych o owém „spotkańku“ informacyi, ale że później i bez jego objaśnienia zrozumiemy co to znaczy.

Przy tém wszystkiém, co rodzicom naszym w młodym akademiku zapewne nie podobałoby się bardzo, miał on swoje prawdziwe dobre strony. Oto umiał dobrze sam to, czego nas uczył, a przytém był to prawdziwy fanatyk nauki. Buty nosił dziurawe, płaszcz wytarty, czapkę jak stare gniazdo, grosza nigdy nie miał przy duszy, ale myśl jego nigdy nie biegała w stronę kłopotów osobistych, biédy, nędzy prawie. Żył namiętnością nauki! a o swoję osobistą dolę wesoło nie dbał. My z Mirzą uważaliśmy go za jakąś wyższą nadprzyrodzoną istotę, za ocean mądrości, za niewzruszoną powagę. Wierzyliśmy święcie, że jeśli kto uratuje ludzkość w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, to niezawodnie on, ów imponujący geniusz, który zresztą i sam zapewne był tegoż zdania. Ale lgnęliśmy do jego przekonań jak na lep. Co do mnie, zachodziłem może daléj nawet niż mistrz. Było to naturalną reakcyą mego dotychczasowego wychowania, a przytém rzeczywiście młody akademik otworzył mi wrota do nieznanych światów wiedzy, w obec których kółko moich pojęć było arcy ciasném. Olśniony temi nowemi prawdami, nie miałem czasu zbyt wiele myśli i marzeń poświęcać Hani. Z początku, zaraz po przyjeździe, nie rozstawałem się z moim ideałem. Listy, jakie otrzymywałem od niéj, podsycały ten ogień na ołtarzu mego serca, ale wobec oceanu idei młodego akademika, cały nasz światek wiejski, taki cichy, spokojny, począł coraz drobnieć i zmniejszać się w moich oczach, a z nim razem nie znikła wprawdzie, ale jakby zasnuła się lekką mgłą postać Hani. Co do Mirzy, ten szedł na równi zemną drogą gwałtownych reform, a o Hani myślał tém mniéj, że naprzeciw stancyi naszéj było okno, w którém siady-

wała pensyonarka Józia. Owóż Selim począł do niéj wzdychać i po całych dniach poglądali na siebie z dwóch okien, jak dwa ptaki z klatek. Selim utrzymywał z niezachwianą pewnością, że „ta, albo żadna.“ Nieraz bywało, położywszy się na wznak na łóżku, uczy się, uczy, a potém ciska książkę na ziemię, zrywa się, chwyta mnie i krzyczy, śmiejąc się jak waryat:

— O, moja Józiu! jak ja ciebie kocham!

— Idź do licha, Selimie—mówię mu.

— Ach! to ty nie Józia—odpowiedział po frantowsku Selim i powracał do książki.

Nakoniec nadeszły czasy egzaminów. Zdaliśmy je, obaj z Selimem, i maturę i wstępny uniwersytecki bardzo pomyślnie, poczém już byliśmy wolni jak ptaki, ale trzy dni jeszcze zabawiliśmy w Warszawie. Użyliśmy tego czasu na sprawienie sobie akademickich mundurów i na obchód uroczystości, którą nasz mistrz uważał za niezbędną, to jest na inauguracyjne upicie się we trzech, w piérwszym lepszym sklepie winnym.

Po drugiéj butelce, kiedy i mnie i Selimowi kręciło się już w głowie, a na policzki naszego mistrza, a obecnie kolegi, wystąpiły rumieńce; nagle niezwykłe rozczulenie i skłonność do serdecznych wylewów opanowała nasze serca, mistrz zaś rzekł:

— No, wyszliście na ludzi, moje chłopaki, i świat stoi przed wami otworem. Możecie teraz bawić się, wyrzucać pieniądze, grać w paniczów, kochać się, ale ja wam powiem, że to głupstwa są. Takie życie na zewnątrz, bez myśli, dla któréj się żyje i pracuje i walczy, to także głupstwo. Ale żeby żyć rozumnie i walczyć mądrze, potrzeba trzeźwo patrzéć na rzeczy. Co do mnie, myślę, że patrzę trzeźwo. Ja tam w nic nie

wierzę, czego się sam nie dotknę i wam radzę toż samo. Dalibóg, tyle jest dróg życia i myśli na świecie, a wszystko w takim zamęcie, że trzeba, dyabeł wié jakiéj głowy, żeby nie zbłądzić. Ale ja trzymam się nauki i basta. Na fatałaszki mnie nie złapią; że życie jest głupie, o to nikomu butelki na łbie nie rozbiję, ale jest wiedza. Gdyby nie to, strzeliłbym sobie w łeb. Do tego, zdaniem mojém, każdy ma prawo, i zrobię to niezawodnie, jak tylko w téj mierze zbankrutuję. Ale na tém się nie bankrutuje. Zawiedziesz się na wszystkiém: kochasz, oszuka cię kobiéta; wierzysz, nadejdzie chwila zwątpienia; a nad badaniem przewodu pokarmowego wymoczków, to możesz siedzieć spokojnie do śmierci i ani się obejrzysz, jak pewnego dnia zrobi ci się głupio jakoś i jakoś ciemno, a to już i kres: klepsydra, portret w illustracyi, mniéj więcéj głupi życiorys, *finita comedia!* Potém już nic: daję wam na to słowo, moje pędraki. Możecie śmiało w żadne bzdurstwa nie wierzyć. Nauka, moje smyki, to grunt. A przytém ma to wszystko jeszcze tę dobrą stronę, że zajmując się podobnemi rzeczami, możesz śmiało chodzić w dziurawych butach i sypiać na sienniku. Nie robi ci to żadnéj różnicy. Rozumiécie?

— Na zdrowie i na cześć nauki! — wykrzyknął Selim, którego oczy świeciły jak węgle.

Mistrz odrzucił ręką w górę ogromną wełnistą czuprynę, wychylił kieliszek, następnie zaciągnąwszy się dymem, puścił nosem dwa jego ogromne strumienie i mówił daléj:

— Obok nauk ścisłych—Selim, tyś już urżnięty!— obok tedy nauk ścisłych, jest jeszcze filozofia i są idee.

Tém się także zapełnia życie po brzegi. Ale ja wolę nauki ścisłe. Z filozofii, a zwłaszcza idealno-realnéj, to powiem wam nawet, że ja sobie drwię. To jest gadanie. Goni niby za prawdą, ale goni jak pies za własnym ogonem. A i w ogóle niecierpię gadaniny: ja lubię fakta. Z wody séra nie wyciśniesz. Co do idei, to inna rzecz. Dla nich warto łba nadstawić, ale wy i ojcowie wasi, chodzicie głupiemi drogami. Ja wam to powiadam. Niech żyją ídee!

Wychyliliśmy znowu kieliszki. Z czupryn nam się dymiło. Ciemna izba sklepowa zdała nam się ciemniejszą jeszcze; świeca na stole paliła się mdłém światłem: dym przedstawiał ryciny zawieszone na ścianach. Za oknem na podwórzu dziad śpiewał pieśń nabożną: „Święta niebieska, pani anielska!“ i w przestankach przegrywał smutną dziadowską melodyę na skrzypcach. Dziwne uczucia napełniły mi piersi. Wierzyłem słowom mistrza, ale czułem, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, co może wypełnić życie. Czegoś mi brakło, jakieś tęskne uczucie owładnęło mną mimowoli; więc pod wpływem rozmarzenia, wina i chwilowéj egzaltacyi, ozwałem się z cicha:

— A kobieta, panie! a kobiéta kochająca, poświęcona, czy nic w życiu nie zaważy?

Selim począł śpiewać:

Kobiéta zmienna jest:
Głupi kto ufa jéj!

Mistrz spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem, jak gdyby myślał o czém inném, ale wkrótce otrząsnął się i mówił:

Oho! już pokazał koniec sentymentalnego ucha. Wiész ty, że Selim daleko prędzéj wyjdzie na ludzi niż

ty. Ciebie licho porwie. Strzeż się, strzeż się mówię ci, żeby ci w drogę nie wlazła jaka spódniczka i nie popsuła życia. Kobiéta! kobiéta! (tu mistrz przymrużył wedle zwyczaju oko) znam ja trochę ten towar. Nie mogę się skarżyć, dalibóg, nie mogę się skarżyć. Ale wiem i to, że dyabłu nie trzeba podawać palca. bo zaraz całą rękę porwie. Kobiéta! miłość! całe nasze nieszczęście jest, że z głupstw robimy wielkie rzeczy. Chcesz się tém bawić tak jak ja, to się baw, ale życia w to nie kładź. Miejcież raz rozum i za fałszywy towar nie płaćcie dobremi pieniędzmi. Czy myślicie, że ja narzekam na kobiéty? Ani mi się śni. Owszem, ja je, lubię, ale nie dają się brać na plewy własnéj wyobraźni. Pamiętam, kiedym się kochał raz pierwszy w niejakiéj Loli, to myślałem, że naprzykład sukienka jéj to świętość, a to był perkal. Ot co. Czy ona winna, że chodziła po błocie, zamiast latać po niebie: nie! to ja głupi, gwałtem przyprawiałem jéj skrzydła. Mężczyzna jest sobie dosyć ograniczoném zwierzęciem. Nosi jeden i drugi w sercu, Bóg wié jaki ideał, a że przytém czuje potrzebę kochać, więc spotkawszy pierwszą lepszą gąskę, mówi sobie: „to ta.“ Potém poznaje, że się mylił i skutkiem téj małéj pomyłki licho go bierze lub idyocieje na całe życie.

— Jednak przyznajesz pan—rzekłem że mężczyzna czuje potrzebę kochania i sam zapewne czujesz tę potrzebę tak jak inni.

Zaledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po ustach mistrza.

— Każdéj potrzebie — odparł — rozmaicie można zadość uczynić. Ja sobie radzę po swojemu. Mówiłem już, że z głupstw nie robię wielkich rzeczy. Jestem trzeźwy, dalibóg, trzeźwiejszy niż teraz. Ale widziałem wie-

lu ludzi, którym się życie porwało i poplątało jak nić dla jednéj podwiki; więc powtarzam, że całego życia kłaść w to niewarto, że są rzeczy lepsze i cele wyższe i że miłość to furda. Za zdrowie trzeźwości!

— Za zdrowie kobiét!—wykrzyknął Selim.

— Dobrze! niech będzie—odparł mistrz.—Są to przyjemne stworzenia, byle ich nie brać zbyt seryo. Za zdrowie kobiét.

— Za zdrowie Józi!—krzyknąłem, trącając w kieliszek Selima.

— Czekaj! teraz na mnie koléj—odparł.—Zdrowie... zdrowie twojéj Hani! jedna warta drugiéj.

Zagrała we mnie krew, a z oczu sypnęły mi się skry.

— Milcz ty Mirza!—krzyknąłem.—Nie wymawiaj mi w knajpie tego imienia!

To mówiąc, rzuciłem kieliszek o ziemię, aż prysnął na tysiąc części.

— Czyś oszalał!—zawołał mistrz.

Ale ja nie oszalałem wcale, tylko gniéw we mnie kipiał i palił się jak płomień. Mogłem słuchać wszystkiego co o kobiétach mówi mistrz, mogłem nawet sobie w tém podobać, mogłem z nich drwić na równi z innymi; ale wszystko to mogłem czynić dlatego, że nie stosowałem słów i drwinek do nikogo z moich, że mi i na myśl nawet nie przyszło, by teorya ogólna do drogich mi osób miała być stosowaną. Ale usłyszawszy imię mojéj przeczystéj sierotki, rzucone lekkomyślnie w téj knajpie, wśród dymu, brudów, próżnych butelek, korków i cynicznéj rozmowy, sądziłem, żem usłyszał tak obrzydłe świętokradztwo, takie pokalanie i taką krzywdę wyrządzoną Haniuli, iż z gniewu straciłem prawie przytomność.

Mirza przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, lecz potém szybko i jego twarz poczęła ciemnieć, oczy skrzyć się, na czoło, wystąpiły mu węzły żył, a rysy przeciągnęły się i stały ostre jak u prawdziwego Tatara.

— Ty mi bronisz mówić co mi się podoba!—zawołał głuchym, przerywanym przez szybki oddech głosem.

Na szczęście mistrz w téj chwili wpadł między nas.

— Nie godniście mundurów, które nosicie!—zawołał.—Cóżto, będziecie się bili, czy za uszy się porwiecie jak szkolne żaki? Ot filozofowie, którzy sobie szklanki o głowy rozbijają. Wstydźcie się! Wam to rozprawiać o kwestyach ogólnych. Wstydźcie się! Z walki pojęć do walki na pięście. Dalejże! A ja wam powiadam, że wnoszę toast na cześć uniwersytetów i że jesteście trutnie, jeżeli się nie trącicie zgodnie i jeżeli zostawicie choć kroplę w kieliszkach.

Ochłonęliśmy obaj. Selim jednak, choć więcéj pijany, ochłonął piérwszy.

— Przepraszam cię—rzekł miękkim głosem—jestem głupiec.

Uściskaliśmy się serdecznie i wychylili kieliszki do dna na cześć uniwersytetów. Potem mistrz zaintonował: *Gaudeamus*. Przez szklane drzwi, prowadzące do sklepu, kupczyki poczęli nam się przypatrywać. Na dworze zmierzchało się. Byliśmy wszyscy pijani co się nazywa. Wesołość nasza doszła do zenitu i poczęła się zwolna załamywać. Mistrz pierwszy popadł w zadumę i po niejakim czasie rzekł:

— Wszystko to dobre, ale, razem wziąwszy, życie jest głupie. To są wszystko sztuczne środki, a co tam temu w duszy się dzieje, to inna rzecz. Jutro podobne do dziś: taż sama biéda, cztery gołe ściany,

siennik, dziurawe buty i... tak bez końca. Praca i pı
ca, a szczęście... et! Człowiek się oszukuje jak mc
i zagłusza... Bywajcie zdrowi!

To mówiąc, nałożył na głowę czapkę z oberw
nym daszkiem, wykonał kilka mechanicznych ruchó
mających na celu zapięcie munduru na nieistniejąc
guziki, zapalił papierosa i machnąwszy ręką: rzekł:

— No! zapłaćcie tam, bom ja goły, i bądź
zdrowi. Możecie o mnie pamiętać lub nie. Wszyst
mi jedno. Ja tam nie jestem sentymentalny. Bądź
zdrowi, moje poczciwe chłopaki...

Ostatnie słowa wyrzekł głosem wzruszonym i mię
kim, jakby naprzekór oświadczeniu, że nie jest sent
mentalny. Biédne serce potrzebowało i było zdolne k
chać tak jak i każde inne, ale niedola od lat dzieci
nych, ubóstwo i obojętność ludzka, nauczyły je zam
kać się w sobie. Była to dusza dumna, choć gorąc
więc pełna zawsze obawy, by jéj nie odepchnięto, g
się komuś pierwsza zbyt serdecznie pochyli.

Zostaliśmy przez chwilę sami i pod wpływem jaki
goś smutku. Były to może smutne przeczucia, bo biédn
go mistrza naszego nie mieliśmy już więcéj widzieć w ż
ciu. Ani on sam, ani my nie domyślaliśmy się, że w je
piersiach tkwiły już oddawna zarody śmiertelnéj chorob
na którą nie było ratunku. Biéda, zbytnie wysilenie, pr
ca gorączkowa nad książkami, bezsenne noce i głód prz
śpieszyły rozwiązanie. W jesieni, na początku paździe
nika, mistrz nasz umarł na suchoty. Za trumną je
niewielu nawet szło kolegów, bo były to wakacye, i tyll
matka biédna, przekupka święconych obrazów i świ
woskowych z pod dominikańskiego kościoła, zawodzi
głośno za synem, którego często nie rozumiała za ż
cia, ale którego, jako zwyczajnie matka, kochała.

V.

Na drugi dzień po owéj naszéj pijatyce przyszły konie od starego Mirzy z Chorzel i obaj z Selimem ruszyliśmy rankiem do domów. Mieliśmy opętane dwie doby jazdy przed sobą, to téż zerwaliśmy się o świcie. W kamienicy naszéj spało wszystko jeszcze, tylko w oficynie naprzeciwko błysnęła w oknie wśród kwiatów gieranium, laków i fuksyi twarzyczka pensyonarki Józi. Selim nadziawszy na siebie torbę podróżną i akademicką czapkę, stanął w oknie gotowy już do drogi, aby dać poznać że wyjeżdża, na co odpowiedziano mu z pośród geranium melancholicznem wejrzeniem. Ale gdy jedną rękę położył na sercu, a drugą przesłał całusa, twarzyczka pomiędzy kwiatami zarumieniła się i cofnęła szybko w mroczną głąb' pokoju. Na dole na bruku podwórzowym zaturkotała bryczka zaprzężona w cztery dzielne konie; czas było się żegnać i siadać, ale Selim czekał i stał uporczywie w oknie, czekając czy jeszcze czego nie dojrzy. Nadzieja jednak go zawiodła i okienko pozostało puste. Dopiero gdy zeszliśmy na dół, przechodząc około ciemnéj sieni w oficynie, ujrzeliśmy na schodach dwie białe pończoszki, orzechową sukienkę, pochylony

biuścik i dwoje jasnych oczu przysłoniętych ręką, wpatrujących się z pomroki w jasność dzienną. Mirza wpadł natychmiast do sieni, ja zaś siadłszy na bryczkę stojącą tuż obok niéj, usłyszałem jakieś szepty i pewne odgłosy, bardzo podobne do odg'osu pocałunków. Poczém wyszedł Mirza, zarumieniony, pół śmiejący się, pół wzruszony i usiadł obok mnie. Woźnica zaciął konie, mimowo i obaj z Mirzą spojrzeliśmy w okienko; twarzyczka Józi znowu swieciła między kwiatkami; chwila jeszcze: wysunę'a się rączka z białą chustką; jeszcze jeden znak pożegnalny i bryczka wytoczyła się na ulicę, uwożąc mnie i śliczny ideał biednéj Józi.

Ranek był wczesny bardzo, miasto jeszcze spało; różowe światło zorzy biegało po oknach uśpionych kamienic; gdzieniegdzie tylko ranny ptaszek, przechodzień budził krokami uśpione echo; gdzieniegdzie stróż zamiatał ulicę: czasem zaturkotał wózek z warzywem ciągnący ze wsi na targ miejski. Zresztą cicho było a jasno, a powietrzno a rzeźwo, jako zwyczajnie w letnim poranku. Maleńka bryczuszka nasza, zaprzężona w cztery bachmaty, podskakiwała na bruku, jak ciągnięty na sznurku orzeszek. Wkrótce oblał nasze twarze rzeźwy i chłodny powiew rzeki, zatętniał most pod kopytami koni i po półgodzinnej jeździe byliśmy za rogatkami wśród pól obszernych i zbóż i lasów.

Szeroko piersi nasze oddychały przepysznem powietrzem poranku, a oczy pasły się okolicą. Ziemia budziła się ze snu; perlista rosa wisiała na mokrych liściach drzew i lśniła na kłosach zbóż wszelkich. W żywopłotach kręciły się wesoło ptaszki gwarnym świegotem i ćwirkaniem witając dzień śliczny. Las i łąki

wywijały się ze mgły porannej, niby z pieluch; tu i owdzie na łąkach lśniła woda, po któréj wśród złotych kwiatów kaczeńcu brodziły bociany. Różowe dymy wychodziły prosto w górę z kominów chat wiejskich, lekki wiatr naginał falą żółte łany dojrzałego żyta i strząsał z nich wilgoć nocną. Radość rozlana była wszędzie; zdawało się, że wszystko budzi się, żyje i że cała okolica śpiewa:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

Co działo się naówczas i w naszych sercach, łatwo zrozumié każdy, gdy przypomni sobie, jak za młodych lat swych wracał w taki cudny poranek letni do domu. Lata dzieciństwa i zależności szkolnéj były już poza nami, rozległ się szeroko wiek młodzieńczy, niby step bujny a pełen kwiatów, o nieskończonym widnokręgu; ciekawa a nieznana kraina, do któréj w podróż wyruszaliśmy pod dobrą wróżbą: młodzi silni, prawie ze skrzydłami u ramion, jakby orlęta. Ze wszystkich skarbów na świecie, największym skarbem jest młodość, a z tego skarbu nie wydaliśmy jeszcze przy całém bogactwie jego ani grosza.

Drogę odbywaliśmy szybko, bo na wszystkich głównych przestankach czekały na nas rozstawne konie. Drugiego dnia po całonocnéj jeździe, nad wieczorem, wyjechawszy z lasu ujrzeliśmy Chorzele, a raczéj śpiczasty szczyt domowego minaretu, świecący w blaskach zachodzącego słońca. Wkrótce wjechaliśmy na groblę wysadzoną wierzbami i ligustrem, po obu stronach któréj leżały dwa ogromne stawy z młynami i tartaki. Przeprowadzało nas senne grzechotanie i kumkanie żab, pławiących się po zarosłych trawą brze-

gach w ogrzanéj dziennym upałem wodzie. Znać było, że dzień kłonił się ku spoczynkowi. Groblą wracały do zabudowań folwarcznych stada bydła i owiec osłoniętych tumanami kurzu. Tu i owdzie gromadki ludzi z sierpami, kosami i grabiami, na ramionach, dążyły do domów przyśpiewując sobie: „dana, oj dana!“ Poczciwi ci ludzie zatrzymywali bryczkę, całując po rękach i witając serdecznie Selima. Wkrótce słońce pochyliło się jeszcze bardziéj ku zachodowi i ukryło do połowy swą jasną tarczę za trzcinami. Tylko złocista szeroka taśma światła odbijała się jeszcze środkiem stawów, po brzegach których drzewa przeglądały się w gładkiéj toni. Skręciliśmy trochę na prawo, i wnet, wśród lip, topoli, świerków i jesionów błysnęły białe ściany chorzelskiego dworu. Na podwórzu ozwał się dzwonek zwołujący ludzi na wieczerzę a jednocześnie z minaretowéj wieżyczki ozwał się smętny a śpiewny głos domowego muezina, zwiastujący że noc gwiaździsta spada z nieba na ziemię i że Allah jest wielki. Jakby do wtóru jeszcze muezinowi, bocian stojący na kształt etruskiego dzbana, w gnieździe umieszczoném na szczycie drzewa ponad dachem dworu, wyszedł na chwilę z posągowego spokoju, podniósł dziób, niby miedzianą włócznię do nieba, potém spuścił ją na pierś i zaklekotał, kiwając głową jakby na powitanie. Spojrzałem na Selima. Miał łzy w oczach a wejrzenie jego świeciło nieporównaną, właściwą tylko jemu słodyczą. Wjechaliśmy na dziedziniec.

Przed oszklonym gankiem siedział stary Mirza i pociągając błękitny dym z cybucha, poglądał radosném okiem na to ciche i pracowite życie, rojące się na onym wdzięcznym krajobrazie. Ujrzawszy swego

chłopaka, zerwał się żywo z miejsca, chwycił go w ramiona i począł długo przyciskać do piersi, bo choć surowy był dla syna, ale kochał go nad wszystko. Zaraz wypytał go o egzamina, poczém nowe nastąpiły uściski. Zbiegła się i cała liczna służba witać panicza, psy skakały radośnie wokół niego. Z ganku wypadła pędem chowana wilczyca, faworytka starego Mirzy. „Zula! Zula!"—zawołał na nią Selim, a ona skoczyła mu ogromnemi łapami na ramiona, polizała go po twarzy, a potém poczęła obiegać jak szalona naokoło skowycząc i pokazując z radości straszliwe zęby.

Weszliśmy następnie do sali jadalnéj. Poglądałem na Chorzele i na wszystko co się w nich znajdowało, jak człowiek, który pragnie odnowienia. Nie zmieniło się w nich nic; portrety przodków Selima: rotmistrzów, chorążych, wisiały jak i dawniéj na ścianach. Straszliwy Mirza, pułkownik petychorski z czasów Sobieskiego, spoglądał na mnie tak jak i dawniéj skośnemi, złowrogiemi oczyma, ale pocięte szablami jego oblicze wydało mi się jeszcze szpetniejsze i bardziéj straszne. Najbardziéj zmienił się Mirza, ojciec Selima. Czupryna z czarnéj stała mu się szpakowata, bujny wąs zbielał prawie zupełnie, a typ tatarski przebijał w rysach coraz wyraźniéj. Ach! jakaż różnica była między starym Mirzą a Selimem, między tém obliczem kościstém, surowém, srogiém nawet, a tą twarzą poprostu anielską, podobną do kwiatu, świéżą i słodką. Ale też trudno mi istotnie opisać miłość, z jaką stary spoglądał na chłopaka i z jaką wodził oczyma za każdym jego ruchem.

Nie chcąc im przeszkadzać, trzymałem się na uboczu; ale stary gościnny jak prawdziwy szlachcic polski, wnet zaczął mnie podejmować i ściskać i zatrzymywać

na noc. Nie chciałem się zgodzić na nocleg, bo pilno mi było do domu, ale musiałem przyjąć wieczerzę. Wyjechałem z Chorzel późną nocą i kiedym się zbliżał do domu, *kurki* już weszły na niebie, to się znaczy: była już północ. We wsi nie świeciły okienka, tylko zdaleka pod lasem widać było światełka ze smolarni. Pod chatami szczekały psy. W alei lipowéj, która wiodła do naszego dworu, ciemno było, choć oko wykol; jakiś człowiek przejechał z końmi obok, zawodząc półgłosem piosnkę, alem twarzy nie poznał. Zajechałem przed ganek dworu; w oknach było ciemno; widać spali już wszyscy: psy tylko wypadłszy ze wszystkich stron, poczęły koło bryczki ujadać. Wysiadłem i zastukałem do drzwi; przez długi czas nie mogłem się dostukać. Zrobiło mi się przykro, sądziłem bowiem, że będą mnie oczekiwać. Po niejakim dopiero czasie, światło zaczęło biegać tu i owdzie po szybach okien, a zaspany głos, w którym poznałem głos Franka, spytał:

— Kto tam?

Ozwałem się, Franek otworzył drzwi i zaraz przypadł mi do ręki. Spytałem czy wszyscy zdrowi?

— Zdrowi — odpowiedzlał Franek — ino starszy pan pojechał do miasta i dopiero jutro ma wrócić.

To mówiąc wprowadził mnie do jadalnego pokoju, zapalił lampę wiszącą nad stołem i wyszedł przyrządzać herbatę. Przez chwilę zostałem sam, z mojemi myślami i z bijącém żywo sercem; ale chwila ta krótko trwała, wkrótce bowiem nadbiegł ksiądz Ludwik w kitlu nocnym, poczciwa pani d'Yves ubrana również w bieli, w swoich zwykłych papilotach i w czepku, i Kazio, który o miesiąc wcześniéj przyjechał ze szkół na wakacye. Poczciwe serca witały mnie z rozczuleniem; podziwiano mój wzrost;

ksiądz utrzymywał żem zmężniał, pani d'Yves, żem wyładniał. Ksiądz Ludwik, biedaczysko, po niejakim dopiéro czasie zaczął mnie wypytywać nieśmiało o egzamina i o patent szkolny, a dowiedziawszy się o moich powodzeniach, aż się rozpłakał, tuląc mnie w objęciach i nazywając kochanym chłopakiem. A wtém z drugiego pokoju rozległ się tętent bosych nóżek i wpadły dwie moje małe siostrzyczki w koszulkach tylko i w czepeczkach, powtarzając: „Henliś psijechal. Henliś psijechal!“ i wskoczyły mi na kolana. Naprożno pani d'Yves wstydziła je, mówiąc, że to niesłychana rzecz, żeby takie dwie panny (jedna miała lat ośm, druga dziewięć) pokazywały się ludziom w takim „dezabilu.“ Dziewczynki nie pytając o nic, obejmowały mi szyję malutkiemi rączkami, przytulając swoje śliczne buzie do moich policzków. Po chwili spytałem nieśmiało o Hanię.

— O! urosła!—odpowiedziała pani d'Yves—zaraz tu przyjdzie, tylko się pewno stroi.

Jakoż nieczekałem długo, bo w pięć minut może potém, Hania weszła do pokoju. Spojrzałem na nią i Boże! co się z téj szesnastoletniéj, wątłéj i chudéj sierotki zrobiło przez pół roku. Przedemną stała już prawie dorosła, a przynajmniéj dorastająca panna. Kształty jéj wypełniły i zaokrągliły się cudnie. Twarz miała cerę delikatną, ale zdrową, na policzkach płonęły rumieńce, jakby odblask zorzy porannéj. Zdrowie, młodość, świeżość, wdzięk; biły od niéj jak od róży na rozkwitaniu. Zauważyłem że przypatrywała mi się z ciekawością swemi dużemi niebieskiemi oczyma, ale widziałem także, że musiała zrozumieć mój podziw i wrażenie, jakie na mnie czyniła, bo jakiś nieopisany uśmieszek błąkał się w kącikach jéj ust. W ciekawości, z jaką patrzyliśmy

wzajem na siebie, tkwiła już jakaś wstydliwość młodzieńcza i dziewicza. Oho! te proste serdeczne stosunki brata i siostry, stosunki dziecinne, poszły sobie gdzieś do lasu, aby nię wrócić więcéj.

Ach, jakaż ona była śliczna z tym uśmieszkiem i z cichą radością w oczach!

Światło lampy zawieszonéj nad stołem padało na jéj jasne włosy. Ubrana była w czarną sukienkę i w jakąś równie czarną włożoną naprędce narzutkę, którą przytrzymywała ręką na piersiach pod białą szyjką; ale w ubraniu tém znać było pewien wdzięczny nieład, pochodzący z pośpiechu, z jakim je na siebie kładła. Biło od niéj ciepło snu. Kiedym na powitanie dotknął jéj ręki, ręka ta była ciepła, miękka, aksamitna, a dotknięcie jéj przejęło mnie rozkoszném drżeniem. Zmieniła się Hania zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Odjechałem ją prostą dziewczynką, nawpół służebną; teraz była to panienka o szlachetnym wyrazie twarzy i szlachetnych ruchach, zdradzających dobre wychowanie i nawyknienia dobrego towarzystwa. Rozbudzona moralnie i umysłowo dusza przeglądała jéj z oczu. Przestała być dzieckiem pod każdym względem: dowodził tego ów nieokreślony uśmieszek i pewien rodzaj niewinnéj kokieteryi, z jaką na mnie spoglądała, z czego znać było że rozumié w jak dalece odmiennym od dawnego stosunku stoimy do siebie dzisiaj. Poznałem wkrótce nawet, że miała pewną wyższość nademną, bo ja, jakkolwiek więcéj ćwiczony w naukach, pod względem życiowym, pod względem rozumienia każdego położenia, każdego słowa, byłem jeszcze dość prostym chłopakiem. Hania więcéj miała swobody ze mną niż ja z nią. Moja powaga opiekuna i panicza, równie poszła gdzieś do lasu. Przez drogę układałem so-

bie jak mam Hanię przywitać, co z nią mówić, jak być dla niéj zawsze dobrym i pobłażającym, ale wszystkie te plany runęły zupełnie. Położenie jakoś tak poczęło się zaznaczać, że nie ja dla niéj dobrym i łaskawym, ale raczéj ona dla mnie dobrą i łaskawą być się zdawała. Na razie nie zdawałem sobie z tego jasno sprawy, ale czułem to więcéj niż rozumiałem. Układałem sobie, że będę wypytywał jéj o to, czego się uczy i czego się nauczyła, jak spędzała czas, czy pani d'Yves i ksiądz Ludwik byli z niéj kontenci; a tymczasem to ona, zawsze z tym uśmieszkiem w kącikach ust, wypytywała mnie com porabiał, czegom się uczył i co w przyszłości robić zamyślam. Dziwnie się wszystko inaczéj działo niż sobie zamierzyłem. Krótko mówiąc: stosunek nasz zmieniony był na wprost odwrotny.

Po godzinnéj rozmowie udaliśmy się wszyscy na spoczynek. Poszedłem do siebie trochę rozmarzony, trochę zdziwiony, trochę zawiedziony i pobity, ale przez rozmaite wrażenia. Podsycona na nowo miłość poczęła się przeciskać jak płomień przez szczeliny płonącego budynku i wkrótce pokryła owe wrażenia zupełnie. To poprostu postać Hani, ta postać dziewicza, rozkoszna, pełna uroków, tak jak ją ujrzałem nęcącą, owiniętą ciepłem snu, z białą rączką podtrzymującą nieład ubrania na piersiach i z rozpuszczonemi warkoczami, wzburzyła moję młodą wyobraźnię i przesłoniła mi sobą wszystko.

Usnąłem z obrazem jéj pod powiekami.

VI.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie i wybiegłem do ogrodu. Ranek był śliczny, pełen rosy i zapachu kwiatów. Biegłem szybko do grabowego szpaleru, bo serce mówiło mi że tam zastanę Hanię. Ale widocznie zbyt pochopne do przeczuć serce myliło się, gdyż Hani nie było tam wcale. Dopiero po śniadaniu znalazłem się z nią sam na sam i spytałem, czy nie zechce się przejść po ogrodzie. Zgodziła się chętnie i pobiegłszy do swego pokoiku, wróciła po chwili w dużym kapeluszu ryżowym na głowie, który ocieniał jéj czoło i oczy, i z parasolką w ręku. Z pod tego kapelusza uśmiechała się figlarnie do mnie, jakby chciała powiedzieć: „patrz, jak mi ładnie.“ Wyszliśmy razem do ogrodu. Skierowałem się do grabowego szpaleru, a przez drogę myślałem o tém, jakby zacząć rozmowę i o tém, że Hania, która z pewnością umiałaby to lepiéj odemnie, nie chce mi dopomódz, ale raczéj bawi się mojém zakłopotaniem. Szedłem tedy obok niéj w milczeniu, ścinając śpicrutą rosnące po rabatach kwiaty, aż nagle Hania rozśmiała się i chwytając za śpicrutę, rzekła:

— Panie Henryku, co panu winny te kwiaty?

— Eh! Haniu! co tam kwiaty, ale ot widzisz, nie umiem zacząć z tobą rozmowy; zmieniłaś się bardzo, Haniu. Ach! jak ty się zmieniłaś!

— Przypuśćmy, że tak jest. Czy to pana gniewa?

— Tego nie mówię—odrzekłem nawpół smutno—ale nie mogę się z tém oswoić, bo zdaje mi się, że tamta malutka Hania którą znałem dawniéj, i ty, to dwie inne istoty. Tamta zrosła się z memi wspomnieniami, z... mojem sercem, jak siostra, Haniu, jak siostra, a więc....

— A więc ta (tu wskazała paluszkiem na siebie) dla pana jest obca, nieprawdaż?—spytała cicho.

— Haniu! Haniu! jak ty możesz pomyśleć nawet coś podobnego.

— A przecież to bardzo naturalne, choć może smutne—odparła.—Szukasz pan w sercu dawnych braterskich uczuć dla mnie i nie znajdujesz ich: oto i wszystko.

— Nie, Haniu! ja nie w sercu szukam dawnéj Hani, bo ona tam jest zawsze; ale szukam jéj w tobie, a co do serca....

— Co do serca pana—przerwała mi wesoło—domyślam się, co się z niém stało. Zostało gdzieś w Warszawie przy jakiémś drugiém szczęśliwém serduszku. Łatwo to odgadnąć!

Spojrzałem jéj głęboko w oczy; sam nie wiedziałem, czy mnie trochę bada, czy licząc na wrażenie, jakie na mnie uczyniła wczoraj, a jakiego ukryć nie umiałem, igra sobie ze mną w sposób trochę okrutny. Ale nagle i we mnie obudziła się chęć oporu. Pomyślałem, że muszę mieć arcy-komiczną minę, poglądając na nią wzrokiem dobijanéj łani, więc zapanowałem nad uczuciami, jakie poruszyły mną w téj chwili i odrzekłem:

— A jeżeli tak jest istotnie?

Zaledwie dostrzegalny wyraz zdziwienia i jakby zniechęcenia przemknął po jasnéj twarzyczce Hani.

— Jeżeli tak jest istotnie—odparła—a więc to pan się zmienił, nie ja.

To rzekłszy, nachmurzyła się trochę i spoglądając na mnie z pod oka, szła przez jakiś czas w milczeniu, ja zaś starałem się ukryć radosne wzruszenie, jakiém przejęły mnie jéj słowa. Ona mówi, myślałem sobie, że jeśli inną kocham, to ja się zmieniłem, zatém nie ona się zmieniła, zatém ona mnie....

I nie śmiałem dokończyć z radości tego mądrego wniosku.

A z tém wszystkiém nie ja, nie ja, ale ona była zmieniona. Ta przed pół rokiem mała, o Bożym świecie nie wiedząca dziewczynka, któréj na myśl-by nie przyszło mówić o uczuciach i dla któréj podobna rozmowa byłaby chińskim językiem, dziś prowadziła ją tak swobodnie i wprawnie, jakby recytowała wyuczoną lekcyę. Jakże rozwinął się i stał się giętkim ten niedawno dziecinny umysł! Ale z panienkami dzieją się cuda podobne. Nie jedna wieczorem zasypia dzieckiem, rankiem budzi się dziewicą, z innym światem uczuć i myśli. Dla Hani, z natury bystréj, pojętnéj i wrażliwéj, pół roku czasu, przejście szesnastu lat wieku, inna sfera towarzyska, nauki, czytane może ukradkiem książki, wszystko to wystarczało aż nadto.

Ale tymczasem szliśmy obok siebie w milczeniu. Przerwała je teraz pierwsza Hania.

— Więc i oto pan zakochany, panie Henryku?

— Może—odpowiedziałem z uśmiechem.

— To pan będzie tęsknił za Warszawą?

Nie, Haniu. Radbym nigdy ztąd nie wyjeżdżać.

Hania spojrzała na mnie szybko. Chciała widocznie coś powiedzieć i zamilkła, ale po chwili uderzyła zlekka parasolką po sukni i rzekła, jakby odpowiadając na własne myśli:

— Ach! jakże ja jestem dziecinna!

— Dlaczego to mówisz, Haniu?—spytałem.

— E! nic. Siądźmy na téj ławce i mówmy o czém inném. Prawda, jaki ztąd piękny widok?—spytała nagle ze znanym mi uśmiechem na ustach.

Siadła na ławce nieopodal szpaleru, pod ogromną lipą, zkąd istotnie widok był bardzo piękny na staw, groble i las za stawem. Hania ukazywała mi go parasolką, ale ja, jakkolwiek miłośnik pięknych widoków, nie miałem najmniejszéj ochoty nań patrzeć, bo raz, że znałem go doskonale, powtóre, miałem przed sobą Hanię, piękniejszą stokroć od wszystkiego co ją otaczało, a nakoniec myślałem zupełnie o czém inném.

— Jak tam ślicznie te drzewa odbijają się w wodzie—mówiła Hania.

—Widzę że jesteś artystką—odparłem, nie patrząc w stronę drzew, ani wody.

— Ksiądz Ludwik uczy mnie rysować. O! ja dużo się uczyłam przez ten czas, kiedy pana tu nie było; chciałam... ale co panu jest? czy się pan gniewa na mnie?

— Nie Haniu, ja się nie gniewam, bo nie umiałbym się gniewać na ciebie; ale widzę, że wymijasz moje pytanie i że ot! oboje gramy z sobą w ślepą babkę, zamiast rozmawiać szczerze i z ufnością, jak za dawnych czasów. Może ty tego nie czujesz, ale mnie to przykro, Haniu!...

Te proste słowa sprawiły tylko ten skutek, że wprowadziły nas oboje w ogromne zakłopotanie. Hania podała mi wprawdzie obie ręce; ja uścisnąłem te ręce może zbyt silnie i, o zgrozo? pochyliwszy się szybko, ucałowałem je wcale jakoś nie tak, jak na opiekuna przystało. Następnie zmieszaliśmy się oboje do najwyższego stopnia: ona zaczerwieniła się aż po szyjkę; ja również, i wreszcie zamilkliśmy, nie wiedząc ani be, ani me, jak zacząć tę rozmowę, która miała niby być szczerą i pełną ufności.

Potém ona spojrzała na mnie, ja na nią i znowu wywiesiliśmy na twarzach czerwone chorągwie. Siedzieliśmy obok siebie jak dwie lalki: zdawało mi się, że słyszę przyśpieszone bicie własnego serca. Położenie nasze było nieznośne. Chwilami czułem; że jakaś ręka bierze mnie za kołnierz i chce rzucić do jéj stóp, a druga trzyma za włosy i nie puszcza: nagle Hania zerwała się i rzekła szybkim pomieszanym głosem:

— Muszę już iść; mam lekcyą o téj godzinie z panią d'Yves: już blizko jedenasta.

Udaliśmy się tąż samą drogą ku domowi. Szliśmy tak jak i poprzednio, w milczeniu ja jak i poprzednio ścinałem śpicrutą główki kwiatów, ale ona już nie litowała się nad niemi.

Pięknie wróciły nasze dawne stosunki, niéma co mówić.

Jezus, Marya! co się ze mną dzieje—pomyślałem sobie, kiedy Hania pozostawiła mnie samego. Byłem zakochany tak, że aż włosy powstawały mi na głowie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Ludwik i wziął mnie z sobą do gospodarstwa. Po drodze opowiadał mi mnóstwo rozmaitych rzeczy, tyczących się naszego majątku,

które nie zajmowały mnie ani trochę, choć udawałem, że słucham uważnie.

Brat mój, Kazio, który korzystając z wakacyi, całe dnie przesiadywał za domem, w stajniach, w lesie, ze strzelbą, na koniu lub na łodzi; w téj chwili właśnie ujeżdżał pod wierzch na podwórzu folwarcznem młode konie ze stadniny. Ujrzawszy mnie i księdza, przygalopował do nas na jakimś kasztanie, który rzucał się pod nim jak wściekły i kazał nam podziwiać jego kształty, ogień i chody, poczém zsiadł i poszedł z nami. Zwiedziliśmy razem stajnie, obory, stodoły i wybieraliśmy się właśnie w pole, gdy dano znać, że przyjechał mój ojciec, trzeba więc było wrócić do domu. Ojciec przywitał mnie tak gorąco jak nigdy. Dowiedziawszy się o egzaminach, wziął mnie w objęcia i oświadczył, że odtąd chce mnie uważać za dorosłego. Jakoż istotnie w obejściu się jego zè mną zaszły wielkie zmiany. Traktował mnie poufaléj i serdeczniéj. Zaraz począł ze mną mówić o interesach naszych majątkowych, zwierzył mi się z zamiarami dokupienia jednego z sąsiednich majątków i pytał mnie o zdanie. Domyśliłem się, że mówi o tém umyślnie, aby okazać mi, jak poważnie sam patrzy na znaczenie moje jako dorosłego i najstarszego syna w rodzinie. A przytém widziałem, jak istotnie cieszył się mną i postępami memi w nauce. Dumie jego rodzicielskiéj pochlebiały niezmiernie świadectwa nauczycieli, jakie z sobą przywiozłem. Zauważyłem przytém że bada mój charakter, sposób myślenia, pojęcia o honorze i że umyślnie zadaje mi rozmaite pytania, aby mnie z nich wymiarkować. I widać, egzamin ten rodzicielski wypadł pomyślnie, bo jakkolwiek

zasady moje filozoficzne i społeczne były już arcy od ojcowskich odmienne, alem się z niemi nie wydawał, w innych zaś pojęciach nie mogliśmy się różnić. To téż surowa, lwia twarz mego ojca rozjaśniona była jak nigdy. Obsypał mnie tego jeszcze dnia darami, darował mi parę pistoletów, z których strzelał się niedawno z p. v. Zollem i na których zakarbowanych było kilka innych pojedynków, jakie odbywał za młodych swych lat, służąc wojskowo. Następnie otrzymałem pysznego konia wschodniéj krwi i starą szablę po ojcach, z rękojeścią sadzoną kamieniami, z klingą szeroką damasceńską, z obrazem Matki Boskiéj, cyzelowanym złotem na stali i z napisem: Jezus, Marya! Szabla ta stanowiła jednę z najcelniejszych naszych pamiątek rodzinnych, a przytém wieczny od dawnych lat przedmiot westchnień moich i Kazia, bo cięła żelazo jak wióry. Ojciec dając mi ją, wydobył ją z pochwy, machnął nią parę razy aż zawarczało powietrze i blask zrobił się w pokoju; potém nakreślił nią krzyż nad moją głową, ucałował obraz Matki Boskiéj i wręczając mi ją, rzekł: „W godne ręce! ja nie zrobiłem jéj wstydu, nie zrób i ty!“ Potém rzuciliśmy się sobie w objęcia, a szablę tymczasem porwał z zapałem Kazio i jakkolwiek piętnastoletni dopiéro chłopak, ale nadzwyczaj silny, począł wykonywać nią cięcia, których dokładności i szybkości nie powstydziłby się żaden doświadczony nauczyciel fechtunku. Ojciec spoglądał na niego z zadowolenien i rzekł:

— To będzie gracz, ale i ty tak potrafisz? nieprawda?

— Potrafię, ojcze. Kaziowibym jeszcze poradził. Ze wszystkich kolegów, z którymi uczyłem się razem *fechtować*, jeden przewyższał mnie tylko.

— Kto taki?

— Selim Mirza.

Ojciec skrzywił się.

— Ach! Mirza! Ale ty musisz być silniejszy.

— To też to jedno, co pozwala mi się z nim trzymać. No, ale przecież z Selimem nie pobijemy się nigdy.

— Ej! różnie to bywa—odpowiedział mój ojciec.

Po obiedzie dnia tego, siedliśmy wszyscy w obszernym, winem obrośniętym ganku, z którego widok był na ogromny dziedziniec i w dali na cienistą drogę, sadzoną lipami. Pani d'Yves robiła szydełkiem obrus do kaplicy, ojciec i ksiądz Ludwik palili fajki, popijając czarną kawę, Kazio kręcił się przed gankiem, goniąc oczyma zwroty powietrzne jaskółek, do których miał ochotę strzelać kulami, a do których ojciec strzelać mu nie pozwolił, my zaś z Hanią oglądaliśmy przywiezione przezemnie rysunki i jak najmniéj myśleliśmy o rysunkach: przynajmniéj dla mnie służyły one tylko do ukrywania przed innemi spojrzeń, jakie rzucałem na Hanię.

— Cóż, a jakże tam znalazłeś Hanię? zbrzydła ci bardzo, panie opiekunie? — spytał mnie ojciec, spoglądając żartobliwie na dziewczynkę.

Zacząłem nader pilnie wpatrywać się w rysunek i odpowiedziałem z poza papiéru.

Nie powiem, ojcze, żeby zbrzydła, ale wyrosła i zmieniła się.

— Już mi pan Henryk robił o te zmiany wyrzuty — wtrąciła swobodnie Hania.

Podziwiałem jéj odwagę i przytomność: ja byłbym o tych wyrzutach tak swobodnie nie wspominał.

— Cotam, czy zbrzydła, czy wyładniała — rzekł ksiądz Ludwik—ale uczy się i szybko i dobrze. Niech *madame powié*, jak prędko nauczyła się po francuzku.

Trzeba wiedzieć, że ksiądz Ludwik, lubo człowiek bardzo wykształcony, nie umiał po francuzku i nie mógł się nauczyć, choć kilkanaście lat spędził pod naszym dachem z panią d'Yves. A biédak miał słabość do francuzczyzny i znajomość jéj uważał za niezbędną cechę wyższego wykształcenia.

— Nie mogę Hani zaprzeczyć, że uczy się łatwo i chętnie — odpowiedziała pani d'Yves, ale jednak muszę się na nią panu poskarżyć — dodała, zwracając się ku mnie.

— O! pani, cóżem znów przewiniła?—zawołała Hania, składając ręce.

— Coś przewiniła? zaraz się tu będziesz tłómaczyć —odparła pani d'Yves.—Niech sobie pan wyobrazi, że ta panienka jak tylko znajdzie chwilę czasu, zaraz chwyta za powieść, i mam pewne powody sądzić, że kiedy idzie spać, to zamiast zgasić świecę i spać, czyta jeszcze po całych godzinach.

— To robi bardzo niedobrze; ale zresztą wiem zkądinąd, że naśladuje swoję nauczycielkę—rzekł mój ojciec, który lubił się sprzeciwiać pani d'Yves, gdy był w dobrym humorze.

— O, bardzo przepraszam, ja mam czterdzieści pięć lat—odpowiedziała Francuzka.

— Patrzcie, nigdybym tego nie powiedział—odrzekł ojciec.

— Nie dobry pan jesteś.

— Nie wiem, ale wiem tylko, że Hania, jeżeli dostaje zkąd powieści, to nie z biblioteki, bo klucz od biblioteki ma ksiądz Ludwik. Wina zatém na nauczycielkę spada.

Rzeczywiście pani d'Yves całe życie czytywała romanse, a mając namiętność do opowiadania ich wszystkim, musiała zapewne opowiadać je i Hani, dlatego w słowach ojca nawpół żartobliwych, kryła się pewna prawda, którą umyślnie chciał wypowiedzieć.

— Patrzcie państwo, ktoś do nas jedzie—zawołał nagle Kazio.

Spojrzeliśmy wszyscy w ciemnię lipowéj alei i istotnie na początku jéj, może o wiorstę jeszcze drogi, ujrzeliśmy obłok kurzu, który przybliżał się ku nam z nadzwyczajną szybkością.

— Kto to może być? co za szybkość—zauważył powstając ojciec.—Kurz taki, że nic nie można rozeznać.

Rzeczywiście upał był ogromny; dészcz nie padał już przeszło dwa tygodnie, więc po drogach tumany białego pyłu wznosiły się za każdym ruchem. Patrzyliśmy jeszcze chwilę napróżno na zbliżający się obłok, który był już nie daléj, jak o kilkadziesiąt kroków od dziedzińca, gdy nagle z tumanu wychyliła się głowa końska z czerwonemi, rozdętemi chrapami, z ognistemi oczyma i z rozwianą grzywą. Biały koń pędził w największym galopie, nogami zaledwie tykając ziemi, a na nim, pochylony na szyję końską po tatarsku, nie kto inny, tylko mój przyjaciel Selim.

— Selim jedzie, Selim!—zawołał Kazio.

— Co ten waryat robi! brama zamknięta!—krzyknąłem zrywając się z miejsca.

Nie było czasu już bramy otworzyć, bo nikt nie zdołałby na czas nadbiedz; tymczasem Selim pędził jak szalony na oślep i prawie pewném było, że wpadnie na sztachety, przeszło dwa łokcie wysokie i pozaostrzane u góry.

— Boże! zmiłuj sie nad nim!—wykrzyknął ksiądz Ludwik.

— Brama! Selimie! brama!—krzyczałem jak opętany, machając chustką i biegnąc co siły w poprzek dziedzińca.

Nagle Selim, o jakie pięć kroków od bramy wyprostował się na siodle, zmierzył spojrzeniem jak błyskawicą sztachety. Potém doszedł mnie krzyk kobiét siedzących w ganku, gwałtowne tupotanie kopyt; koń wspiął się zawisnął przedniemi kopytami w powietrzu i w największym pędzie przesadził sztachety, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Dopiero przed gankiem Selim osadził go tak, że aż kopyta zaryły mu się w ziemię i zerwawszy kapelusz z głowy, zaczął wywijać nim jak chorągiewką i krzyczeć:

— Jak się macie, moi drodzy, kochani państwo! jak się macie! Moje uszanowanie panu dobrodzejowi!— wołał, kłaniając się ojcu — moje uszanowanie kochanemu księdzu, pani d'Yves, pannie Hannie! Jesteśmy znów wszyscy razem. Wiwat! wiwat.

To mówiąc, zeskoczył z konia i rzuciwszy cugle Frankowi, który w téj chwili wybiegł z sieni począł ściskać ojca, księdza i całować po rękach kobiéty.

Pani d'Yves i Hania były jeszcze blade ze strachu, ale właśnie dla tego witały Selima jak ocalonego a ksiądz Ludwik rzekł:

— A waryacie, waryacie! coś ty nam strachu narobił. Myśleliśmy, że już po tobie.

— No, albo co?

— A z tą bramą. Jakto można tak pędzić na oślep!

— Na oślep? Przecie ja widziałem, że brama mknięta. Oho! mam ja swoje doskonałe tatarskie oczy.

— I nie bałeś się skakać?

Selim rozśmiał się.

— Nie! ani trochę, księże Ludwiku. Ale wreszcie, zasługa mego konia, nie moja.

— *Voila un brave garçon!*—rzekła pani d'Yves.

— O, tak! nie każdyby się na to odważył — dołа Hania.

— Chcesz powiedzieć—odparłem—że nie każdyby ń przeskoczył, bo ludzi znalazłoby się takich więcéj.

Hania zatrzymała na mnie długie spojrzenie:

— Nie radziłabym panu próbować.

Poczém spojrzała na Selima, a wzrok jéj wyrażał dziw, bo istotnie, pominąwszy już zuchwały krok Taa, który był jednym z tych hazardów, jakie zawsze łobają się kobietom, trzeba było widzieć go, jak wyądał w téj chwili. Śliczne czarne włosy spadały mu na ło, policzki miał zarumienione szybkim ruchem, oczy szczące z których biła wesołość i radość. Gdy stał az koło Hani, patrząc jéj z ciekawością w oczy, kniejszych dwojga ludzi żaden artysta nie umiałby marzyć.

Co do mnie, byłem do najwyższego stopnia donięty jéj słowami. Zdawało mi się, że owo: „nie radłabym próbować," wyrzekła głosem, w którym drgał diś ton ironii. Spojrzałem pytającym wzrokiem na a, który przed chwilą oglądał Selimowego konia. ałem jego ambicyą rodzicielską, wiedziałem, że był zdrosny ilekroć kto w czémkolwiek mnie przewyższył w Selimie gniewało go to oddawna; dlatego liczyłem

że nie sprzeciwi mi się, jeżeli zechcę okazać, iż nie jestem gorszym od Selima jeźdzcem.

— Ten koń istotnie dzielnie skacze, ojcze—rzekłem:

— Ale i ten szatan dzielnie siedzi—odmruknął.— A ty, czybyś tak potrafił?

— Hania wątpi—odparłem z pewną goryczą. — Mogęż spróbować?

Ojciec zawahał się, rzucił oczyma na sztachety, na konia, na mnie i rzekł:

Daj pokój.

— Naturalnie!—zawołałem z żalem. — Lepiéj mi uchodzić za babę w porównaniu z Selimem.

— Henryku! co téż ty wygadujesz!—zawołał Selim, otoczywszy moją szyję ramieniem.

— Skacz! skacz, chłopcze! a spraw się dobrze!— rzekł ojciec, którego duma była dotkniętą.

— Konia mi tu! — zawołałem na Franka, który oprowadzał zwolna po dziedzińcu, zmęczonego wierzchowca.

Hania nagle zerwała się z miejsca.

— Panie Henryku!—zawołała—to ja jestem powodem téj próby. Ja nie chcę, nie chcę. Pan tego nie zrobi... dla mnie.

I to mówiąc, patrzyła mi w oczy, jakby chciała dopowiedzieć wzrokiem wszystko to, czego nie mogła wyrazić słowami.

Ach! za ten jéj wzrok oddałbym ostatnią kroplę krwi w téj chwili, ale nie mogłem i nie chciałem się cofnąć. Obrażona duma moja była w téj chwili silniejszą od wszystkiego, dlatego zapanowałem nad sobą i odpowiedziałem sucho:

— Mylisz się, Haniu, jeśli sądzisz, że ty jesteś powodem. Będę skakał dla własnéj przyjemności.

To mówiąc, mimo protestacyi wszystkich z wyjątkiem ojca, siadłem na koń i stępo ruszyłem w lipową aleę. Franek otworzył bramę i zamknął ją za mną natychmiast. Miałem gorycz w duszy i skakałbym przez te sztachety, choćby jeszcze dwa razy były wyższe. Ujechawszy ze trzysta kroków, zwróciłem konia i puściłem go kłusem, który natychmiast zmieniłem w galop.

Nagle spostrzegłem, że siodło chwieje się podemną.

Stało się jedno z dwojga: albo popręg nadpękł w czasie poprzedniego skoku, albo Franek rozluźnił go koniowi dla odetchnienia i przez głupotę, czy może przez zapomnienie, nie ostrzegł mnie o tém dość wcześnie.

Teraz już było zapóźno. Koń w największym pędzie zbliżał się do sztachet, ja zaś nie chciałem go już cofać. Zabiję się, to się zabiję! myślałem sobie. Ogarnęła mnie jakaś rozpacz. Ścisnąłem konwulsyjnie boki konia: wiatr świszczał mi w uszach. Nagle sztachety błysnęły mi tuż przed oczyma, machnąłem śpicrutą, uczułem się uniesiony w powietrze, o uszy obił mi się krzyk z ganku, w oczach mi pociemniało i... po chwili ocuciłem się z omdlenia na gazonie.

Zerwałem się na równe nogi.

— Co się stało? — zawołałem. — Zleciałem? Zemdlałem.

Koło mnie stał ojciec, ksiądz Ludwik, Selim, Kazio, pani d'Yves i Hania blada jak płótno, ze łzami w oczach.

— Co ci jest? co ci jest? wołano ze wszystkich stron.

— Nic zupełnie. Zleciałem, ale to nie z mojéj winy. Popręg był pęknięty.

Istotnie, po chwilowém omdleniu czułem się zdrów zupełnie, tylko trochę brakło mi oddechu. Ojciec począł dotykać moich rąk, nóg i pleców.

— Nie boli—pytał.

— Nie. Jestem zdrów zupełnie.

Wkrótce wrócił mi i oddech. Byłem tylko zły, bo mi się zdawało, że wydaję się śmiesznym. Bo téż musiałem wyglądać śmiesznie. Zlatując z konia przeleciałem z impetem przez całą szerokość drogi idącéj koło trawnika, i padłem na trawnik, skutkiem czego łokcie i kolana mego jasnego ubrania umalowane były na zielono, a ubranie i włosy w nieładzie. Ale z tém wszystkiém, niefortunny ów wypadek oddał mi na razie pewną przysługę. Oto przed chwilą przedmiotem ogólnego zajęcia naszego kółka był Selim, jako gość i jako gość świeżo przybyły; teraz ja wprawdzie kosztem moich łokci i kolan odebrałem mu tę palmę. Hania przypisując ciągle sobie, a mówiąc nawiasem, słusznie, powód téj hazardownéj próby, która tak mogła się źle dla mnie skończyć, starała się wynagrodzić mi dobrocią i słodyczą swoję nieostrożność. Pod takim wpływem odzyskałem téż wkrótce wesołość, która udzieliła się i całemu, przed chwilą przerażonemu towarzystwu. Bawiliśmy się doskonale; podano podwieczorek, przy którym Hania była gospodynią, a potém wyszliśmy do ogrodu. W ogrodzie Selim rozszalał się jak małe dziecko; śmiał się, dokazywał, a Hania pomagała mu z całéj duszy. Wreszcie Selim rzekł:

— Ach! jak my się teraz będziem bawić we troje.

— Ciekawam—rzekła Hania—które z nas najweselsze?

— To pewno ja—odpowiedział.

— A może ja? O ja także z natury jestem bardzo wesoła.

— A najmniej wesoły, to Henryk—dorzucił Selim.—On z natury jest poważny i trochę melancholiczny. Żeby żył w średnich wiekach, to zostałby błędnym rycerzem i trubadurem, tylko prawda; nie umié śpiewać! Ale my—dodał, zwracając się do Hani—tośmy się w korcu maku szukali i dobrali.

— Ja się na to nie zgadzam—rzekłem.—Za dobrane usposobienia uważam usposobienia przeciwne, bo w takim razie jedno ma te własności, których brak drugiemu.

— Dziękuję ci—odparł Selim.—Przypuszczam, że ty z natury lubisz płakać, a panna Hanna się śmiać. No dajmy na to: żenicie się...

— Selim!

Selim spojrzał na mnie i począł się śmiać...

— A to co, paniczku!? Ha! ha! A pamiętasz ty mowę Cycerona Pro Archia? *commoveri videtur juvenis*, co po polsku brzmi: zmieszanym wydaje się być młodzieniec. Ale to nie znaczy nic, bo ty sławnie nawet bez powodu raki pieczesz. Panno Hanno! on sławnie raki piecze, a teraz napiekł ich za siebie i za panią.

— Selim!

— Nic, nic. Wracam do założenia. Ty więc, panie płaczku, i pani, pani śmieszko, żenicie się. Otóż co się dzieje: on zaczyna beczéć, pani zaczyna się śmiać; nie rozumiecie się nigdy: nie schodzicie się nigdy, rozchodzicie się zawsze, i co mi to za dobrane natury.

O! ze mną to co innego! my poprostu śmielibyśmy się całe życie i koniec.

— Ach! co też pan mówi—odpowiedziała Hania: swoją drogą oboje zaczęli się śmiać w najlepsze.

Co do mnie nie miałem do śmiechu najmniejszéj ochoty. Selim ani wiedział jaką mi krzywdę robił wmawiając w Hanię ową różnicę między usposobieniem jéj i mojém. Byłem do najwyższego stopnia rozgniewany i dlatego ozwałem się do Selima z przekąsem:

— Dziwny masz pogląd, a dziwi mnie on tém bardziéj, że zauważyłem, iż masz pewną słabość do osób melancholicznych.

— Ja?—rzekł z niekłamaném zdziwieniem.

— Tak. Przypomnę ci tylko pewne okienko, kilka fuksyi w okienku i twarzyczkę między fuksyami. Daję ci słowo, że nie znam tak melancholicznéj twarzy.

Hania poczęła klaskać w ręce.

— Oho! dowiaduję się czegoś nowego!—zawołała śmiejąc się.—A ślicznie, panie Selimie! ślicznie!

Myślałem, że Selim zmiesza się i straci fantazyą, ale on tylko rzekł:

— Henryku!

— Co?

— Wiész co robią z tymi co mają zadługi język?

I w śmiech.

Hania jednak poczęła mu się sprzeciwiać i napierać, by powiedział jéj choć imię swojéj wybranéj. Nie namyślając się długo, powiedział: „Józia!“ Ale gdyby sobie był co z tego robił, zapłaciłby drogo za swoję szczerość, bo Hania odtąd nie dała mu już spokoju aż do samego wieczora.

— Czy ładna?—pytała.

— Taka sobie.

— Jakie ma włosy, oczy?

— Ładne, ale nie takie, jakie mi się najwięcéj ze wszystkich podobają.

— A jakie się panu podobają?

— Włosy jasne, a oczy, jeżeli łaska, niebieskie, takie jak te, w które patrzę teraz.

— Oo! panie Selimie!

I Hania zachmurzyła się, Selim zaś złożył ręce, przymilił się i z tą swoją nieporównaną słodyczą w oczach począł mówić:

— Panno Hanno! niech pani się nie gniewa? co pani biédne Tatarzysko zawiniło? Niech pani się nie gniewa! niech pani się rozśmieje.

— Hania patrzyła na niego i w miarę jak patrzyła, chmurka znikała z jéj czoła. Poprostu oczarował ją. Uśmieszek począł się błąkać w kącikach jéj ust; rozjaśniły się oczy, rozpromieniła twarzyczka i wreszcie odpowiedziała miękkim, łagodnym głosem:

— Dobrze, nie będę się gniewać, ale proszę być grzecznym.

— Będę, jak Mahometa kocham: będę!

— A bardzo pan kocha swojego Mahometa?

— Jak psy dziada.

I znowu zaczęli się śmiać oboje.

— No, a teraz niech mi pan powié—podjęła na nowo rozmowę Hania—w kim się kocha pan Henryk? Pytałam go, ale mi nie chciał powiedzieć.

— Henryk?... Wié pani co (tu Selim popatrzył na mnie z pod oka), on się chyba jeszcze w nikim nie kocha, ale się będzie kochał. Oho! wiem doskonale w kim! i co do mnie...

— Co do pana?... — spytała Hania, usiłując pokryć zmieszanie.

— Zrobiłbym toż samo. Ale zresztą... poczekajcie państwo: może on się już i kocha.

— Tylko proszę cię, daj pokój, Selimie!

— Mój-to poczciwy chłopczysko! — rzekł Selim ściskając mnie za szyję.—Ach! żeby pani wiedziała jaki on poczciwy!

— O! wiem o tém!—odrzekła Hania.—Pamiętam jaki był dla mnie po śmierci dziadka.

Chmurka smutku przeleciała teraz pomiędzy nami.

— Powiadam pani—mówił Selim, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot—powiadam pani, że jak po egzaminie do szkoły głównéj popiliśmy się razem z naszym mistrzem...

— Popili?

— Tak! O! to jest zwyczaj taki, któremu nie można uchybiać. Więc, kiedyśmy się popili, wtedy, bo to ja, widzi pani, jestem roztrzepany, wniosłem pani zdrowie. Niemądrze zrobiłem, widzi pani; ale Henryk jak się zerwie: „Jak ty śmiesz wymawiać imię Hani w takiem miejscu?“ powiada do mnie. Bo to był sobie sklep pijacki. Małośmy się nie poczubili. Ale on pani nie da ubliżyć, co nie, to nie.

Hania podała mi rękę.

— Panie Henryku! jaki pan dobry.

— No, dobrze—odpowiedziałem, ujęty słowami Selima — ale powiedz sama, Haniu, czy Selim nie jest równie poczciwy, że opowiada takie rzeczy.

— O! to mi wielka poczciwość! — rzekł śmiejąc się Selim.

— Ale tak! odpowiedziała Hania—obaj panowie jesteście warci siebie i będzie nam razem bardzo dobrze.

— Pani będzie naszą królową!—wykrzyknął z zapałem Selim.

— Panowie! Haniu! prosimy na herbatę—ozwał się z werendy ogrodowéj głos pani d'Yves.

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w jak najlepszém usposobieniu. Stół zastawiony był pod werendą; świéce objęte szklanemi kielichami, paliły się migotliwém światłem, a ćmy rojem krążąc koło światła, tłukły się o szklane ściany kielichów; listki dzikiego winogradu szeleściały kołysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył się wielki złoty miesiąc. Ostatnia rozmowa pomiędzy mną, Hanią i Selimem, nastroiła nas na ton dziwnie łagodny i przyjazny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziałał i na starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika były wypogodzone jak niebo.

Po herbacie, pani d'Yves zaczęła kłaść passyans, ojciec zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdyż zaczął opowiadać o dawnych czasach, co u niego zawsze było znakiem dobrego humoru.

— Pamiętam raz—mówił—staliśmy niedaleko jakiejś wioski w Krasnostawskiém; noc, pamiętam, była ciemna choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił go nad świecę), człowiek był zmęczony jak żydowska szkapa, stoimy tedy sobie cicho, a wtém....

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był je nieraz słyszał, powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniéj, zakładał okulary na czoło i kiwając głową, powtarzał: „uhum! uhum!“ albo też wykrzyki-

wał: „Jezus, Marya!—no i co!“ My z Selimem, oparłszy się o siebie ramionami, z utkwionemi oczyma w ojca, łowiliśmy z chciwością jego słowa; ale wrażenia na żadnéj twarzy nie malowały się tak wybitnie, jak na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce biły na twarz, wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Yves spojrzawszy nań, uśmiechnęła się i pokakazała go oczyma Hani, a potém obie poczęły mu się przypatrywać, bo bawiła je ta twarz, jakby zwierciadło, albo jak szyba wodna, w któréj odbija się wszystko, co tylko zbliży się do przezroczy.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydlata ustawicznie przesuwa mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichéj nocy letniéj i takiéj rodziny zgodnéj kochającéj się, szczęśliwéj; stary, posiwiały weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzą się oczy, daléj jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej! dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu.

Tymczasem wybiła godzina dziesiąta. Selim zerwał się, bo miał rozkaz wracać na noc do domu. Postanowiliśmy, że całe towarzystwo odprowadzi go jeszcze aż do krzyża stojącego na końcu alei lipowéj, blizko drugiego kołowrotu; ja zaś konno daléj jeszcze, bo aż za łąki. Wyruszyliśmy tedy wszyscy, oprócz Kazia, który rozespał się już w najlepsze.

Ja, Hania i Selim wysunęliśmy się naprzód: my obaj prowadząc konie za cugle, Hania między nami

we środku. Starsi we troje szli za nami. W alei ciemno było; księżyc tylko przedzierając się przez gęste liście, pstrzył srebrnemi plamami ciemną drogę.

— Zaśpiewajmy co—rzekł Selim—jaką starą pieśń a ładną, naprzykład o Filonie.

— Tego już nigdzie nie śpiewają—odparła Hania—ja umiem inną: „Oj, jesienią, jesienią więdnie liść na drzewie!“

Ułożyli się wreszcie, że będą śpiewać naprzód o Filonie, co bardzo lubił i ksiądz i ojciec, bo im to przypominało dawne czasy, a potém: „Oj, jesienią, jesienią!“ Hania oparła białą rączkę o grzywę Selimowego konia i zaczęli śpiewać:

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
A tam ktoś klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod ulubionym jaworem...“

Gdy skończyli, ozwały się z ciemności za nami głosy starszych: „brawo! brawo! zaśpiewajcie jeszcze co.“ Ja wtórowałem jak mogłem, alem nie umiał dobrze śpiewać, a Hania i Selim mieli śliczne głosy, szczególniéj zaś Selim. Czasami, gdym zbyt przekręcił nutę, śmieli się ze mnie oboje. Potém zanucili jeszcze kilka pieśni, podczas których myślałem sobie: dlaczego ta Hania trzyma rękę na grzywie konia Selima, a nie mego? Ten koń szczególniéj jéj się podobał. Chwilami przytulała się do jego szyi lub klepiąc ją ręką, powtarzała: „mój koniczek, mój!“ a łagodne zwierzę parskało i wyciągało rozwarte, chrapiące nozdrza w kierunku jéj ręki, jakby szukając cukru. Wszystko to sprawiło, że posmutniałem znowu i nie patrzyłem na nic, tylko na tę rękę ciągle spoczywającą na grzywie.

Tymczasem doszliśmy do krzyża, koło którego koń
czyły się lipy. Selim począł mówić wszystkim: „dobra
noc," pocałował w rękę panią d'Yves, a chciał pocałować
i Hanię, ale nie pozwoliła na to, przyczém spojrzała
na mnie jakby z obawą. Zato kiedy już Selim siedział
na koniu, zbliżyła się doń i poczęła z nim rozmawiać
I rzy blasku księżyca, którego w tém miejscu nie prze
słaniały lipy, widziałem jéj oczy wzniesione ku Seli
mowi i słodki wyraz twarzy.

— Niech pan nie zapomina o panu Henryku—rze
kła mu.— Będziemy zawsze razem bawić się i razem
śpiewać, a tymczasem dobranoc!

To rzekłszy, podała mu rękę, poczém starsi wra
z nią zwrócili się ku domowi, my zaś z Selimem ku łąkom

Jechaliśmy czas jakiś w milczeniu otwartą drogą
bez drzew. Naokół jasno było tak, że możnaby poli
czyć igiełki na nizkich krzakach jałowcu, rosnącego po
drodze. Od czasu do czasu tylko prychnęły konie lub
strzemię szczęknęło o strzemię. Spojrzałem na Selima
był zamyślony i oczyma wodził po głębiach nocnych
Miałem nieprzezwyciężoną chęć mówić o Hani: potrze
bowałem wyspowiadać się komu z całodziennych wrażeń
obgadać każde jéj słówko, a ani rusz, nie umiałem zacząć
téj rozmowy z Selimem. Ale Selim zaczął ją piérwszy
bo nagle ni ztąd ni zowąd przechylił się ku mnie i objąwszy mnie za szyję, ucałował w policzek i wykrzyknął

Ach! mój Henryku! jaka śliczna i miła ta twoja
Hania! Niech tam Józię licho porwie!

Wykrzyknik ten zmroził mnie, jak nagłe tchnienie
owego wiatru. Nie odpowiedziałem nic, tylko odjąłem
Selima ze swojéj szyi, i odsunąwszy go zimno, je
łem daléj w milczeniu. Widziałem, że się zmiesza

bardzo i zamilkł także, a po chwili zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Czy ty się gniewasz o co?

— Dziecko jesteś.

— Możeś zazdrosny?

Zatrzymałem konia.

— Dobranoc ci, Selimie!

Widocznem było, że nie miał ochoty jeszcze się żegnać, ale wyciągnął machinalnie rękę do uścisku. Potém otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja szybko zwróciłem konia i pokłusowałem do domu.

— Dobranoc!—zawołał Selim.

Stał jeszcze chwilę na miejscu, potém zwolna odjechał w swoję stronę.

Zwolniwszy biegu, jechałem stępo. Noc była śliczna, cicha, ciepła; pokryte rosą łąki wydawały się jak rozległe jeziora; z łąk dochodziły mnie głosy derkaczy: bąk huczał w dalekich trzcinach. Podniosłem oczy na gwiaździsty bezmiar; chciało mi się modlić i płakać.

Nagle usłyszałem za sobą tętent konia. Obejrzałem się: był to Selim. Dognał mnie, zrównał się ze mną i zastąpiwszy mi drogę, rzekł wzruszonym głosem:

— Henryku! wróciłem się, bo tobie coś jest. Z początku pomyślałem: jeśli się gniewa, niech się gniewa! Ale potém zrobiło mi się ciebie żal. Nie mogłem wytrzymać. Powiédz mi co tobie jest? Może ja zadużo mówiłem z Hanią? Może ty ją kochasz? Henryku?

Łzy ścisnęły mi gardło i nie umiałem na razie nic odpowiedzieć. Ale gdybym był poszedł za pierwszém natchnieniem i rzucił się na poczciwą pierś tego chłopaka i wypłakał się na niéj i wyznał wszy-

stko! Ach! wspomniałem już, że ile razy w życiu przyszło mi zetknąć się z wylaniem serdeczném i samemu serdecznie pierś odkryć, tyle razy jakaś niepohamowana duma przekorna, którą trzeba było łamać jak skałę oskardem, mroziła mi serce i więziła słowa w ustach. Ileżto szczęścia popsuło mi się w życiu przez tę dumę, ileż razy żałowałem jéj później! a jednak w piérwszéj chwili nie umiałem się jéj oprzeć.

Selim powiedział: „żal mi się ciebie zrobiło!“ a zatém litował się nademną; to już wystarczało, ażeby mi zamknąć usta.

Milczałem więc, a on patrzył na mnie swemi anielskiemi oczyma i mówił z akcentem prośby i skruchy w głosie:

— Henryku! Może ty ją kochasz? Ona mi się widzisz, podobała, ale i na tém koniec. Chcesz, to nie powiem do niéj ani słowa więcéj. Powiedz: może ty ją już kochasz? Co ty masz do mnie?

— Nie kocham się i do ciebie nie mam nic. Jestem trochę słaby. Zleciałem z konia, rozbiłem się. Ja się wcale nie kocham, tylko zleciałem z konia! Dobranoc ci!

— Henryku! Henryku!

— Powtarzam ci, że zleciałem z konia.

— Rozstaliśmy się znowu. Selim ucałował mnie na drogę i odjechał spokojniejszy, bo istotnie prawdopodobném było, że to upadek podziałał na mnie w ten sposób; ja zaś zostałem sam, z sercem ściśniętém z jakimś głębokim żalem, ze łzami, które ściskały mnie za gardło: wzruszony dobrocią Selima, zły na siebie i przeklinający się w duszy, żem go odepchnął. Puściłem konia galopem i za chwilę byłem przed domem.

Okna sali bawialnéj były oświecone, dochodził przez nie dźwięk fortepianu. Oddałem konia Frankowi i wszedłem do sali. To Hania grała jakąś piosenkę któréj nie znałem: grała sobie, fałszując z całém zaufaniem dyletantki melodyą, bo niedawno się zaczęła uczyć, ale aż nadto wystarczająco, aby zachwycić o wiele więcéj rozkochaną niż muzykalną moją duszę. Gdy wszedłem, uśmiechnęła się do mnie nie przestając grać, ja zaś rzuciłem się na fotel stojący naprzeciwko i począłem na nią patrzeć. Przez pulpit widać było jéj spokojne, pogodne czoło i regularnie narysowane brwi. Powieki miała spuszczone, bo patrzyła na palce. Grała jeszcze przez czas jakiś, potém ustała i podniósłszy oczy na mnie, rzekła pieściwym, miękkim głosem:

— Panie Henryku?

— Co, Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Zaprosił pan na jutro pana Selima?

— Nie. Ojciec życzy sobie, żebyśmy jutro pojechali do Ustrzycy, bo przyszedł od matki pakiet dla pani Ustrzyckiéj.

Hania umilkła i uderzyła kilka cichych akordów, ale widocznie czyniła to tylko machinalnie, myśląc o czém inném, bo po chwili znowu podniosła na mnie oczy:

— Panie Henryku?

— Co, Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Czy bardzo ładna ta Józia z Warszawy, co?

A! tego było już nadto! Gniew pomieszany z goryczą ścisnął mi serce. Zbliżyłem się szybko do fortepianu, a usta mi się trzęsły, gdym odpowiedział:

— Nie ładniejsza od ciebie. Bądź spokojna. żesz śmiało próbować swych wdzięków na Selimi

Hania aż wstała z taboretu, a gorący rumi obrazy oblał jéj policzki.

— Panie Henryku! co pan mówi?

— To, co ty zamierzasz.

To rzekłszy, chwyciłem za kapelusz, skło się jéj i wyszedłem z pokoju.

VII.

Łatwo się domyślić jak przepędziłem noc po owych całodziennych zmartwieniach. Położywszy się w łóżko, przedewszystkiém zapytałem sam siebie, co się stało i dlaczego wyprawiałem takie awantury przez cały dzień? Odpowiedź była łatwa: nic się nie stało, t. j. ani Selimowi, ani Hani, nie mogłem zarzucić nic takiego, coby nie dało się wytłomaczyć, badźto uprzejmością obowiązującą wszystkich jednakowo, bądź ciekawością, bądź wzajemną sympatyą. Że Selim podobał się Hani, a ona jemu, to było więcéj niż pewne; ale jakież miałem prawo burzyć się z tego powodu i mącić spokój wszystkim. Nie oni więc zawinili, tylko ja: ta myśl powinna była mnie uspokoić, ale stało się przeciwnie. Jakkolwiekbądź tłómaczyłem sobie wzajemne ich stosunki, jakkolwiek powtarzałem sobie, że istotnie nic się nie stało; jakkolwiek uznawałem, że niesłusznie wyrządziłem niejedną przykrość obojgu, przecież czułem jakąś niewyraźną groźbę zawieszoną nad sobą w przyszłości: to zaś, że groźba owa była niewyraźną, że nie dała się uchwycić w formę zarzutu Mirze lub Hani, czyniło ją dla mnie tém dotkliwszą. Prócz tego pomyślałem sobie jeszcze jedno. Oto, że nie mając pra-

wa nic im zarzucić, mam jednak dostateczny powód być niespokojnym. Były to wszystko subtelności, rzeczy prawie nieuchwycalne, w których umysł mój, do téj pory prosty, plątał się i męczył, jak wśród ciemności i manowców. Czułem się poprostu zmęczony i przybity, jakby po odbyciu długiéj podróży, a oprócz tego jeszcze jedna myśl najgorsza i najboleśniejsza wracała mi ustawicznie do głowy, że to ja sam, wyraźnie ja, przez swoję zazdrość i przez swoję niezręczność popycham fatalnie ku sobie tych dwoje. O! na tyle świadomości zdobyłem się już wówczas, jakkolwiek nie miałem żadnego doświadczenia. Takie rzeczy się odgaduje. Co więcéj: wiedziałem, że wśród owych błędnych ścieżek będę i daléj szedł nie tam, gdzie zechcę, ale tam, gdzie popchnie mnie uczucie i inne nieraz chwilowe i nieznaczące okoliczności, które jednak bywają ważne i od których nieraz szczęście zależy. Co do mnie, byłem bardzo nieszczęśliwy, a chociaż komuś umartwienia owe moje mogą się wydawać błache, to jednak powiem, że wielkość każdéj niedoli nie zależy od tego jaką ona jest sama w sobie, ale jak ją ktoś odczuwa.

A jednak nic się nie stało! nic się jeszcze nie stało! Leżąc w łóżku powtarzałem sobie te słowa dopóty, aż zwolna myśli poczęły mi się mącić, rozpraszać i wpadać w zwykły bezład senny. Rozmaite obce pierwiastki poczęły mi się pod nie podsuwać. Opowiadania ojcowskie, osoby i wypadki tych opowiadań łączyły się z chwilą obecną, z Selimem, z Hanią i z moją miłością. Może i miałem trochę gorączki, témbardziéj żem się potłukł. Knot wypalonéj świecy zapadł nagle w lichtarz: pociemniało, potém znów wyskoczył błękitny płomień, potém mniejszy i jeszcze mniejszy, aż wreszcie jeszcze

raz konające światło błysnęło potężnie i zagasło. Musiało już być późno; za okiennicą piały koguty: usnąłem ciężkim i niezdrowym snem, z którego rozbudziłem się nieprędko.

Nazajutrz, pokazało się, że zaspałem porę śniadania, a zatém i sposobność widzenia Hani, aż do obiadu, bo do godziny drugiej miała lekcye z panią d'Yves. Ale zato, wyspawszy się dobrze, nabrałem otuchy i nie spoglądałem na świat tak czarno. Będę dla Hani dobry, uprzejmy i tém nagrodzę jéj wczorajszą moję opryskliwość: myślałem sobie. Tymczasem nie przewidziałem jednéj okoliczności: oto, że Hani nietylko dokuczyły ostatnie moje słowa, ale, że ją także i obraziły. Gdy Hania zeszła wraz z panią d'Yves na obiad, porwałem się ku niéj żywo i nagle, jakby mnie kto wodą oblał! Cofnąłem się napowrót w siebie, razem ze swoją serdecznością niedlatego żebym chciał to zrobić, ale dlatego że zostałem odepchnięty. Hania powiedziała mi bardzo grzecznie: „dzień dobry!“ ale tak zimno, że odrazu odeszła mnie ochota do serdecznych wylewów. Poczém siadła obok pani d'Yves i przez cały obiad nie zdawała się już więcéj dostrzegać mojej egzystencyi. Wyznaję, że w téj chwili egzystencya owa wydała mi się tak marną i tak opłakaną, iż gdyby mi ktoś dawał za nią trzy grosze, powiedziałbym mu, że przepłaca. Cóż jednak miałem robić? Obudziła się we mnie chęć oporu i postanowiłem odpłacić Hani takąż samą monetą. Dziwna to rola względem osoby, którą się kocha nad wszystko. Prawdziwie mogłem powiedzieć: „bluźnią ci usta, choć płacze serce!“ Przez cały obiad nie mówiliśmy ani razu ze sobą wprost, tylko za pośrednictwem osób trzecich. Gdy Hania naprzykład mówiła,

że nad wieczorem będzie deszcz, zwracała się z tém do pani d'Yves, na co ja również pani d'Yves, a nie Hani, odpowiadałem, że deszczu nie będzie. To dąsanie się i przekomarzanie wzajemne, miało nawet dla mnie pewien drażniący urok. Ciekawy jestem, moja panienko, jak my to będziemy obchodzić się ze sobą w Ustrzycy, bo przecie mamy jechać do Ustrzycy, myślałem sobie w duchu. Naumyślnie w Ustrzycy spytam ją w obec obcych o coś, ona musi przecież odpowiedzieć i tak te lody pękną! Obiecywałem sobie wiele po téj bytności w Ustrzycy. Wprawdzie miała jechać z nami pani d'Yves, ale co mi to szkodziło! Tymczasem szło mi daleko więcéj o to, żeby nikt z obecnych przy stole nie spostrzegł naszych gniewów. Jeśli ktoś spostrzeże, myślałem, spyta: czy się gniewamy; zaraz wszystko wyjdzie na wierzch i wszystko się wyda! Na samą myśl o tém, rumieniec bił mi na twarz, a obawa ściskała serce. Ale, o dziwo! spostrzegłem, że Hania daleko mniéj się tego boi, niż ja; daléj, że widzi moję bojaźń i w duszy sobie z niéj dworuje. Z kolei czułem się tém upokorzony, ale na razie nie było co robić. Czekała mnie Ustrzyca, więc uchwyciłem się téj myśli, jak deski zbawienia.

Ale widocznie myślała o niéj Hania, bo po obiedzie, przyniósłszy ojcu kawę czarną, pocałowała go w rękę i rzekła:

— Proszę pana, mogę ja nie jechać do Ustrzycy?

Ach! jaka niegodziwa! jaka niegodziwa! ta ukochana Hania, pomyślałem sobie w duszy.

Ale ojciec, który był trochę głuchy, nie dosłyszał odrazu, tylko ucałowawszy dziewczynkę w czoło, rzekł:

— Czego tam chcesz kobietko?

— Mam jedną prośbę?

— Jaką?

— Mogęż nie jechać do Ustrzycy?

— A cóżto, czy chora jesteś?

Jeżeli powié, że chora, pomyślałem znowu, wszystko przepadło, témbardziéj, że ojciec jest w dobrym humorze.

Hania jednak nie kłamała nigdy, nawet niewinnie i dlatego, zamiast spędzić ów brak chęci na ból głowy, odrzekła:

— Nie: zdrowa jestem, ale niémam ochoty.

— A no, to pojedziesz do Ustrzycy, bo trzeba żebyś jechała.

Hania dygnęła i nie rzekłszy ani słowa odeszła. Co do mnie byłem uradowany z całej duszy i gdyby tylko uchodziło, jakżebym chętnie był pokazał Hani na palcach: zyg, zyg, zyg!

Po chwili jednak, kiedy zostaliśmy z ojcem sami, spytałem go, dlaczego kazał jéj jechać.

— Chcę, żeby sąsiedzi przyzwaczaili się widzieć w niéj naszą krewnę. Hania jadąc do Ustrzycy, czyni to niejako w imieniu twojéj matki: rozumiesz?

Nietylkom rozumiał, ale chciało mi się ucałować za tę myśl poczciwego ojca.

O godzinie piątéj mieliśmy wyjechać. Hania i pani d'Yves ubierały się tymczasem na górze, ja zaś kazałem zaprządz do lekkiego na dwie osoby wolanta, bo sam miałem zamiar jechać konno. Do Ustrzycy było półtoréj mili, przy pięknéj więc pogodzie mieliśmy przed sobą przejażdżkę nader przyjemną. Gdy Hania zeszła z góry, przybrana wprawdzie czarno, ale starannie, a nawet ozdobnie, bo taka była wola ojca, nie mogłem oczu od niej oderwać. Wyglądała tak ślicznie, że natychmiast uczułem jak mięknie mi serce, a chęć oporu i sztu-

czny chłód ulatuje gdzieś za dziewiątą granicę. Ale królowa moja przeszła koło mnie prawdziwie po królewsku, nie spojrzawszy nawet na mnie, choć także wyświeżyłem się jakem umiał. Mówiąc nawiasem, była trochę nadąsana, bo rzeczywiście nie miała ochoty jechać, choć nie było to z chęci dokuczania mi, ale dla innych słuszniejszych, jak się później przekonałem, powodów.

Punkt piąta siadłem na koń, moje panie do karykla i ruszyliśmy razem. Przez drogę trzymałem się od strony Hani, chcąc wszelkiemi sposobami zwrócić jéj uwagę na siebie. Jakoż spojrzała raz na mnie, gdy koń mój wspiął się dęba, zmierzyła mnie spokojném okiem, od stóp do głowy; bodaj czy nie uśmiechnęła się nawet nieznacznie, co narazie bardzo dodało mi otuchy, ale natychmiast potém zwróciła się do pani d'Yves i zaczęła z nią rozmawiać w ten sposób, że nie mogłem się wtrącać do rozmowy.

Przyjechaliśmy wreszcie do Ustrzycy, gdzie zastaliśmy Selima. Pani Ustrzyckiéj nie było w domu, był tylko pan, dwie guwernantki: francuzka i niemka, i dwie panienki: starsza Lola, rówieśnica Hani, ładna i dość z natury zalotna szatynka i młodsza Marynia, jeszcze dziecko. Panie po pierwszych powitaniach wybrały się zaraz do ogrodu na truskawki, mnie zaś i Selima zabrał ze sobą pan Ustrzycki, aby nam pokazać swoję nową broń i nowe psy na dziki, które sprowadził wielkim kosztem aż z Wrocławia. Wspomniałem już, że pan Ustrzycki byłto najzagorzalszy myśliwiec w całéj okolicy, a przytém człowiek bardzo zacny, dobroduszny i równie uczynny, jak bogaty. Miał tylko [illegible]dną wadę, która dla mnie czyniła go nudnym, to jest [illegible]ał się ciągle, co kilka słów uderzał się rękoma po

brzuchu, powtarzając: „farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co?“ Zwano go z tego powodu sąsiad-farsa, albo sąsiad jak-się nazywa.

Otóż sąsiad-farsa poprowadził nas do psiarni, nie zważając, że może wolelibyśmy ze sto razy być przy pannach w ogrodzie. Przez jakiś czas słuchaliśmy cierpliwie jego opowiadań, aż wreszcie ja przypomniałem sobie jakiś interes do pani d'Yves, a Selim poprostu rzekł:

— Wszystko to jest bardzo dobre panie dobrodzieju! psy są bardzo ładne, ale cóż my zrobimy, kiedy obaj mamy większą ochotę iść do panien?

Pan Ustrzycki uderzył się dłońmi po brzuchu.

— A, farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co? No, to idźcie, pójdę z wami!

I poszliśmy. Wkrótce jednak pokazało sie, że nie miałem sobie czego tak dalece życzyć. Hania, która jakoś trzymała się na uboczu od swoich towarzyszek, nie przestała mnie zapoznawać, i może naumyślnie zajęła się Selimem: mnie, zresztą, wypadało bawić pannę Lolę. O czém rozmawiałem z panną Lolą, jakim sposobem nie mówiłem niedorzeczności i jak odpowiadałem na jéj uprzejme pytania? nie wiem, bo śledziłem ciągle Selima i Hanię, łowiąc uszami słowa ich rozmowy, chwytając spojrzenia i ruchy. Selim nie spostrzegł tego, ale spostrzegła Hania i naumyślnie przyciszała głos lub spoglądała z pewną kokieteryą na swego towarzysza, który pozwalał się téj powodzi łask unosić. „Poczekajże, Haniu, pomyślałem sobie, robisz ty mnie na złość, zrobię ja i tobie.“ I tak rozumując, zwróciłem się do mojéj towarzyszki. Zapomniałem powiedzieć, że panna Lola miała szczególniejszą słabość do mnie i okazywała mi to aż nadto wyraźnie. Po-

czałem więc być dla niéj uprzejmy, dworowałem i śmiałem się, choć chciało mi się więcéj płakać, niż śmiać, a Lola spoglądała na mnie rozpromieniona swemi wilgotnemi, ciemno-niebieskiemi oczyma i poczęła wpadać w romantyczny nastrój.

Ach! gdyby wiedziała, jakem ją nienawidził w téj chwili! A jednak tak dalece byłem przejęty swoją rolą, że popełniłem nawet coś niegodziwego. Oto, gdy panna Lola zrobiła w ciągu rozmowy jakąś złośliwą uwagę o Selimie i Hani, wówczas jakkolwiek zatrząsłem się w duszy z gniewu, przecie nie odpowiedziałem jéj jak należało, ale uśmiechnąłem się tylko dość głupio i zbyłem ją milczeniem. Chodziliśmy w ten sposób z godzinę, następnie podano podwieczorek pod płaczącym kasztanem, którego gałęzie zniżając się końcami aż do ziemi, tworzyły jakby zieloną kopułę nad naszemi głowami. Teraz dopiéro zrozumiałem, że Hania nie tylko dla mnie nie chciała jechać do Ustrzycy, ale miała swoje bardziéj uzasadnione przyczyny.

Była to poprostu rzecz taka: pani d'Yves, jako pochodząca ze staréj szlachty francuzkiéj i wreszcie więcéj od innych nauczycielek wykształcona, uważała się za coś lepszego od francuzki, a zwłaszcza od niemki z Ustrzycy; te zaś obie uważały się z kolei za coś lepszego od Hani, ponieważ dziadek jéj był służącym. Ale dobrze wychowana pani d'Yves nie dawała im tego uczuć, one zaś wyraźnie, aż do niegrzeczności lekceważyły Hanię. Były to zwykłe babskie kwasy i ambicyjki, ale nie mogłem pozwolić, żeby moja droga Haniulka, sto razy zresztą więcéj warta od całéj Ustrzycy, miała być ich ofiarą. Hania lekceważenie owo znosiła z taktem i słodyczą, czyniącą zaszczyt jéj charakterowi: było to jéj jednak przykro.

Gdy pani Ustrzycka była obecna, nic podobnego nie miało nigdy miejsca, ale w téj chwili obie guwernantki korzystały właśnie z dobréj sposobności. Jak tylko Selim usiadł koło Hani, zaraz zaczęły się szepty i przycinki, w których potrochu i panna Lola, zazdroszcząca Hani piękności brała udział. Odparłem owe docinki kilkakrotnie ostro, może zbyt nawet ostro, ale wkrótce zastąpił mnie, mimo méj woli, Selim. Widziałem że błyskawica gniewu przemknęła po jego brwiach, ale wkrótce opamiętał się i uspokojony zwrócił szyderczy wzrok na guwernantki. Cięty, dowcipny i wygadany, jak mało kto w jego wieku, wkrótce tak dalece zbił je z tropu, że nie wiedziały gdzie się podziać. Pomagała mu w tém pani d'Yves swoją powagą i ja, który zresztą chętnie byłbym nawet wybił obie cudzoziemki. Panna Lola niechcąc mnie zrażać przeszła także na naszą stronę i lubo nieszczerze, poczęła okazywać Hani dwa razy więcéj niż zwykle uprzejmości. Słowem: tryumf nasz był zupełny, na nieszczęście jednak i ku wielkiemu memu umartwieniu, główna zasługa spadła i tym razem na Selima. Hania, która mimo całego taktu, z wysileniem wstrzymywała łzy cisnące się jéj do oczu, poczęła spoglądać na Selina, jak na swego wybawcę, z wdzięcznością i uwielbieniem. To téż kiedyśmy wstali od stołu i znowu poczęli chodzić parami po ogrodzie, usłyszałem jak Hania pochyliła się ku Selimowi i szepnęła wzruszonym głosem:

— Panie Selimie! ja panu bardzo...

I urwała nagle, bo bała się rozpłakać, a wzruszenie mimo jéj woli brało nad nią górę.

— Panno Hanno! nie mówmy o tém. Niech pani na to nie uważa i... niech się pani nie martwi.

— To téż widzi pan, jak mi trudno o tém mówić; ale chciałam panu podziękować.

— I za co? panno Hanno! i za co? Ja nie mogę znieść łez w pani oczach. Jabym dla pani chętnie...

Teraz z kolei on nie dokończył, bo nie umiał znaleźć wyrazu a może w porę spostrzegł, że zbyt pozwala się unosić uczuciom, jakich miał pełne piersi; więc tylko zmieszany odwrócił głowę, by nie dać poznać wzruszenia i umilkł.

Hania patrzyła na niego rozświetlonemi od łez oczyma, a ja wtedy już nie pytałem co się stało.

Kochałem Hanię całą mocą młodéj duszy, ubóstwiałem ją: kochałem ją tak, jak w niebie tylko kochają; kochałem jéj postać, kochałem jéj oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kochałem każdą jéj sukienkę, powietrze którém oddychała, a miłość ta przenikała mnie nawskróś i była nietylko w sercu, ale w całéj mojéj istocie: żyłem tylko w niéj i przez nią, płynęła we mnie jak krew: biła odemnie jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istniał w niéj, nic poza nią. Dla świata byłem ślepy, głuchy i głupi, bo rozum i zmysły zająłem tém jedném tylko uczuciem. Czułem, że płonę, jakby rozpalona pochodnia i że trawi mnie ten płomień i że ginę, i że umieram. Czém była ta miłość? Wielkim głosem, wielkiém wołaniem duszy na drugą duszę: „moja ubóstwiona, moja święta, moja kochana, usłysz mnie! Otóż nie pytałem już co się stało, bom zrozumiał, że nie mnie, nie mnie-to odpowiadała Hania na tę serdeczną prośbę. Wśród obojętnych ludzi, człowiek spragniony kochania chodzi jak w lesie i huka i nawołuje jak w lesie, czekając czy nie odpowié mu głos sympatyczny, więc jeszcze i dlatego nie pytałem już co się stało, bom

przez własną miłość i przez własne próżne wołanie przeczuł i usłyszał dwa sympatyczne głosy: Selima i Hani! Wołali się wzajemnie głosami serc, wołali się na nieszczęście moje, sami o tém nie wiedząc. Jedno drugiemu było niby echem leśném i jedno szło za drugiém, jak echo idzie za głosem. I cóżem ja mógł poradzić przeciw téj konieczności, którą oni mogli zwać szczęściem — ja: nieszczęściem? Cóżem mógł poradzić przeciw temu porządkowi natury, przeciw téj fatalnéj logice rzeczy? Jak zdobyć serce Hani, skoro jakaś siła nieprzeparta kłoni je w inną stronę?

Odłączyłem się od towarzystwa i siadłem na ławce ogrodowéj, a myśli podobne szumiały mi w głowie, jak zwichrzone stada ptastwa. Ogarnął mnie szał cierpienia i rozpaczy. Czułem, że pośród rodziny, pośród życzliwych serc byłem jednak tak samotny; świat cały wydał mi się tak pusty, sierocy, niebo nademną tak na krzywdę ludzką obojętne, że mimowoli jedna myśl zapanowała we mnie nad innemi i pochłonęła wszystkie i pokryła swym ponurym spokojem. Imię jéj było: śmierć. A potém: wyjście z tego błędnego koła i koniec cierpień, i rozwiązanie całéj téj smutnéj komedyi, i rozcięcie wszystkich bolesnych węzłów opasujących duszę, i wypoczynek po umęczeniu; ach! ten wypoczynek, którego tak byłem spragniony: wypoczynek ciemny, wypoczynek nicości, ale cichy, wiekuisty!

Byłem jak człowiek zmorzony łzami, cierpieniem i snem. Usnąć mi! usnąć! myślałem sobie, za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę życia. Potém zaś ze spokojnych, ogromnych błękitów niebieskich, dokąd uciekła dawna moja wiara dziecinna, przyleciała jeszcze

jedna myśl jak ptak i usiadła mi na mózgu. Myśl ta zawarta była w krótkich słowach:

A jeśli?

Było to nowe koło, w które wplatałem się na mocy nieubłaganéj konieczności. Oh! cierpiałem bardzo, a tam z sąsiedniéj alei dochodziły mnie wesołe słowa lub ciche półsłowa rozmawiających, koło mnie pachniały kwiaty, na drzewach świegotały ptaki udające się na spoczynek; nademną wisiało pogodne niebo zarumienione zorzą zachodnią: wszystko było spokojne, szczęśliwe, ja sam tylko zbolały i z zaciśniętemi zębami pragnąłem umrzeć wśród tego rozkwitu życia.

Nagle drgnąłem: przedemną zaszeleściała suknia kobieca.

Spojrzałem: była to panna Lola. Cicha była jakaś i łagodna, patrzyła na mnie ze współczuciem, a może i więcéj jak ze współczuciem. Wśród blasków wieczora i cieniów rzucanych przez drzewa, wydawała się blada: rozwiane, niby przypadkiem bujne warkocze spływały jéj na ramiona.

W téj chwili nie uczułem do niéj nienawiści. Duszo, jedyna litościwa!—pomyślałem—czy przychodzisz mnie pocieszyć?

— Panie Henryku! pan smutny jakiś, może cierpiący?

— O tak, pani! cierpiący jestem, — zawołałem z wybuchem i porwawszy jéj rękę, przyłożyłem ją sobie do rozpalonego czoła, potém pocałowałem ją gwałtownie i uciekłem.

— Panie Henryku?—zawołała na mnie zcicha?

A jednocześnie na skręcie ulicy ukazali się Selim i Hania. Oboje widzieli mój wybuch: widzieli, jak całowałem i przyciskałem do czoła rękę Loli: widzieli to oboje, więc uśmiechnięci zamienili z sobą wejrzenia, jakby mówiąc sobie wzajemnie:

— Rozumiemy co się to znaczy.

Ale tymczasem pora była odjechać do domu. Selimowi droga zaraz za kołowrotem wypadała w inną stronę, obawiałem się jednak, czy nie zechce nas odprowadzać. Z pośpiechem siadałem na koń i mówiłem głośno, że już późno, że na nas i na Selima czas. Żegnając się, otrzymałem od panny Loli dziwnie gorący uścisk ręki, na który nie odpowiedziałem i ruszyliśmy w drogę.

Selim zaraz za kołowrotem zawrócił, ale piérwszy raz pocałował na dobranoc Hanię w rękę i Hania mu tego nie broniła.

Przestała mnie już zapoznawać. Była w usposobieniu zbyt łagodném, żeby pamiętać ranne gniewy, ale ja tłómaczyłem sobie to usposobienie jak najgorzéj.

Pani d'Yves zaraz po kilku minutach usnęła i poczęła się kiwać na wszystkie strony. Spojrzałem na Hanię, nie spała; oczy jéj były otwarte szeroko i błyszczące jakby ze szczęścia.

Nie przerywała wcale milczenia, była widocznie zbyt zajęta własnemi myślami. Dopiéro blizko domu spojrzała na mnie, a widząc że jestem tak zamyślony, rzekła.

— O czém pan tak myśli, czy o Loli?

Nie odpowiedziałem ani słowa, tylko ścisnąłem

zęby i pomyślałem: szarp, szarp mnie, kiedy ci to sprawia przyjemność, ale nie wyciśniesz ze mnie ani jęku.

Ale Hani rzeczywiście ani się śniło mnie szarpać. Zadała pytanie, bo miała prawo je zadać.

Zdziwiona mojém milczeniem, powtórzyła pytanie raz jeszcze. Znowu nie odpowiedziałem nic. Myślała więc że to są dąsy trwające jeszcze od rana i także umilkła.

VIII.

Rankiem kilka dni późniéj pierwsze rumiane blaski porannéj zorzy wpadły przez serce wykrojone w okiennicy i zbudziły mnie ze snu. Wkrótce zapukał ktoś w okiennicę i w różanym otworze ukazała się nie twarz Zosi Mickiewiczowskiéj, która w podobny sposób budziła Tadeusza, ani téż mojéj Hani, ale wąsata twarz Wacha, leśniczego, a gruby głos zawołał:

— Paniczu!

— A co tam?

— Wilki gonią za wilczycą w Pohorowych haszczach. Mieliśmy iść na wabia.

— Zaraz!

Ubrałem się: wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i wyszedłem. Wach stał cały mokry od rosy porannéj z długą zardzewiałą pojedynką na plecach, z któréj jednak nie zdarzyło mu się nigdy chybić. Ranek był wczesny: słońce jeszcze nie weszło, ani ludzie nie wyszli do roboty, ani bydło w pole. Niebo tylko barwiło się błękitnie, różowo i złociście na wschodzie, a na zachodzie było surowe. Swoją drogą staremu było pilno.

— Mam bidę i szkapę. Pojedziemy ku wykrotom—rzekł:

Siedliśmy i pojechali. Zaraz za stodołami zając wyskoczył z owsa i przebiegłszy nam drogę, skoczył na łąkę, znacząc ciemniejszemi ślady srebrną od rosy jéj powierzchnię. Stary rzekł:

— Kot przez drogę! na psa urok!

A potém dodał:

— Późno już. Niedługo ziemia cień chwyci.

Znaczyło to, że niedługo słońce zejdzie, bo przy blasku zorzy, ciało nie rzuca cienia na ziemię.

— A to przy cieniu źle?—spytałem.

— O wielkim, to tam jako tako, ale o małym próżna robota.

W języku niemyśliwskim znaczyło to znów: im późniéj, tém gorzéj, bo wiadomo, że im bliżéj południa, tém cień mniejszy.

— Odkąd poczniemy?—spytałem.

— Od wykrotów, ale w samych Pohorowych haszczach.

Pohorowe haszcze była to część lasu nadzwyczaj zarosła, gdzie znajdowały się wykroty, to jest jamy pod korzeniami starych drzew wywróconych przez burzę.

— I na wabia myślicie, Wachu że się uda.

— Poczną grać jak basiora, może jaki basiór wyjdzie.

— A może i nie.

— E! tak i wyjdzie.

Dojechawszy do chaty Wacha, zostawiliśmy konia i bidę chłopcu, sami zaś udaliśmy się piechotą. Po półgodzinnéj drodze, kiedy słońce zaczęło wschodzić, zasiedliśmy w wykrotach.

Koło nas naokół była gęstwa nieprzebita drobnych zarośli; gdzieniegdzie rosły tylko wielkie drzewa, wy-

krot zaś był tak głęboki, że schowaliśmy się weń z głowami.

— Teraz plecami!—mruknął Wach.

Usiedliśmy do siebie plecami, tak, że nad powierzchnię gruntu wystawały nam tylko czubki głów i lufy strzelb.

— Czuj!—rzekł Wach.—Poczynam grać.

Włożywszy dwa palce w usta i modulując niemi przeciągły głos, Wach zagrał jak basiora, to jest zawył jak wilczyca wabiąca wilków.

— Czuj!

I przyłożył ucho do ziemi.

Ja nie usłyszałem nic, ale Wach oderwał twarz od ziemi i szepnął:

— Gra, ale daleko. Będzie pół mili.

Potém czekał z kwadrans i znów zawył, przebierając palcami w ustach. Żałosny, a złowrogi głos przebił gęstwinę, i daleko, daleko leciał po mokréj ziemi, odbijając się od sosny do sosny.

Wach na nowo przyłożył ucho do ziemi.

— Gra! jest nie daléj jak półtory wiorsty.

Jakoż rzeczywiście i ja usłyszałem teraz jakby odległe echo wycia, dalekie jeszcze bardzo, zaledwie dosłyszalne, ale dające się już wśród szelestu liści rozróżnić.

— Zkąd wyjdzie?—spytałem.

— Na panicza.

Wach zawył trzeci raz: wycie odpowiedziało już blizko. Ścisnąłem mocniéj strzelbę w ręku, a obaj zatamowaliśmy dech w piersiach. Cisza była niezmierna. wiatr tylko strząsał krople rosy z leszczyny, które

spadały szemrząc po liściach. Zdaleka, z innéj strony lasu, doszło nas tokowanie głuszca.

Nagle o jakie trzysta kroków, zamajaczyło coś w gęstwinie, krzaki jałowcowe poruszyły się żywo i z pośród ciemnych igieł wynurzyła się szara trójkątna głowa ze śpiczastemi uszami i czerwonemi oczyma. Strzelać nie mogłem, bo było jeszcze zbyt daleko, więc czekałem cierpliwie, lubo z bijącém sercem. Wkrótce całe zwierzę wynurzyło się z jałowcu i w kilku niewielkich skokach podbiegło ku wykrotowi, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Na stopięćdziesiąt kroków wilk zatrzymał się i nastawił uszy jakby coś przeczuł. Wiedziałem, że bliżéj już nie podejdzie i pociągnąłem za cyngiel.

Huk strzału zmieszał się z bolesném zaskowyczeniem basiora. Wyskoczyłem z wykrotu, Wach za mną, ale wilka nie znaleźliśmy na miejscu. Wach jednak obejrzał pilnie miejsce, gdzie rosa starta była na polance i rzekł:

— Farbuje!

Rzeczywiście na trawie były ślady krwi.

— Nie pudło, choć daleko! nie pudło; farbuje, o! farbuje, trzeba za nim iść.

A więc i poszliśmy. Gdzieniegdzie trafialiśmy na potłuczoną trawę i większe ślady krwi; znać było, że ranne wilczysko od czasu do czasu wypoczywa. Ale tymczasem upłynęła godzina drogi po gąszczach i haszczach, potém druga; słońce było już wysoko; uszliśmy ogromny kawał drogi nie znalazłszy nic prócz śladów, które zresztą czasem niknęły zupełnie. Potém trafiliśmy na kąt lasu: ślady szły ze dwie wiorsty polem

w kierunku stawu i wreszcie ginęły na błotach porosłych trzciną i tatarakiem. Daléj nie można było iść bez psa.

— Już on tam zostanie, a ja jutro go znajdę — rzekł Wach—i zawróciliśmy do domu.

Wkrótce przestałem myśleć i o wilku i o Wachu i o niefortunnym trochę rezultacie polowania, a natomiast wróciłem do zwykłego mego koła utrapień. Kiedy zbliżaliśmy się do lasu, zając wyrwał mi się prawie z pod nóg, a ja zamiast strzelić do niego, drgnąłem tylko, jakby rozbudzony z zamyślenia.

— A! panie!—zawołał z oburzeniem Wach — do rodzonego brata bym strzelił, żeby mi się tak pomknął.

Ale ja uśmiechnąłem się tylko i szedłem daléj w milczeniu. Przechodząc przez leśną drogę, tak zwaną: Ciociną dróżkę, wiodącą do gościńca ku Chorzelom, ujrzałem na mokréj ziemi świeże ślady podkutych kopyt końskich.

— Nie wiecie, Wachu, co to mogą być za ślady?— pytam.

— Mnie się widzi, że to panicz z Chorzel tędy przejechał do dwora—odparł Wach.

— A to ja pójdę do dwora — odpowiedziałem.— Bądźcie zdrowi, Wachu.

Wach począł mnie nieśmiało prosić, bym wstąpił do jego chaty, do któréj było niedaleko, posilić się trochę. Wiedziałem, że jeśli mu odmówię, zrobię mu wielką przykrość, a jednak odmówiłem, obiecawszy tylko przyjść nazajutrz rano. Ale nie chciałem, by Selim i Hania zostawali długo sam na sam, bezemnie. Przez te pięć dni, które upłynęły od czasu wizyty w Ustrzycy, Selim bywał wprawdzie codziennie. Wzajemna sympatya

dwojga młodych rozwijała się szybko pod mojemi oczyma! Ale też pilnowałem ich jak oka w głowie i dziś piérwszy raz zachodził wypadek, że mogli zostawać z sobą dłużéj sam na sam. A nuż, myślałem sobie, przyjdzie między niemi do wyznania i czułem, że bledną, jak ten co traci nadzieję nadziei.

Bałem się tego, jakby jakiegoś nieszczęścia jakby niecofnionego wyroku śmierci, o którym się wié, że nadejść musi, ale który człek odwłóczy ile mu sił stanie.

Wróciwszy do domu, na dziedzińcu spotkałem księdza Ludwika, ubranego w worek na głowie, otaczający drucianą siatkę na twarz. Ksiądz Ludwik wybierał się do pasieki.

— Czy Selim tu jest, księże Ludwiku?—spytałem?

— Jest: będzie z półtory godziny jak przyjechał.

Serce zadrgało mi niespokojnie.

— A gdzie go znajdę?

— Wybierali się na staw z Hanią i z Ewunią.

Pobiegłem szybko do ogrodu nad brzeg stawu gdzie stały czółna. Rzeczywiście jednego z większych czółen brakło: spojrzałem na staw, ale zrazu nie mogłem nic dojrzeć. Domyśliłem się że Selim musiał skręcić na prawo ku olszynom, skutkiem czego czółno wraz z jadącymi zasłonięte było przez rosnące po brzegach trzciny. Schwyciłem wiosło i wskoczywszy w małą jednoosobową łódkę, ruszyłem cicho na staw, trzymając się trzcin i nie wyjeżdżając z nich całkowicie, tak aby widzieć nie będąc widzianym.

Jakoż wkrótce ujrzałem ich. Na obszernéj, nie porośniętéj trzciną przestrzeni tkwiło nieruchomie czółno: wiosła były zwieszone. Na jednym jego końcu siedziała odwrócona od Hani i Selima, mała siostrzyczka moja

Ewunia, na drugim końcu ich dwoje. Ewunia pochylona ku wodzie, uderzała w nią wesoło rączkami i całkiem była zajęta tą zabawą; Selim zaś i Hania, prawie oparci o siebie ramionami, zdawali się zatopieni w rozmowie. Najmniejszy powiew wietrzyka nie marszczył przezroczystéj, błękitnéj toni, a czółno, Hania, Ewunia i Selim odbijali się w niéj, jak w zwierciadle, spokojnie i nieruchomie.

Byłto może bardzo piękny obrazek, ale na widok jego krew uderzyła mi do głowy. Zrozumiałem wszystko: wzięli ze sobą Ewunię, bo dziecina nie mogła im przeszkadzać, ani rozumieć miłosnych wyznań. Wzięli ją dla pozoru. „Stało się!“ pomyślałem sobie; „stało się!“ zaszumiały trzciny. „Stało się!“ wybełkotała fala, uderzająca o brzeg mojéj łódki i w oczach mi pociemniało; uczułem zimno i gorąco; uczułem, że bladość pokrywa mi twarz! „Straciłeś Hanię! straciłeś!“ wołały jakieś głosy nademną i we mnie. A potém, usłyszałem jakby też same głosy wołały: „Jezus, Marya!“ a potém jeszcze mówiły: „przysuń się bliżéj i ukryj w trzcinach, zobaczysz więcéj!“ Usłuchałem i podciągnąłem się z łódką cicho jak kot. Ale i z téj odległości nie mogłem słyszeć rozmowy, widziałem tylko lepiéj, siedzieli obok siebie, na jednéj ławeczce, nie trzymając się za ręce, Selim jednak zwrócony był ku Hani; zdawało mi się przez chwilę, że klęka przed nią, ale mi się to tylko zdawało. Zwrócony był ku niéj i patrzył na nią błagalnie: ona zaś nie patrzyła na niego, ale jakby oglądała się na wszystkie strony niespokojnie, potém zaś podniosła oczy ku niebu. Widziałem, że była zmieszana; widziałem, że on błagał o coś; widziałem wreszcie, jak złożył ręce przed nią, jak ona zwolna,

zwolna zwracała główkę i oczy ku niemu; jak wreszcie zaczęła się ku niemu pochylać, ale nagle oprzytomniawszy, drgnęła i odsunęła się na sam brzeżek łodzi, a wówczas on schwycił ją za rękę, niby obawiając się, żeby nie spadła w wodę. Widziałem, że nie puścił już téj ręki, a potém nie widziałem już nic więcéj, bo chmura zasłoniła mi oczy. Wypuściłem wiosło z ręki i padłem na dno łodzi, „Ratunku! ratunku, Boże! wołałem w duszy, tu zabijają człowieka!“ Czułem, że brak mi tchu. O! jakże ja ją kochałem i jakiż byłem nieszczęśliwy! Leżąc na dnie łodzi i szarpiąc ze wściekłości na sobie ubiór, czułem zarazem całą bezsilność téj wściekłości. Tak jest, byłem bezsilny, bezsilny, jak atleta ze związanemi rękoma, bo i cóż mogłem uczynić? Mogłem zabić Selima, siebie; mogłem uderzyć swoją łodzią o ich łódź i zatopić w falach oboje, ale nie mogłem wydrzéć z serca Hani miłości dla Selima i zabrać dla siebie wyłącznie, niepodzielnie!

Ach! to poczucie bezsilnego gniewu, to przekonanie: niéma rady! w téj chwili, gorsze było prawie od wszystkich innych. Zawsze wstydziłem się płakać, nawet przed samym sobą. Jeśli ból wyciskał mi gwałtownie łzy z oczu, to niemniéj gwałtownie wstrzymywała je duma. Ale teraz załamała się wreszcie bezsilna wściekłość, szarpiąca mi piersi i wobec téj samotni wobec téj łodzi z zakochaną parą, odbijającéj się w lustrzanéj fali, wobec spokojnego nieba i tych trzcin szeleszczących smutno nad moją głową, i ciszy i moich nieszczęść i mojéj niedoli, wybuchnąłem ogromném łkaniem, jedną wielką falą łez i leżąc na wznak, z rękoma splecionemi nad głową, ryczałem prawie z żałości wielkiéj, niewypowiedzianéj.

Potém osłabłem. Napadło mnie jakieś odrętwienie. Zmysły prawie przestały działać, uczułem zimno w końcach rąk i nóg. Słabo mi było i coraz słabiéj. Myślałem resztkami myśli, że to już zbliża się śmierć i uspokojenie wielkie a lodowate. Zdało mi się, że ta posępna, grobowa władczyni bierze mnie w swoje posiadanie, więc witałem ją spokojném, szklistém okiem. Skończyło się! myślałem i niby wielki jakiś ciężar spadł mi z piersi.

Ale nie skończyło się nic. Jak długo tak leżałem na dnie łódki, nie umiałem sam sobie zdać sprawy. Na niebieskiém sklepieniu przed oczyma memi przesuwały się czasem lekkie, puszyste chmurki, czasem przeleciały, kwiląc żałośnie, to czajki, to żórawie. Słońce weszło wysoko na niebie i paliło żarem. Ustał wiatr, przestały szemrać tkwiące nieruchome trzciny. Obudziłem się, jakby ze snu i począłem się rozglądać naokoło. Czółna z Hanią i Selimem już nie było. Cisza, spokój i upojenie panujące w całéj naturze, dziwną stanowiły sprzeczność ze stanem sennego odrętwienia, z jakiego obudziłem się przed chwilą. Naokoło wszystko było spokojne, uśmiechnięte. Ciemno-szafirowe koniki wodne siadały na zrębach łódki i na płaskich, jak tarcze, liściach nenufarów; maleńkie szare ptaszki kołysały się po trzcinach, gwarząc słodko; gdzieniegdzie słychać było pracowite brzęczenie zabłąkanéj na wodach pszczółki; czasem z tataraku ozwały się dzikie kaczki; cyranki wyprowadzały swoje młode na polanki wodne. Królestwa i rzeczypospolite ptasie odchylały oczom moim zasłonę swego codziennego życia, ale ja nie zważałem na nic. Senność moja jeszcze nie przeszła. Dzień był znojny: czułem nieznośny ból głowy, więc wychyliwszy

się z czółna, chwytałem dłońmi wodę i piłem ją spieczonemi ustami. Wróciło mi to trochę siły. Wziąwszy wiosło, ruszyłem między szuwarami do domu, ile że już i późno było, a w domu pytano pewnie o mnie.

Po drodze próbowałem uspakajać się. Jeżeli Selim i Hania wyznali sobie, że się kochają, to może i lepiej się stało, myślałem. Przynajmniéj skończyły się przeklęte dni niepewności. Nieszczęście odchyliło przyłbicę i stoi przedemną z jasną twarzą. Znam je i muszę z niém walczyć. Dziwna rzecz, myśl ta poczęła nawet miéć dla mnie pewien bolesny urok. Ale nie miałem jeszcze pewności i postanowiłem sobie wybadać zręcznie Ewunię, przynajmniéj o tyle, o ile to było możliwém.

Trafiłem w domu na obiad. Z Selimem przywitałem się zimno i siadłem do stołu w milczeniu. Ojciec spojrzał na mnie i zawołał:

— Co tobie jest, czyś nie chory?

— Nie. Zdrów jestem, tylko zmęczony. Wstałem o trzeciéj rano.

— Dlaczego?

— Chodziliśmy z Wachem na wilki. Postrzeliłem wilka. Późniéj położyłem się spać i trochę mnie głowa boli.

— A przejrzyj-no się w lustrze, jak wyglądasz.

Hania przestała na chwilkę jeść i przypatrywała mi się pilnie.

— Może to wczorajsza wizyta w Ustrzycy tak podziałała na pana, panie Henryku?—rzekła.

Spojrzałem jéj prosto w oczy i spytałem prawie [redacted]ro:

— Jak to rozumiész?

Hania zmieszała się i poczęła coś niewyraźnie tłómaczyć. Selim przyszedł jéj w pomoc.

— No, to bardzo naturalne. Kto się kocha, ten mizernieje.

Zacząłem spoglądać naprzemiany to na Hanię, to na Selima i odpowiedziałem zwolna, dobitnie, kładąc nacisk na każdą syllabę:

— Nie widzę, żebyście zmizernieli: ani ty, ani Hania!

Ponsowy rumieniec oblał twarze obojga. Nastała chwila bardzo kłopotliwego milczenia. Ja sam nawet byłem niepewny, czy nie zadaleko się posunąłem; szczęściem jednak ojciec nie wszystko słyszał co się mówiło, ksiądz Ludwik zaś wziął to za zwykłe przekomarzanie się młodych.

— A to osa z żądłem! — wykrzyknął, zażywszy tabaki.—A to was wziął. A widzicie! niezaczepiajcie go.

O, Boże! jakże mnie mało ten mój tryumf pocieszał i jakże chętnie zrzekłbym się go za przegraną Selima!

Po obiedzie, przechodząc przez salon, spojrzałem w lustro. Rzeczywiście wyglądałem jak Piotrowin. Oczy miałem podsiniałe, twarz zapadłą. Wydało mi się, że zbrzydłem ogromnie, ale to teraz było mi już wszystko jedno.

Poszedłem szukać Ewuni. Obie siostrzyczki, które obiad jadały wcześniéj od nas, były w ogrodzie, gdzie była urządzona gimnastyka dziecinna. Ewunia siedziała niedbale na drewnianym stołku, zawieszonym na czterech sznurach u poprzecznéj belki huśtawki. Siedząc rozprawiała sama z sobą, potrząsając od czasu

do czasu lokami swéj złotéj główki i przebierając nóżkami.

Ujrzawszy mnie uśmiechnęła się i wyciągnęła małe rączki. Wziąłem ją na ręce i poszedłem w głąb' alei.

Potém siadłem na ławce i postawiwszy Ewunię przed sobą, spytałem:

— Cóż tam Ewunia dziś robiła cały dzień?

— Ewunia jeździla na spacel z męziem i Hanią— odpowiedziała przechwalając się dziewczynka.

Selima nazywała Ewunia swoim mężem.

— A czy Ewunia była grzeczna?

— Byla.

— Ha! bo grzeczne dzieci, to zawsze przysłuchują się co starsi mówią i uważają żeby się czegoś nauczyć. A czy Ewunia pamięta co Selim mówił z Hanią?

— Zapomnialam.

— Ej, może choć trochę Ewunia pamięta?

— Zapomnialam.

— Niegrzeczna jesteś! Niech Ewunia sobie zaraz przypomni, bo nie będę kochał Ewuni.

Dziewczynka zaczęła trzéć piąstką jedno oko, a drugiém załzawioném poglądała na mnie z pod czoła i nachmurzywszy się jakby do płaczu, z podkówką na ustach, rzekła już drgającym od łez głosem:

— Zapomnialam.

Cóż mogło mi odpowiedzieć biedactwo? Doprawdy wydałem się sam sobie głupi, a zarazem wstyd mi się jakoś zrobiło mówić dwoistym językiem do tego niewinnego aniołka: o co innego pytać, czego innego chcieć się dowiedzieć. Przytém Ewunia była pieszczotą całego domu i moją, więc nie chciałem jéj dłużéj udręczać. Ucałowałem ją tedy w buzię, pogłaskałem i puściłem.

Dziewczynka pobiegła zaraz na huśtawkę, ja zaś odszedłem taki mądry jak i poprzednio; jednakże z przekonaniem w duszy, że wyznanie między Selimem i Hanią już nastąpiło.

Nad wieczorem dnia tego Selim rzekł do mnie:

— Nie zobaczę cię przez tydzień: jadę.

— Gdzie?—spytałem obojętnie.

— Ojciec mi każe — odrzekł — odwiedzić stryja w Szumnéj: muszę tam zabawić z jaki tydzień.

Spojrzałem na Hanię. Wiadomość ta nie wywołała na jéj twarzy żadnego wrażenia. Widocznie Selim mówił już z nią poprzednio.

Natomiast uśmiechnęła się i podniósłszy oczy od robótki, patrzyła na Selima figlarnie trochę, trochę przekornie, potém zaś rzekła:

— A czy pan z wielką ochotą tam jedzie?

— Jak bryś na łańcuch! — odpowiedział szybko; ale pomiarkował się wczas i widząc, że pani d'Yves, która nie znosiła najmniejszéj trywialności, krzywi się trochę, dodał:

— Przepraszam za wyrażenie. Ja stryja kocham, ale widzi pani... mnie tu... blizko... pani... d'Yves lepiéj.

I mówiąc to rzucił romansowe spojrzenie na panią d'Yves, co pobudziło do śmiechu wszystkich nie wyjmując i pani d'Yves, która lubo obraźliwa, miała do Selima szczególniejszą słabość. Wzięła go jednak lekko za ucho i z dobrotliwym uśmiechem rzekła:

— Młody człowieczku mogłabym być twoją matką!

Selim pocałował ją w rękę i była zgoda, ja zaś pomyślałem sobie: jaka to jednak różnica między mną a tym Selimem! Gdybym ja tak posiadał wzajemność Hani, tobym tylko marzył i patrzył w niebo. Gdzieby

mi tam było do żartów, a on i śmiał się i żartował i był wesoły, tak jakby nigdy nic.

Kiedy nawet promieniował ze szczęścia, czynił to zawsze wesoło.

Na samym odjeździe rzekł do mnie:

— Wiész co ci powiem: jedź ze mną!

— Nie pojadę. Nie mam wcale zamiaru.

Zimny ton téj odpowiedzi uderzył jakoś Selima.

— Dziwny ty się jakiś stałeś—odparł.—Nie poznaję cię od niejakiego czasu, ale...

— Dokończ.

— Ale zakochanym wszystko się wybacza.

— Z wyjątkiem jeśli nam w drogę wchodzą — odpowiedziałem głosem kamiennego Komandora.

— Selim uderzył mnie przenikliwém spojrzeniem, jak błyskawicą i sięgnął mi aż do dna duszy.

— Co ty mówisz?

— Mówię że nie pojadę, a powtóre nie wszystko się przebacza!

Gdyby nie to, że przy téj rozmowie wszyscy byli obecni, Selim zapewne natychmiast postawiłby jasno całą sprawę. Ja jednak nie chciałem jéj stawić jasno, póki nie miałem pewniejszych dowodów. Widziałem jednak, że ostatnie moje słowa zaniepokoiły Selima, a strwożyły Hanię. Pokręcił się jeszcze chwilę zwłócząc odjazd pod błahemi pozorami, a potém upatrzywszy chwilę, rzekł do mnie z cicha:

— Siądź na koń i odprowadź mnie. Chcę z tobą pomówić.

— Innym razem—odpowiedziałem głośno.—Dziś czuję się trochę słaby.

IX.

Selim istotnie odjechał do stryja i bawił tam nie tydzień, ale dni dziesięć. Smutno płynęły nam te dni w Litwinowie. Hania zdawała się mnie unikać i poglądała na mnie, jakby z tajoną obawą. Nie miałem wprawdzie zamiaru rozmawiać z nią szczerze o niczém, bo pętała mi słowa na ustach duma, ale ona nie wiem już dlaczego, urządzała tak sprawy umyślnie, że nie byliśmy ani przez chwilę sam na sam. Zresztą tęskniła widocznie. Zmizerniała aż i schudła, a ja ze drżeniem patrząc na jéj tęsknotę, myślałem: więc to nie kaprys dziewczęcy przelotny, ale na nieszczęście uczucie prawdziwe i głębokie! Sam zresztą byłem rozdrażniony, chmurny i smutny. Napróżno ojciec, ksiądz i pani d'Yves wypytywali się co mi jest? czym nie chory? Odpowiadałem przecząco, a troskliwość ich drażniła mnie tylko. Dnie całe spędzałem samotnie, na koniu, to w lasach, to w szuwarach na łodzi. Żyłem jak dziki człowiek. Raz całą noc przepędziłem w lesie ze strzelbą i psem przy ognisku, które roznieciłem umyślnie. Czasem po pół dnia spędzałem z owczarzem naszym, który był znahorem, a zdziczały przez ciągłą samotność, zbierał wiecznie różne zioła, badał ich własności i mnie

wtajemniczał w świat fantastyczny guseł i przesądów. Doprawdy, czyby kto uwierzył!? ale były chwile, że tęskniłem za Selimem i za mojemi „kołami udręczeń,“ jak je zwykle nazywałem.

Raz przyszła mi myśl odwiedzić starego Mirzę w Chorzelach. Stary ujęty tém, że odwiedzam go dla niego samego, przyjął mnie z otwartemi rękoma. Ale ja w innym tam przybyłem celu. Ot przyszło mi na myśl popatrzeć w oczy portretowi owego strasznego Mirzy pułkownika potyhorców, z czasów Sobieskiego. I gdym patrzył w te złowrogie oczy zwracające się wszędzie za człowiekiem, przyszli mi na myśl moi własni dziadowie, których konterfekty wisiały w sali bawialnéj u nas; również surowi, żelaźni.

Umysł mój pod wpływem podobnych wrażeń doszedł do stanu dziwnéj egzaltacyi. Samotność, cisza nocna, życie z naturą, wszystko to powinno było podziałać na mnie uspakajająco; ale ja nosiłem w sobie niby zatruty postrzał. Chwilami oddawałem się marzeniom, które ten stan jeszcze pogarszały. Nieraz leżąc w jakim zapadłym kącie boru lub na łodzi w szuwarach, wyobrażałem sobie, że jestem w pokoiku Hani przy jéj nogach, że całuję jéj stopy, ręce i sukienkę, że nazywam ją najbardziéj pieszczonemi imionami, a ona kładzie mi swoje ubóstwiane dłonie na rozpalone czoło i mówi: „Nacierpiałeś się już dosyć, zapomnijmy o wszystkiém! to był przykry sen! Ja ciebie kocham, Henryku!“ Ale potém następowało przebudzenie i ta szara rzeczywistość, ta posępna jak chmurny dzień moja przyszłość, wiecznie bez niéj, aż do końca życia bez niéj, wydawała mi się tém straszniejszą. Dziczałem więc coraz więcéj: unikałem ludzi, nawet ojca, księdza

Ludwika i pani d'Yves. Kazio ze swoją gadatliwością chłopca-podlotka, ze swoją ciekawością, wiecznym śmiechem i wiecznemi psotami, uprzykrzył mi się do ostatka. A jednak oni poczciwi starali się mnie rozerwać i cierpieli po cichu nad moim stanem, nie umiejąc go sobie wytłómaczyć. Hania czy się domyślała czego, czy nie, boć miała silne powody wierzyć, że kocham się w Loli Ustrzyckiéj, robiła co mogła, żeby mnie pocieszyć. Byłem jednak tak cierpki nawet i dla niéj, że nie mogła pozbyć się pewnéj obawy, mówiąc do mnie. Ojciec, sam ojciec zwykle surowy i bezwzględny, próbował mnie rozerwać i zainteresować czémkolwiek, a przytém i zbadać. Niejednokrotnie zaczynał ze mną rozmowy, które, jak sądził, powinny były mnie zająć. Pewnego dnia po obiedzie, wyszedł ze mną na dziedziniec i rzekł, patrząc na mnie badawczo:

— Czy tobie się czasem nie zdaje jedna rzecz? Chciałem się o to dawno spytać: czy tobie się nie zdaje, że Selim trochę zanadto kręci się koło Hani.

Poprostu rzeczy sądząc, powinienem się był zmieszać i dać się złapać, jak to mówią, na gorącym uczynku. Ale byłem w takim nastroju, że ani jedném drgnieniem nie zdradziłem wrażenia, jakie uczyniły na mnie słowa ojca i odrzekłem spokojnie:

— Nie. Wiem, że tak nie jest...

Ubodło mnie, że ojciec brał udział w tych sprawach. Sądziłem, że ponieważ tu o mnie tylko chodzi, a więc ja tylko będę rozstrzygał.

— Czy ręczysz za to?—spytał ojciec.

— Ręczę. Selim kocha się w Warszawie, w jakiejś tam pensyonarce.

— Bo widzisz, jesteś przecie opiekunem Hani i powinieneś nad nią czuwać.

Wiedziałem, że poczciwy ojciec mówił to tylko dlatego, żeby pobudziwszy moję miłość własną, zająć mnie czémś i wyrwać moje myśli z tego ponurego kręgu, w którym zdawały się obracać; ale odpowiedziałem, jakby na przekór, obojętnie i ponuro:

— Co ja tam jestem za opiekunem. Ojca nie było, więc stary Mikołaj mnie ją zostawił, ale prawdziwym opiekunem nie ja jestem.

Ojciec zmarszczył się; widząc jednak, że tym sposobem nie trafi ze mną do ładu, wziął się na inny. Uśmiechnął się pod siwym wąsem, przymrużył po żołniersku jedno oko, wziął mnie z lekka za ucho i niby poufale, niby drażniąc się, spytał.

— A może tobie zawróciła Hania głowę? gadaj chłopcze, co?

— Hania? Ani trochę. A toby było zabawne!

Kłamałem jak najęty, ale szło mi gładziéj, niżem się spodziewał.

To może Lola Ustrzycka? co?

Lola Ustrzycka, kokietka!

Ojciec zniecierpliwił się.

— To czegóż, u licha! jeśli się nie kochasz, łazisz jak rekrut po pierwszej mustrze?

— Czy ja wiem. Nic mi nie jest.

Ale podobne badania, jakich przez troskliwość nie szczędzili mi, ani ojciec, ani ksiądz Ludwik, ani nawet pani d'Yves, męczyły mnie i niecierpliwiły coraz bardziéj. Wreszcie, stosunki moje z nimi zaczęły być przykre. Unosiłem się i gniewałem o lado co. Ksiądz Ludwik widział w tém pewne rysy wybijającego się na wierzch z wiekiem despotycznego charakteru i spoglądając na ojca uśmiechał się znacząco i mówił: „rodem

kurki czubate!“ Ale z tém wszystkiem zabrakło i jemu czasem cierpliwości. Między ojcem i mną przyszło kilkakrotnie do zajść bardzo przykrych. Raz nawet przy obiedzie, gdy w dyspucie o szlachetczyznę i demokracyą, uniosłem się do tego stopnia, że oświadczyłem, że wolałbym sto razy nie rodzić się szlachcicem: ojciec kazał mi wyjść z pokoju. Kobiety popłakały się skutkiem tego i cały dom chodził przez dwa dni skwaszony. Co do mnie: nie byłem wówczas ani arystokratą, ani demokratą, byłem tylko rozkochany i nieszczęśliwy. Na zasady, teorye i socyalne przekonania nie było we mnie wcale miejsca, a jeżelim bojował w imię jednych przeciw drugim, czyniłem to tylko z rozdrażnienia, na złość niewiadomo komu i dlaczego, tak samo, jak na złość wdawałem się z księdzem Ludwikiem w dysputy religijne, które kończyliśmy trzaskając drzwiami. Jedném słowem, zatrułem życie nietylko sobie, ale i całemu domowi; to też gdy Selim wrócił wreszcie po dziesięciodniowéj niebytności, wszystkim jakby kamień spadł z piersi. Kiedy przyjechał do nas, mnie nie było w domu, bo tłukłem się na koniu po okolicy. Wróciłem do domu dopiero nad wieczorem i zajechałem wprost na dziedziniec folwarczny, gdzie zaraz chłopak stajenny, odbierając odemnie konia, rzekł:

— Panicz z Chorzel przyjechał.

W téj chwili nadbiegł i Kazio i powtórzył mi tę wiadomość.

— Wiem już o tem—odpowiedziałem mu szorstko. Gdzie jest Selim?

— Zdaje mi się że w ogrodzie, z Hanią. Pójdę go poszukam.

Poszliśmy obaj do ogrodu, ale Kazio pobiegł na-

przód, ja zaś szedłem zwolna, za nim, umyślnie nie śpiesząc się z powitaniem.

Nie uszedłem jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy na skręcie alei znowu ujrzałem wracającego pośpiesznie Kazia.

Kazio, który był wielki pajac i trefniś, zdaleka już zaczął wyrabiać dziwne jakieś miny i gesta, jak małpka; był przytém czerwony, palec trzymał na ustach i śmiał się, tłumiąc jednocześnie śmiech. Zbliżywszy się do mnie, zawołał zcicha:

— Henryk! Hi, hi! hi! Tsss!

— Co ty wyrabiasz?—zawołałem niechętnie.

— Tss! Jak mamę kocham! hi! hi! Selim klęczy przed Hanią w chmielowéj altanie. Jak mamę kocham!

Porwałem go natychmiast za ramiona i wpiłem w nie palce.

— Milcz! Zostań tu! Ani słowa nikomu, rozumiesz! Zostań tu, ja sam pójdę, ale milcz! ani słowa przed nikim, jeśli ci życie moje miłe!

Kazio, który z początku całą rzecz brał ze strony humorystycznéj, widząc trupią bladość, jaka pokryła mi twarz, przeraził się widocznie i pozostał na miejscu z otwartemi ustami, ja zaś pobiegłem jak szalony w kierunku chmielowéj altany.

Przeczołgnąwszy się szybko i cicho jak wąż, między krzakami berberysu, które otaczały altankę dotarłem do saméj ściany. Ściany zbudowane były w kratkę z cienkich bierwionek, mogłem więc i widzieć i słyszeć wszystko. Wstrętna rola podsłuchującego nie wydała mi się wcale wstrętną. Delikatnie rozsunąłem liście i nadstawiłem ucha.

— Ktoś tu jest blizko!—doszedł mnie cichy, przytłumiony szept Hani.

— Nie! To liście poruszają się na gałązkach—odpowiedział Selim.

Spojrzałem na nich przez zielone obsłonki liści. Selim nie klęczał już przy Hani, ale siedział przy niej na nizkiéj ławeczce. Ona była blada, jak płótno, oczy miała zamknięte, głowę pochyloną i opartą na jego ramieniu, on ręką obejmował ją w pół i tulił do siebie z miłością i rozkoszą.

— Kocham, Haniu! Kocham! kocham!—powtarzał, szepcząc namiętnie i pochyliwszy głowę, gonił ustami jéj usta; ona zaś cofała się, jakby broniąc pocałunku, ale mimo to, usta ich spotkały się, zwarły i pozostały tak połączone, przyciśnięte jedne drugiemi długo, długo, ach! mnie się zdało, że wieki całe.

A potém jeszcze mi się zdawało, że wszystko, co mieli sobie powiedzieć, wycałowali ustami. Jakiś wstyd tamował im słowa. Mieli dosyć śmiałości do pocałunków, a nie mieli jéj do rozmowy. Cisza panowała śmiertelna, a wśród ciszy téj dochodził mnie tylko szybki i namiętny ich oddech.

Chwyciłem rękoma za drewniane kraty altany i bałem się, żeby nie rozkruszyły się w drzazgi w tym konwulsyjnym uścisku. W oczach mi ciemniało, czułem zawrót głowy, ziemia uciekała gdzieś z podemnie w nieskończoną głębię. Ale choćby za cenę życia chciałem wiedzieć, co będą mówić; więc jeszcze zapanowałem nad sobą i chwytając spieczonemi ustami powietrze, z czołem przyciśniętém do kraty, słuchałem, licząc każde ich tchnienie.

Cisza trwała jeszcze czas jakiś, wreszcie Hania pierwsza poczęła szeptać:

— Dosyć już! dosyć! Ja nie śmiem w oczy panu spojrzeć. Chodźmy ztąd!

I odwracając w bok głowę, usiłowała się wyrwać z jego ramion.

— O, Haniu! co się zemną dzieje, jakim ja szczęśliwy!—wołał Selim.

— Chodźmy ztąd. Tu kto nadejdzie.

Selim porwał się z miejsca, z błyszczącemi oczyma i rozdętemi nozdrzami,

— Niech świat cały nadejdzie—odpowiedział — ja kocham i powiem to wszystkim w oczy. Ja sam nie wiem, jak się to stało. Walczyłem z sobą, cierpiałem, bo mi się zdawało, że cię. kocha Henryk, a ty jego. Ale teraz nie uważam na nic. Ty mnie kochasz, a więc o twoje szczęście chodzi.

— O, Haniu, Haniu!

I tu znowu zaszemrał pocałunek, a potém Hania poczęła mówić głosem miękkim i jakby osłabłym.

— Wierzę, wierzę, panie Selimie, ale ja mam panu wiele rzeczy powiedzieć! Mnie chcą podobno wysłać ztąd za granicę do pani. Wczoraj pani d'Yves rozmawiała o tém z panem: pani d'Yves myśli, że to ja jestem powodem tego dziwnego stanu pana Henryka. Myślą, że on się we mnie kocha. Ja sama nie wiem, czy tak nie jest. Są chwile, że mi się tak zdaje. Ja go nie rozumiem. Ja się go boję. Czuję, że on nam będzie przeszkadzał, że on nas rozłączy, a ja...

I skończyła zaledwie dosłyszanym szeptem:

— Ja bardzo, bardzo kocham!

— Słuchaj, Haniu,—odpowiedział Selim.—Żadna siła ludzka nas nie rozłączy. Gdyby Henryk zabronił

mi tu bywać, będę pisywał do ciebie. Mam kogoś takiego, kto zawsze list zaniesie. Będę przejeżdżał i sam od strony stawu. Szarą godziną wyjdź zawsze do ogrodu. Ale ty nie wyjedziesz. Gdyby cię chcieli wysłać: ja na to nie pozwolę, jak Bóg na niebie. Haniu, nie mów nawet takich rzeczy, bo ja oszaleję! O! moja ukochana, moja ukochana!

Porwawszy jéj ręce, cisnął je namiętnie do ust. Ona zerwała się gwałtownie z ławki.

— Słyszę jakieś głosy: nadchodzą — zawołała z przestrachem.

Wyszli oboje, chociaż nie nadchodził i nie nadszedł nikt. Wieczorne promienie słońca rzucały na nich blaski złote, a mnie te blaski wydały się takie czerwone, jak krew. Zawlokłem się i ja zwolna ku domowi. Zaraz na skręcie ulicy, spotkałem czatującego Kazia.

— Wyszli. Widziałem ich—szepnął.—Powiedz mi, co mam robić?

— Strzel mu w łeb,—zawołałem z wybuchem.

Kazio spłonął jak róża, a oczy zaświeciły fosforycznie.

— Dobrze!—odparł.

— Stój! Nie bądź głupcem. Nie rób nic. Nie mieszaj się do niczego i na honor twój, Kaziu; milcz. Zdaj wszystko na mnie. Jak mi będziesz potrzebny, powiem ci; ale przed nikim ani słowa.

— Ani pisnę, choćby mnie zabili.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Kazio przejęty teraz ważnością kwestyi i wietrzący jakieś groźne wypadki, do których skakało mu serce, poglądał na mnie roziskrzonemi oczyma, potém rzekł:

— Henryku?

— Co?

Szeptaliśmy obaj, choć nikt nas nie słuchał.

— Czy ty się będziesz bił z Mirzą?

— Nie wiem. Może.

Kazio zatrzymał się i nagle zarzucił mi ręce na szyję.

— Henryku! mój złoty! mój serdeczny! mój jedyny! jeżeli ty się z nim chcesz bić, to pozwól, niech ja to zrobię. Już ja sobie z nim dam radę. Niech ja się sprobuję. Pozwól, Henryku! pozwól!

Kaziowi, poprostu, marzyły się czyny rycerskie, ale ja poczułem w nim brata, jak nigdy przedtém, więc przygarnąłem go do piersi z całéj siły i rzekłem:

— Nie, Kaziu! ja jeszcze nic nie wiem. A powtóre: onby nie przyjął. Ja jeszcze nic nie wiem: co się stanie. Tymczasem każ mi osiodłać konia wcześnie. Pojadę przed nim, złapię go w drodze i rozmówię się z nim. Tymczasem pilnuj ich, ale nie daj poznać, że wiesz o czémkolwiek. Każ mi osiodłać konia.

— Czy broń weźmiesz ze sobą.

— Fe! Kaziu! przecież on niéma przy sobie broni. Nie! Ja się chcę z nim tylko rozmówić. Bądź spokojny i ruszaj zaraz do stajni.

Kazio skoczył natychmiast według polecenia, ja zaś wróciłem wolno do domu. Byłem jak człowiek, którego uderzono obuchem siekiery w głowę. Mam prawdę rzec: nie wiedziałem co mam robić; nie wiedziałem, jak mam postąpić. Poprostu chciało mi się krzyczeć.

Zanim miałem zupełną pewność utraty serca Hani, pragnąłem mieć tę pewność, sądziłem, że bądźcobądź spadnie mi kamień z serca: teraz nieszczęście odchyliło

przyłbicę, a ja patrzyłem w zimną, lodowatą twarz, w kamienne jego oczy i znów nowa niepewność zrodziła mi się w sercu, nie niepewność nieszczęścia, ale stokroć gorsze poczucie własnéj niemocy: niepewność, jak z niém walczyć.

Serce moje przepełnione było żółcią, goryczą i wściekłością. Głosy ofiarne, głosy poświęceń, które dawniéj nieraz wołały mi w duszy: „zrzeknij się Hani dla jéj szczęścia; tyś o szczęście jéj przedewszystkiém dbać powinien: poświęć się!“ głosy takie umilkły teraz zupełnie. Anioł cichego smutku, anioł rzewności i anioł łez uleciały daleko odemnie. Czułem się robakiem, którego zdeptano, ale o którym zapomniano, że ma żądło. Dałem się dotychczas gnać nieszczęściom jak wilk psom, ale zbyt sponiewierany i przyparty, począłem jak wilk pokazywać im zęby. Jakaś nowa siła czynna, któréj na imię było: mściwość, rozbudziła się w mém sercu. Począłem czuć, jakby rodzaj nienawiści do Selima i Hani. Stracę życie, myślałem sobie, stracę wszystko, co można stracić na świecie, a nie pozwolę na szczęście tych dwojga. Przejęty tą myślą, chwyciłem się jéj jak potępieniec krzyża. Znalazłem powód do życia: horyzont rozjaśnił się przedemną; odetchnąłem szeroko, bardzo szeroko, i swobodnie, jak nigdy przedtém! Rozproszone i zwichrzone myśli wróciły mi do porządku i całą siłą skierowały się w jednym złowrogim dla Selima i Hani kierunku. Gdy wróciłem do domu, byłem prawie spokojny, chłodny. W sali siedziała pani d'Yves, ksiądz Ludwik, Hania, Selim i Kazio, który wrócił już był ze stajni i nie odstępował ich ani na krok jeden.

— Czy koń jest dla mnie?—spytałem Kazia.

— Jest.

— Odprowadzisz mnie?—wtrącił Selim.

— Mogę. Jadę do stogów, zobaczyć czy niéma szkód jakich. Kaziku, puść mnie na swoje miejsce.

Kazio ustąpił się ja zaś siadłem koło Selima i Hani, na kanapce stojącéj pod oknem. Mimowoli przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy, tak dawno już, dawno, zaraz po śmierci Mikołaja, wówczas, gdy Selim opowiadał bajkę krymską o sułtanie Harunie i wróżce Lali. Ale wówczas mała jeszcze i spłakana Haniulka oparła złotą główkę na mojéj piersi i usnęła; dziś taż sama Hania korzystając z mroku zapadającego w sali, ściskała pokryjomu rękę Selima. Wówczas łączyło nas wszystkich troje słodkie uczucie przyjaźni, dziś miłość i nienawiść miały wkrótce pójść z sobą w zapasy. Ale na pozór wszystko było spokojnie: zakochani uśmiechali się do siebie, ja byłem weselszy niż zwykle, nikt zaś nie podejrzywał, jaka to była wesołość. Wkrótce pani d'Yves poprosiła Selima, żeby co zagrał. Wstał usiadł przy fortepianie i począł grać mazurki Szopena, ja zaś zostałem przez chwilę sam na sam z Hanią na kanapce. Zauważyłem że patrzy na Selima jak w tęczę i że na skrzydłach muzyki ulatuje w krainę marzeń, więc postanowiłem ją sprowadzić na ziemię.

— Prawda, Haniu—rzekłem — ileto ma talentów ten Selim?—gra i śpiewa.

— O, prawda!—rzekła.

— A przytém co to za piękna twarz spojrzyj-no w téj chwili na niego.

Hania poszła za kierunkiem oczu moich. Selim siedział w mroku, tylko głowa jego oświecona była ostatniemi promieniami zorzy wieczornéj, a w tych blaskach, ze wzniesionemi oczyma, wyglądał jak natchniony, bo téż i był natchniony w téj chwili.

— Prawda jaki piękny, Haniu?—powtórzyłem.

— Czy pan go bardzo kocha?

— Na tém mu nic nie zależy, ale kobiéty kochają go. Ach! jakże go kochała ta pensyonarka Józia!

Niespokojność zarysowała się na gładkiém czole Hani.

— A on?—spytała.

— Ej! on dziś kocha tę, jutro inną! On nigdy długo jednéj nie może kochać. Taka już natura. Jeżeli ci powié kiedy, że cię kocha, nie wierz mu (tu zacząłem mówić z naciskiem): będzie mu chodziło o twoje pocałunki, nie o twoje serce: rozumiesz?

— Panie Henryku!

— Prawda! co téż ja mówię! Przecie ciebie to nic nie obchodzi. A zresztą, ty taka skromna, czyżbyś ty dała swój pocałunek obcemu. Haniu! przepraszam cię, bo mi się zdaje, żem cię obraził nawet przypuszczeniem. Tybyś nigdy na to nie pozwoliła. Prawda, Haniu, nigdy?

Hania zerwała się i chciała odejść, ale schwyciłem ją za rękę i zatrzymałem przemocą. Usiłowałem być niby spokojny, a wściekłość dusiła mnie, niby kleszczami za gardło. Czułem, że tracę władzę nad sobą.

— Odpowiedz! — rzekłem z tłumioném uniesieniem —inaczéj cię nie puszczę!

— Panie Henryku! czego pan chce? co pan mówi?

— Ja mówię.., ja mówię... — wyszeptałem z zaciśniętemi zębami — ja mówię, że wstydu nie masz w oczach! Ha!

Hania siadła bezwładnie napowrót na kanapce; spojrzałem na nią: blada była jak płótno. Ale litość nad tém biedactwem uleciała odemnie. Chwyciłem ją za rękę i cisnąc za drobne paluszki, mówiłem dalej.

— Słuchaj! byłem u nóg twoich! Kochałem cię więcéj niż świat cały...

— Panie Henryku!...

— Cicho bądź: widziałem i słyszałem wszystko! Jesteś bezwstydna! Ty i on!

— Mój Boże! mój Boże!

— Jesteś bezwstydna! Jabym nieśmiał ucałować krańca twojéj sukienki, a on całował cię w usta. Ty sama garnęłaś się do pocałunków! Haniu! ja tobą pogardzam! ja cię nienawidzę!

Głos zamarł mi w piersi. Począłem tylko oddychać szybko i łowić powietrze, którego mi brakło w piersiach.

— Zgadłaś!—mówiłem po chwili—że ja was rozłączę. Choćbym miał życie stracić, rozłączę was: choćbym miał zabić ciebie, jego i siebie. Nie prawda co ci mówiłem przed chwilą. On ciebie kocha, onby cię nie porzucił, ale ja was rozłączę.

— O czém tak żywo rozprawiacie? — spytała nagle pani d'Yves, siedząca w drugim końcu sali.

Była chwila, że chciałem się zerwać i wypowiedzieć w głos wszystko, alem się opamiętał i odrzekłem niby spokojnym, choć trochę przerywanym głosem:

— Sprzeczamy się, która altana w naszym ogrodzie piękniejsza: różana czy chmielowa?

Selim przestał nagle grać i spojrzał na nas uważnie, a potém odrzekł z największym spokojem:

— Jabym tam oddał wszystkie inne za chmielową.

— Niezły masz gust — odpowiedziałem, — Hania przeciwnego jest zdania.

— Czy naprawdę, panno Hanno?—spytał.

— Tak—rzekła cicho.

Znowuż czułem, że nie wytrwam dłużéj w téj rozmowie. Jakieś czerwone koła zaczęły mi migać przed oczyma. Zerwałem się i wybiegłszy przez kilka pokoi do sali jadalnéj, porwałem za stojącą na stole karafkę z wodą i wylałem ją sobie na głowę. Potém, nie wiedząc już co czynię, grzmotnąłem karafką o ziemię, aż rozprysła się na tysiąc kawałków i wybiegłem do sieni.

Koń mój i Selima stały już osiodłane przed gankiem.

Na chwilę wpadłem jeszcze do mego pokoju, aby jako tako obetrzeć się z wody i uczyniwszy to, wróciłem do sali.

W sali zastałem księdza Ludwika i Selima w największém przerażeniu.

— Co się stało?—spytałem.

— Hania zasłabła, zemdlała.

— Co? jak? — krzyknąłem, chwyciwszy księdza za ramię.

— Zaraz po twojém odejściu wybuchnęła głośnym płaczem, a potém zemdlała. Pani d'Yves zabrała ją do siebie.

Nic nie rzekłszy, poleciałem do pokoju pani d'Yves. Hania istotnie wybuchnęła głośnym płaczem i zemdlała, ale paroksyzm już minął. Gdym ją ujrzał zapomniałem o wszystkiém i rzuciwszy się na kolana przed jéj łóżkiem jak szalony, nie zważając na obecność pani d'Yves, krzyknąłem:

— Haniu! moja złota! moja kochana, co tobie?

— Nic! już nic! — odpowiedziała słabym głosem i próbowała się uśmiechnąć.—Nic już. Doprawdy nic.

Przesiedziałem u niéj z kwadrans. Potém pocałowałem ją w rękę i wróciłem do sali. Nie prawda! nie nienawidziłem jéj! Kochałem ją jak nigdy! Ale zato, gdym ujrzał Selima w sali, miałem ochotę go udusić. O! jego to, jego! nienawidziłem teraz z głębi duszy. Obaj z księdzem podbiegli do mnie natychmiast.

— No! jakże tam?

— Już dobrze.

I zwróciwszy się do Selima, rzekłem mu do ucha:

— Jedź do domu. Jutro zjedziemy się u kupców na skraju lasu. Chcę z tobą pomówić. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Nasze stosunki muszą się skończyć.

Selimowi krew uderzyła na twarz.

— Co to znaczy?

— Jutro to ci wytłómaczę, Dziś nie chcę. Rozumiész? nie chcę. Jutro o szóstéj rano.

To rzekłszy, wróciłem do pokoju pani d'Yves. Selim pobiegł za mną parę kroków, ale zatrzymał się we drzwiach. W kilka minut późniéj widziałem go przez okno jak odjeżdżał.

Siedziałem z godzinę w pokoju przyległym do pokoiku Hani. Wejść do niéj nie mogłem, bo osłabiona płaczem usnęła. Pani d'Yves wraz z księdzem Ludwikiem, zeszli na jakąś naradę do ojca. Siedziałem sam aż do pory herbaty.

Przy herbacie spostrzegłem, że ojciec, ksiądz i pani d'Yves mieli jakieś pół-tajemnicze, pół-surowe twarze. Wyznaję, że ogarnęła mnie pewna niespokojność. Czyżby mieli się domyślać czego? Było to prawdopodobne; bo bądźcobądź, działy się między nami młodymi dzisiaj rzeczy dość nienaturalne.

— Miałem dziś list od matki—rzekł do mnie ojciec.

— *Jakże* zdrowie matki?

— Zupełnie dobrze. Ale jest niespokojna o to co się dzieje w domu. Chce wracać niedługo, ale nie pozwolę na to: musi jeszcze ze dwa miesiące zabawić.

O cóż matka jest niespokojna?

— Wiadomo ci przecie, że we wsi panuje ospa: byłem tyle nieostrożny, żem jéj o tém doniósł.

Co prawda, nic nie wiedziałem, że we wsi panuje ospa. Może wreszcie i słyszałem o tém, ale wiadomość odbiła się zapewne o moje uszy jak o ścianę.

— Czy ojciec nie odwiedzi matki?—spytałem.

— Zobaczę. Pomówimy o tém.

—. A to już blizko rok jak kochana bawi zagranicą—rzekł ksiądz Ludwik.

— Zdrowie jéj tego wymaga. Przyszłą zimę będzie już mogła tu spędzić. Pisze, że czuje się daleko zdrowsza, tylko tęskni za nami i jest niespokojna — odrzekł ojciec.

A potém zwróciwszy się do mnie, dodał:

— Po herbacie, przyjdź do mego pokoju. Chcę z tobą pomówić.

— Dobrze, ojcze.

Wstałem i razem ze wszystkiemi poszedłem do Hani. Była już zupełnie dobrze; chciała nawet wstać, ale ojciec na to nie pozwolił. Koło godziny dziesiątéj wieczór, jakaś bryczka zadudniła przed gankiem. Przyjechał doktór Stanisław, który od południa bawił w chatach włościańskich. Wybadawszy dobrze Hanię, oświadczył, że wcale nie jest chora, ale potrzebuje rozrywki i odpoczynku. Zabronił się jéj uczyć, kazał zaś się bawić i być wesołą.

Ojciec radził się go, czy lepiéj wywieźć małe siostrzyczki na czas póki epidemia nie przeminie, czy

też można je trzymać w domu? Doktor uspokoił go, mówiąc, że niéma niebezpieczeństwa; sam umyślnie napisał do matki, żeby była spokojną. Potém zaś udał się na spoczynek, bo upadał ze znużenia. Odprowadziłem go ze świécą w ręku do stancyi, gdzie miał ze mną nocować i samemu przyszła mi ochota już się położyć, bo byłem nad wszelki wyraz zmęczony wrażeniami dnia dzisiejszego, gdy wszedł Franek i rzekł:

— Starszy pan prosi panicza do siebie.

Poszedłem natychmiast. Ojciec siedział w swoim pokoju przy biurku, na którém leżał list matki. W pokoju byli obecni także ksiądz Ludwik i pani d'Yves. Serce biło mi niespokojnie, jak obwinionemu, który ma stanąć przed sądem, bo byłem prawie pewny, iż zechcą mnie badać o Hanię. Jakoż ojciec począł mówić ze mną o rzeczach nadzwyczaj poważnych. Postanowił siostry wraz z panią d'Yves wysłać do Kopczan, do stryja, dla spokojności matki. Ale w takim razie, Hania musiałaby zostać sama między nami. Otóż ojciec sobie tego nie życzył. Przytém oświadczył, iż wié, iż dzieją się między nami młodymi rzeczy, których badać nie chce, ale których nie pochwala; spodziewa się jednak, że wyjazd Hani położy im tamę.

Tu wszyscy poczęli patrzeć na mnie badawczo, ale niepomału zdziwili się, gdy zamiast rozpaczliwie opierać się wyjazdowi Hani, przystałem nań z radością. Ja zaś miałem poprostu to wyrachowanie, że wyjazd ten równał się zerwaniu wszelkich stosunków z Selimem. A przytém jakaś nadzieja, nakształt błędnego ognika zamigotała mi w sercu, że to ja, a nie kto inny, odwiozę Hanię do naszéj matki. Wiedziałem, że ojciec nie może wyjechać, bo żniwa były za pasem; wiedzia-

łem, że ksiądz Ludwik nigdy za granicą nie był, pozostawałem więc tylko ja. Ale była to słaba nadzieja i wkrótce też jak błędny ognik zgasła, gdy ojciec oświadczył, że pani Ustrzycka za parę dni wyjeżdża do kąpieli morskich i że już się zgodziła zabrać z sobą Hanię i dowieźć ją do matki. Pojutrze miała Hania wyjechać na noc w drogę. Zasmuciło mnie to niepomału wolałem jednak w każdym razie, żeby wyjechała nawet bezemnie, niż żeby została. Przytém wyznaję, że niepomierną radość sprawiała mi myśl, co też uczyni i jak przyjmie tę wiadomość Selim, gdy mu ją jutro powiem.

X.

O szóstéj rano następnego dnia byłem u kopców, gdzie Selim czekał już na mnie. Jadąc tam, dałem sobie uroczyste słowo, że będę spokojny.

— Co mi chciałeś powiedzić?—spytał Selim.

— Chciałem ci powiedzieć, że wiem wszystko. Kochasz Hanię, a ona ciebie. Mirzo! postąpiłeś sobie niegodnie usidlając serce Hani. To ci przedewszystkiém chciałem powiedzieć.

Selim pobladł, ale wzburzyło się w nim wszystko. Najechał na mnie tak, że konie nasze prawie wsparły się o siebie i spytał:

— Dlaczego? dlaczego? Rachuj się ze słowami.

— Popiérwsze dlatego, żeś ty muzułmanin a ona chrześcianka: nie możesz się z nią żenić.

— Zmienię religią.

— Ojciec ci nie pozwoli.

— O! on pozwoli, a wreszcie.....

— Wreszcie są i inne przeszkody. Choćbyś zmienił religią, ani ja, ani mój ojciec, nie damy ci Hani nigdy i przenigdy! Rozumiesz?

Mirza pochylił się ku mnie z siodła i odparł, kładąc przycisk na każdą zgłoskę:

— Ja się o was nie będę pytał! Rozumiesz ty z kolei?

Byłem jeszcze spokojny, bo wiadomość o wyjeździe Hani chowałem naostatek.

— Nietylko, że ona nie będzie twoja—odpowiedziałem chłodno i z równym naciskiem—ale nie będziesz jéj więcéj widział. Wiem, że chciałeś posyłać listy; oświadczam, że będę pilnował i za pierwszym razem każę dać twemu posłańcowi rózgi. Sam nie będziesz przyjeżdżał więcéj do nas. Zabraniam ci!

— Zobaczymy—odparł dysząc z gniewu. Z kolei pozwól mnie mówić. Nie ja, ale ty postępujesz niegodnie. Teraz widzę jasno. Jam cię pytał, czy jéj nie kochasz? odpowiedziałeś: nie! Chciałem się cofnąć póki był czas, odrzuciłeś ofiarę. Kto winien? Kłamałeś żeś jéj nie kochał. Przez miłość własną, przez dumę egoistyczną wstydziłeś się wyznać, że kochasz. Kochałeś się pociemku, ja w świetle. Kochałeś się skrycie, ja otwarcie. Ty trułeś jéj życie, jam starał się ją uszczęśliwić. Kto winien? Byłbym się cofnął. Bóg widzi, byłbym się cofnął! Ale dziś już zapóźno. Dziś ona mnie kocha i słuchaj co ci powiem: możecie mi zabronić bywać w waszym domu, możecie przejmować moje listy, przysięgam wam jednak, że Hani się nie zrzeknę, że jéj nie zapomnę, że wiecznie ją będę kochał, wszędzie odszukam. Ja postępuje poprostu i uczciwie, ale kocham, kocham nad wszystko na świecie i cały żyję w tém, i umarłbym bez tego. Ja nie chcę wnosić nieszczęścia w wasz dom, ale pamiętaj, że jest we mnie teraz coś takiego, czego ja sam się lękam. Jam gotów na wszystko. O! jeśli wy krzywdę wyrządzicie Hani...

Mówił to wszystko pośpiesznie, blady i z zaciśniętemi ustami. Miłość potężna owładła tą ognistą, wschodnią naturą i biła od niéj jak żar od płomienia; ale ja nie uważałem na to i odpowiedziałem z zimną i chłodnę stanowczością:

— Nie przyjechałem tu słuchać twych zwierzeń. Z gróźb drwię sobie i powtarzam ci jeszcze raz: Hania nigdy nie będzie twoją.

— Słuchaj jeszcze—rzekł Selim—jak i ile Hanię kocham, nie próbuję mówić, bo ja nie umiałbym wypowiedzieć, a ty zrozumieć. Przysięgam ci jednak że pomimo całéj miłości, gdyby ona ciebie kochała, jeszczebym znalazł w duszy tyle szlachetnych uczuć, żeby zrzec się jéj na zawsze. Henryku, przecież nam o nią chodzić winno! Tyś był zawsze szlachetny. Słuchaj więc, zrzeknij się jéj, a potém żądaj odemnie choć życia. Oto moja ręka, Henryku! O Hanię! chodzi, o Hanię: pamiętaj!

I wychylił się ku mnie z otwartemi ramionami, ale ja cofnąłem konia.

— Troskę o nią zostaw mnie i ojcu memu. Jużeśmy o niéj myśleli. Mam honor oświadczyć ci, że Hania pojutrze wyjeżdża za granicę i że jéj więcéj nie zobaczysz. A teraz żegnam.

— Aa! jeśli tak, więc zobaczymy!

— Zobaczymy!

Zawróciłem konia i pojechałem do domu, nieoglądając się poza siebie.

Ponuro było w naszym domu przez te dwa dni, pozostające do wyjazdu Hani. Pani d'Yves z siostrami wyjechała zaraz na drugi dzień, po owéj rozmowie z ojcem. Zostałem tylko ja, ojciec, ksiądz Lu-

dwik i Hania. Biedaczka wiedziała już, że ma odjechać i wiadomość o tém przyjęła z rozpaczą. Widocznie pragnęła we mnie szukać ratunku i ostatniéj deski zbawienia, ale ja domyślając się tego, starałem się ażeby nie zostać z nią ani przez chwilę sam na sam. Znałem siebie dostatecznie i wiedziałem, że łzami zrobi ze mną wszystko co zechce i że nie potrafię jéj nic odmówić. Unikałem nawet jéj wzroku, bo nie mogłem znieść téj jakby prośby o litość, która malowała się w nim, ilekroć patrzyła na mnie lub na ojca.

Z drugiéj strony, choćbym nawet i chciał wstawić się za nią do ojca, wiedziałem że na nicby się to nie przydało, bo ojciec nigdy nie zmieniał tego, co raz postanowił. A przytém jeszcze i wstyd jakiś trzymał mnie od Hani zdaleka. Wstydziłem się przed nią ostatniéj rozmowy z Mirzą i téj surowości nie dawnéj i całéj mojéj roli i tego wreszcie, że nie zbliżając się do niéj, śledziłem ją jednak zdaleka. Ale miałem powody ją śledzić. Wiedziałem, że Mirza krąży, jak ptak drapieżny, dzień i noc około naszego domu; zaraz na drugi dzień po rozmowie ujrzałem, że Hania chowała z pośpiechem karteczkę zapisanego papieru: niezawodnie list od niego lub do niego. Domyślałem się nawet, że może i widzieć się będą z sobą, ale jakkolwiek czatowałem szarą godziną na Selima, nie mogłem go jednak złapać. Tymczasem dwa dni przeminęły szybko, jak strzała na powietrzu. Przed wieczorem dnia tego, w którym Hania miała odjechać na noc do Ustrzycy, ojciec pojechał do miasta na jarmark za kupnem koni i Kazia wziął dla próbowania ich ze sobą, Hanię zaś mieliśmy odprowadzić obaj z księdzem Ludwikiem.

Zauważyłem, że w miarę, jak się zbliżała godzina stanowcza, Hanię owładła dziwna jakaś niespokojność. Mieniła się w oczach i drżała na całém ciele. Chwilami wzdrygała się, jakby przestraszona. Wreszcie słońce zaszło, a zaszło pochmurno jakoś, za grube i skłębione, żółtawego koloru chmury, które groziły gradem i burzą. Kilkakrotnie na zachodniéj stronie nieba dał się słyszeć odległy grzmot, jakby groźne warczenie zbliżającéj się burzy. Powietrze było duszne, parne i przesycone elektrycznością. Ptaki pochowały się pod dachy, drzewa, i tylko jaskółki rzucały się niespokojnie w powietrzu; liście przestały szemrać na drzewach i zwiesiły się jakby omdlałe: z dziedzińca folwarcznego dochodził żałosny ryk bydła wracającego z pola. Jakiś posępny niepokój opanował całą naturę. Ksiądz Ludwik kazał zamykać okna. Chciałem przed wybuchem burzy zdążyć do Ustrzycy, więc zerwałem się żeby pójść do stajni i kazać zajeżdżać. W chwili kiedy miałem wyjść z pokoju, zerwała się i Hania, ale siadła natychmiast. Spojrzałem na nią. Rumieniła się i bladła naprzemian. „Duszno mi jakoś! duszno!“—zawołała i siadłszy przy oknie, poczęła się wachlować chustką. Dziwna niespokojność jéj zwiększyła się widocznie. „Możeby poczekać—rzekł do mnie ksiądz Ludwik—burza za jakie pół godziny wybuchnie.“ „Za pół godziny—odpowiedziałem—będziemy już pod Ustrzycą, a zresztą, kto wié jeszcze, czy to nie próżne strachy“ i pobiegłem do stajni. Koń był już dla mnie osiodłany, ale z zaprzęganiem marudzono, jak zwykle. Upłynęło z pół godziny czasu, nim stangret ruszył przed ganek z powozem, ja zaś za nim na koniu. Burza zdawała się tylko wisieć, ale nie chcia-

łem dłużéj zwlekać. Wyniesiono natychmiast kufry Hani i przymocowano za powozem. Ksiądz Ludwik czekał już na ganku, w białym płóciennym kitlu i z ogromnym również białym parasolem.

— Gdzie Hania! czy gotowa?—spytałem go.

— Gotowa. Będzie już z pół godziny jak poszła się modlić do kaplicy.

Poszedłem do kaplicy, ale Hani tam nie znalazłem; z kaplicy przeszedłem do sali jadalnéj, z sali jadalnéj do bawialnéj: Hani nie było.

— Haniu! Haniu!—począłem wołać.

Nie odpowiedział nikt.

Cokolwiek niespokojny już, udałem się do jéj pokoju; myślałem, czy nie zasłabła! W pokoju siedziała, popłakując, stara Węgrowska.

— Czy to już—spytała—czas się pożegnać z panienką?

— Gdzie panienka jest?—spytałem niecierpliwie.

— Panienka poszła do ogrodu.

Wybiegłem i ja do ogrodu.

— Haniu! Haniu! czas siadać.

Cisza....

— Haniu! Haniu!

Jakby w odpowiedzi mi, zaszemrały niespokojnie liście pod piérwszém tchnieniem burzy, spadło kilka grubych kropel dżdżu i znów zapanowała cisza.

„Co to jest?“ spytałem sam siebie i czułem, że włosy powstają mi na głowie z przerażenia.

— Haniu! Haniu!

Przez chwilę zdawało mi się, że z drugiego końca ogrodu słyszę odpowiedź. Odetchnąłem. „Ach! głupiec

ze mnie“—pomyślałem sobie i pobiegłem w stronę zkąd głos dochodził.

Nie znalazłem nic i nikogo.

Z téj strony ogród kończył się sztachetami, za któremi szła polna droga, ku owczarni stojącéj w polu. Chwyciłem za sztachety i spojrzałem na drogę: było na niéj pusto, tylko Ignac, chłopak folwarczny, pasł gęsi w rowie, tuż przy sztachetach.

— Ignac!

Ignac zdjął czapkę i podbiegł ku sztachetom.

— Nie widziałeś ty panienki?

— Widziałem. Dopiéro co panienka tędy jechali.

— Co? jak? gdzie jechała?

— A ku lasowi, z paniczem z Chorzel. O! tak jechali, co ino konie mogły wyskoczyć!

— Jezus! Marya! Hania uciekła z Selimem!

W oczach mi pociemniało, a potém niby błyskawica przeleciała przez głowę. Przypomniałem sobie niespokojność Hani; ów list, który widziałem w jéj ręku. Wszystko to było więc umówione? Mirza pisał do niéj i widział się z nią. Wybrali chwilę przed samym wyjazdem, bo wiedzieli, że wszyscy wtedy będą w domu zajęci. Jezus, Marya! Oblał mnie zimny pot, a włosy zjeżyły się na głowie. Nie pamiętam kiedy znalazłem się na ganku.

— Konia! konia!—krzyknąłem strasznym głosem.

— Co się stało? co się stało? — krzyczał ksiądz Ludwik.

Ale odpowiedział mu tylko huk grzmotu, który rozległ się w téj chwili. Wiatr zaświszczał mi w uszach od szalonego pędu konia. Wypadłszy w lipową aleę, skręciłem go w kierunku drogi, którą uciekli; przesa-

dziłem przez jeden płot, następnie przez drugi i popędziłem daléj. Ślady były widoczne. Ale tymczasem wybuchnęła burza: zciemniało; na czarnych kłębach chmur poczęły się rysować jaskrawe zygzaki błyskawic; czasem całe niebo stawało się jednym ogniem, a potém zapadała jeszcze grubsza ciemność: dészcz lał jak jeden potok. Drzewa przydrożne wiły się w różne strony konwulsyjnie. Koń mój, bity szalonemi razami śpicruty i party ostrogami, począł chrapać i jęczeć, a ja chrapałem także ze wściekłości. Pochylony na szyję konia, śledziłem znaków na drodze, nie wiedząc i nie myśląc o niczém więcéj. W ten sposób wpadłem do lasu. W téj chwili burza zwiększyła się jeszcze. Jakaś wściekłość ogarnęła niebo i ziemię. Las giął się jak łan zboża i wywijał czarnemi gałęziami, echo grzmotu rozlegało się w ciemnościach od sosny do sosny; huk piorunów, szum konarów, trzask łamiących się gałęzi, wszystko to mieszało się w piekielną jakąś kapelę. Nie mogłem już dojrzeć śladów, ale leciałem naprzód jak wicher. Za lasem dopiéro, przy świetle błyskawic, rozeznałem je znowu; ale z przerażeniem spostrzegłem jednocześnie, że chrapanie mego konia zwiększa się a bieg wolnieje. Podwoiłem razy śpicruty. Tuż za lasem poczynało się prawdziwe morze piasku, które ja mogłem ominąć bokiem, ale przez które musiał przejeżdżać Selim. Powinno to było opóźnić ucieczkę.

Podniosłem oczy do góry: „O, Boże! spraw, żebym ich doścignął, a potém zabij mnie, jeśli chcesz!“— wołałem z rozpaczą. I modlitwa moja została wysłuchana. Nagle czerwona błyskawica rozdarła ciemności, a przy krwawém jéj świetle spostrzegłem uciekającą bryczuszkę. Nie rozeznałem twarzy uciekających, ale

byłem już pewny że to oni. Byli jeszcze z pół wiorsty drogi; nie uciekali jednak zbyt szybko, bo w ciemnościach i w obec powodzi, jaką sprawiły deszcze, Selim musiał jechać ostrożnie. Wydałem krzyk wściekłości i radości zarazem. Teraz już ujść nie mogli.

Selim obejrzał się, krzyknął także i począł smagać batem strwożone konie. Przy świetle błyskawic poznała mnie i Hania. Widziałem, że uchwyciła się z rozpaczą Selima i że ten coś mówił do niéj. W kilka sekund byłem już tak blizko, że mogłem usłyszeć głos Selima: „Mam broń przy sobie!—wołał w ciemnościach—nie zbliżaj się, bo strzelę!“ Ale nie uważałem na nic i docierałem coraz bliżéj i bliżéj. Stój!—wołał Selim—stój!“ Byłem zaledwie o piętnaście kroków, ale droga poczynała się teraz lepsza i Selim puścił na nowo konie pełnym galopem. Odległość między nami na chwilę zwiększyła się, ale potém znów począłem ich dościgać. Wówczas Selim odwrócił się i począł mierzyć z pistoletu. Groźny był, ale mierzył spokojnie. Chwila jeszcze, a byłbym uchwycił ręką za bryczkę. Nagle jednak rozległ się huk strzału... koń mój rzucił się w bok; skoczył jeszcze kilka razy, potém klęknął na przednie nogi; podniosłem go przysiadł na tylne i chrapnąwszy ciężko, zwalił się na ziemię wraz ze mną.

Zerwałem się natychmiast i począłem biedz ile sił miałem piechotą, ale było to próżne wysilenie. Wkrótce bryczka coraz daléj była odemnie i daléj; potém widziałem ją już tylko gdy błyskawica rozdarła chmury. Znikała w dali i ciemności, jak ostatnia nadzieja. Probowałem krzyczeć; nie mogłem: brakło mi tchu. Turkot dochodził mnie coraz słabiéj, wreszcie potknąłem się o kamień i upadłem.

— Po chwili jednak podniosłem się.

— Odjechali! odjechali! zniknęli! — powtarzałem głośno i nie wiem już co się tam we mnie działo. — Byłem bezsilny, sam jeden wśród burzy i nocy. Ten szatan Mirza zwyciężył mnie. Ach! gdyby Kazio nie był pojechał z ojcem, gdybyśmy byli we dwóch gonili, a teraz? co będzie? Co teraz będzie? krzyknąłem głośno, żeby usłyszeć własny głos i nie zwaryować. I zdawało mi się że wicher naśmiewa się ze mnie i świszcze: „siedzisz na drodze, bez konia, a on tam z nią.“ I tak huczał wiatr i śmiał się i chychotał. Wróciłem zwolna do mego konia. Z nozdrzy wypływał mu strumień czarnéj krzepnącéj krwi, ale żył jeszcze, dychał i zwracał ku mnie gasnące oczy. Siadłszy przy nim, oparłem głowę na jego boku i także zdawało mi się że umieram. A wiatr świszczał nademną tymczasem i śmiał się i wołał: „on tam z nią!“ Zdawało mi się chwilami, że słyszę piekielny turkot téj bryczki, lecącéj w ciemność wraz ze szczęściem mojém. A wicher świszczał: „on tam z nią!“ Ogarnęło mnie dziwne osłupienie. Jak długo trwało ono, nie wiem. Gdy się ocknąłem, burza już przeszła. Po niebie pędziły jasne stada lekkich białawych chmurek, ale w przerwach ich widniał błękit niebieski i księżyc świecił jasno. Z pól podnosiły się wilgotne opary. Nieżywy koń mój, który już był ostygł, przypomniał mi wszystko co zaszło. Obejrzałem się w około, aby rozpoznać gdzie się znajduję. Na prawo spostrzegłem dalekie światełka w oknach, więc pospieszyłem w tamtą stronę. Pokazało się, że byłem pod samą Ustrzycą.

Postanowiłem iść do dworu i zobaczyć się z panem Ustrzyckim, co mogłem zrobić tém łatwiéj, że pan

Ustrzycki nie mieszkał w pałacu, ale miał swój osobny domek, w którym zwykle przesiadywał i sypiał. Światło błyszczało jeszcze w jego oknach. Zapukałem do drzwi.

Otworzył mi sam i cofnął się z przestrachem.

— Farsa!—rzekł—jak ty wyglądasz, Henryku?

— Piorun mi zabił konia pod samą Ustrzycą. Nie miałem innéj rady, jak przyjść tu.

— W Imię Ojca i Syna! Aleś ty przemokł, zziąbł. Ależ to już późno. Farsa! Każę ci dać coś zjeść i ubranie.

— Nie! nie! ja chcę zaraz wracać.

— Ale! dlaczegoto Hania nie przyjechała? Moja żona jutro o drugiéj wyjeżdża. Myśleliśmy, że ją przyślecie na noc.

Postanowiłem nagle powiedzieć mu wszystko, bo potrzebowałem jego pomocy.

— Panie!—rzekłem—stało się u nas nieszczęście. Liczę na to, że pan nie wspomnisz nikomu, ani żonie swéj, ani córce, ani guwernantkom. Chodzi tu o honor naszego domu.

Wiedziałem, że nikomu nie powié, a zresztą mało miałem nadziei, żeby sprawa się ukryła; dlatego wolałem go uprzedzić, aby w danym wypadku mógł rzecz tłómaczyć. Opowiedziałem więc mu wszystko, wyjąwszy tego, że sam kochałem się w Hani.

— A to ty musisz się bić z Selimem? Farsa! co?— rzekł wysłuchawszy mnie do końca.

— Tak jest. Chcę się bić zaraz jutro. Ale dziś jeszcze chcę ścigać ich daléj i dlatego proszę, byś mi pan dał natychmiast najlepsze konie.

— Ścigać ich nie masz potrzeby. Nie pojechali nigdzie daleko. Jeździli, jeździli po różnych drogach

i wrócili do Chorzel. Gdzieżby uciekli? Farsa! Wrócili do Chorzel: padli do nóg staremu Mirzie! Nie mieli innéj rady. Stary Mirza zamknął Selima w śpichrzu, a pannę... pannę odwiezie do was. Farsa, co? Ale Hania! Hania! no!

— Panie Ustrzycki!

— No! no! moje dziecko nie gniewaj się! Ja jéj tego za złe nie biorę. Kobiety moje, to co innego. Ale po co czas tracić?

— O! tak, czasu nie traćmy.

Ustrzycki zastanowił się przez chwilę.

— Wiem już jak zrobić. Ja natychmiast pojadę do Chorzel, a ty jedź do domu, a najlepiéj czekaj tu. Jeżeli Hania jest w Chorzelach, to ją zabiorę i odwiozę do was. Może mi jéj nie oddadzą? Farsa! Ale wolę być razem ze starym Mirzą, gdy ją odwieziemy, bo twój ojciec gwałtowny człowiek. Gotów wyzwać starego, a stary nic nie winien. Co?

— Ojca niéma w domu.

— To lepiéj! to lepiéj!

Tu pan Ustrzycki zaklaskał w ręce.

— Janek! sam tu!

Wszedł pokojowiec.

— Konie mi z bryczką za dziesięć minut. Rozumiesz?

— A dla mnie konie?—rzekłem.

— Drugie dla pana! Farsa! panie dobrodzieju!

Milczeliśmy przez czas jakiś! Po chwili rzekłem:

— Czy pan pozwoli, żebym napisał do Selima? Wolę go wyzwać listownie.

— Dlaczego?

— Obawiam się, że stary Mirza nie pozwoli mu bić się. Wsadzi go do kozy na czas jakiś i będzie uważał że to dosyć. A dla mnie to mało! mało! mało! Jeżeli Selim już siedzi w kozie, pan go nie zobaczy; przez starego robić tego nie można, list zaś można komuś zostawić. Ja ojcu także nic nie powiem, że się chcę bić. Może sam starego wyzwie, a stary nie winien. Ale jak my poprzednio wybijemy się z Selimem, to już nie będzie racyi. A wszakże sam pan powiedział, że ja muszę się z nim bić?

— Jabym to tak uważał. Bić się, bić się! Dla szlachcica to tam zawsze najlepszy środek, a czy stary, czy młody to wszystko jedno! Komu innemu: farsa! ale nie szlachcicowi. No! pisz: masz słuszność!

Siadłem i napisałem co następuje:

„Jesteś nikczemnik. Listem tym daję ci w twarz. Jeżeli nie stawisz się jutro około Wachowéj chaty z pistoletami lub pałaszem, będziesz ostatnim tchórzem, którym prawdopodobnie jesteś.“

Zapieczętowałem list i oddałem panu Ustrzyckiemu. Poczém obaj wyszliśmy na podwórze, bryczki bowiem dla nas już zajechały. Przed samém wsiadaniem przyszła mi jedna przerażająca myśl do głowy.

— Panie!—rzekłem do Ustrzyckiego—a jeżeli Selim nie do Chorzel zawiózł Hanię?

— Jeżeli nie do Chorzel, tedy zyskał czas; jest noc, pięćdziesiąt dróg na wszystkie strony i... szukaj wiatru w polu. Ale gdzieżby ją zawiózł?

— Do miasta N.

— Szesnaście mil jednemi końmi. Tedy bądź spokojny. Farsa, co? Tedy jutro pojadę do N., dziś nawet

jeszcze, ale piérwéj do Chorzel; powtarzam ci, bądź spokojny!

W godzinę potém byłem już w domu. Noc była późna, bardzo późna nawet, ale w oknach wszędzie migały światła. Snadź ludzie biegali ze światłem po różnych pokojach. Gdy bryczka moja zadudniła przed gankiem, skrzypnęły drzwi i do sieni wyszedł ksiądz Ludwik ze świecą w ręku.

— Cicho!—szepnął do mnie kładąc palec na ustach.

— Hania?—spytałem gorączkowo.

— Ciszéj mów. Hania już jest. Odwiózł ją stary Mirza. Chodź do mnie opowiem ci wszystko.

Weszliśmy do pokoju księdza.

— Co się z tobą działo?

— Goniłem ich. Mirza zastrzelił mi konia. Czy ojciec jest?

— Wrócił zaraz po wyjeździe starego Mirzy. O, nieszczęście! nieszczęście! Teraz jest przy nim doktor. Myśleliśmy że dostanie apopleksyi. Chciał zaraz jechać wyzwać starego Mirzę. Nie chodź do ojca, bo mogłoby mu to zaszkodzić. Jutro zaś proś go, żeby nie wyzywał Mirzy. Grzech to ciężki a przytém stary nie winien. Selima wybił i zamknął go, Hanię zaś odwiózł sam. Ludziom nakazał milczenie. Szczęście jeszcze że ojca nie zastał.

Pokazało się, że stary Ustrzycki przewidział wszystko doskonale.

— Jak się Hania ma?

— Przemokła do nitki. Ma gorączkę. Ojciec okropnie ją złajał. Biedne dziecko!

— Czy doktor Staś widział ją?

— Widział i kazał się jéj zaraz położyć. Stara Węgrowska siedzi przy niéj. Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do ojca, powiem mu żeś przyjechał. Rozesłał już za tobą konie na wszystkie strony. Kazia także niéma, bo pojechał cię szukać. Boże! Boże Wszechmogący, co się tu działo!

Tak mówiąc, ksiądz wyszedł do ojca, ja zaś nie mogłem wysiedzieć w jego pokoju i pobiegłem do Hani. Nie chciałem jéj widziéć, o, nie! Kosztowałoby ją to bowiem zbyt wiele. Chciałem się raczéj zapewnić, że wróciła rzeczywiście, że znowu znajduje się bezpieczna, pod naszym dachem, blizko mnie, osłonięta od burzy i strasznych wypadków dnia dzisiejszego. Dziwne uczucia miotały mną, kiedym się zbliżył do jéj pokoju. Nie gniew, nie nienawiść, ale żal ciężki, głęboki czułem w sercu i wielką, niewypowiedzianą litość dla téj biednéj i nieszczęśliwéj ofiary szaleństwa Selima. Myślałem o niej jak o gołąbce, którą porwał jastrząb'. Ach! ileż biedaczka musiała doznać upokorzeń, przez jakiż wstyd przejść w Chorzelach, wobec starego Mirzy! Przysiągłem sobie natychmiast nie zrobić jéj najmniejszego wyrzutu, ani dziś, ani nigdy i postępować z nią tak, jakby nigdy nic nie zaszło.

W chwili kiedym przyszedł pod drzwi jéj pokoju, drzwi te otworzyły się i wyszła z nich stara Węgrowska. Zatrzymałem ją i spytałem:

— Czy panienka śpi?

— Nie śpi, nie śpi biedactwo—odpowiedziała babina.—O! mój paniczku złoty, żeby paniczek wiedział co tu było! Jak starszy pan ryknął na panienkę (tu stara Węgrowska podniosła fartuch i poczęła łzy ocierać), to myślałam, że nieboraczka zaraz na miejscu

skona. A przestraszone to było, a przemokłe, o Jezu! Jezu!

— No, a teraz jak się ma?

— Obaczy paniczek, że ona odchoruje to wszystko. Szczęściem że doktor jest pod ręką.

Kazałem Węgrowskiéj wrócić zaraz do Hani i nie zamykać drzwi za sobą. Bo chciałem spojrzeć na nią choć zdaleka. Jakoż patrząc z ciemnego pokoju przez odchylone drzwi, ujrzałem ją siedzącą na łóżku, ubraną w bieliznę nocną. Na twarzy miała mocne rumieńce, oczy błyszczące; widziałem przytém, że oddycha szybko. Widocznie miała gorączkę.

— Wahałem się przez czas jakiś czy wejść, czy nie wejść; ale w téj chwili ksiądz Ludwik trącił mnie w ramię.

— Ojciec cię woła—rzekł.

— Księże Ludwiku! ona chora!

— Doktor zaraz pójdzie znów do niéj. Tymczasem rozmówisz się z ojcem. Idź, idź: już późno.

— Która godzina?

— Pierwsza po północy.

Uderzyłem się ręką w czoło. A wszakżeto o piątéj rano miałem się bić z Selimem!

XI.

Po rozmowie z ojcem, która trwała z pół godziny wróciłem do stancyi i nie kładłem się już wcale. Wyrachowałem, że aby zdążyć na piątą do Wachowéj chaty, muszę przynajmniéj o czwartéj wyjść z domu, miałem więc tylko niespełna trzy godziny przed sobą. Wkrótce zresztą nadszedł i ksiądz Ludwik zobaczyć czym nie chory, po owéj szalonéj jeździe i czym przebrał się należycie po przemoknięciu. Ale dla mnie przemoknąć, było to samo co i nie przemoknąć. Ksiądz nalegał na mnie, bym zaraz się położył do łóżka, ale tymczasem sam się rozgadał i tak przeszła z godzina czasu.

Opowiadał mi jeszcze szczegółowo o tém co mówił stary Mirza. Pokazało się z tego opowiadania, że Selim popełnił poprostu szaleństwo, ale jak mówił ojcu, nie widział innego sposobu. Sądził, że po dokonanéj ucieczce, ojciec jego nie będzie miał innego sposobu, jak tylko pobłogosławić, my zaś: oddać mu Hanię. Pokazało się także, że już po rozmowie ze mną, nietylko pisał do Hani, ale widział się z nią i że właśnie wówczas namówił ją do ucieczki. Dziewczynka, mimo że nie zdawała sobie sprawy następstw tego kroku, opierała mu się instynktowo ze wszystkich sił; ale Selim opętał

ją swemi prośbami i swoją miłością. Przedstawił jéj przytem ucieczkę. jako prostą przejażdżkę do Chorzel po któréj mieli już być na wieki połączeni i szczęśliwi. Zapewnił ją, że potém sam odwiezie ją do nas napowrót, ale już jako swoję narzeczoną, że ojciec mój zgodzi się na wszystko, ja zaś muszę się zgodzić, a co większa, pocieszę się łatwo przy Loli Ustrzyckiéj w Ustrzycy. Zaklinał wreszcie Hanię i prosił i błagał. Mówił jéj, że on dla niéj poświęciłby wszystko, nawet życie; że nie przeżyje rozłączenia: że się utopi, zastrzeli lub otruje. A potém rzucił się jéj do nóg i tyle sprawił, że dziewczynka zgodziła się na wszystko. Skoro jednak ucieczka nastąpiła i skoro ruszyli z miejsca, Hania przestraszyła się i ze łzami poczęła go błagać, żeby wrócił: ale on nie chciał, bo jak sam ojcu mówił zapomniał wtedy już o całym świecie.

Tak opowiadał, księdzu Ludwikowi stary Mirza, a powiadał może i dlatego, żeby dowieść, że jakkolwiek Selim ważył się na krok szalony, ważył się nań jednak w dobréj wierze. Biorąc to wszystko na uwagę, ksiądz Ludwik nie podzielał gniewu ojca, którego oburzyła niewdzięczność Hani. Według księdza, Hania nie była niewdzięczną, była tylko zbłąkaną przez grzeszną, bo światową miłość. Z tego powodu udzielił i mnie ksiądz kilka budujących nauk o światowych uczuciach, ale ja tam wcale nie miałem za złe Hani, że jéj miłość była światową, zapłaciłbym tylko życiem za to, żeby była inaczéj skierowaną. Dla Hani czułem litość najżywszą, a przytém tak mi już serce przyrosło do niéj, że chcąc je oderwać, trzebaby było chyba je rozerwać. Prosiłem jeszcze księdza, żeby wstawił się za nią do ojca i tłómaczył mu jéj postępek tak, jak mnie

go tłómaczył, poczém pożegnałem go, bo chciałem sam zostać.

Po odejściu księdza, zdjąłem ze ściany ową sławną starą szablę, darowaną mi przez ojca i pistolety, aby przygotować wszystko do jutrzejszego spotkania. O tém spotkaniu nie miałem dotąd ani czasu, ani ochoty rozmyślać. Chciałem się bić na śmierć i życie: oto wszystko. O Selimie byłem przekonany, że mnie nie zawiedzie. Przetarłem ostrożnie szablę miękką watą; na szerokiéj, błękitnéj jéj klindze, mimo jakich dwustu lat wieku, nie było najmniejszéj skazy, choć niemało nacięła się za dni swych, hełmów i naramienników, niemało wypiła krwi szwedzkiéj, tatarskiéj i tureckiéj. Złoty napis: „Jezus, Marya!" błyszczał wyraźnie; spróbowałem ostrza: cienkie było jak brzeżek jedwabnéj wstążki; błękitne turkusy na rękojeści zdawały się uśmiechać, jakby prosząc się ręki, by je chwyciła i rozgrzała.

Skończywszy z szablą, wziąłem się do pistoletów bom nie wiedział, jaką broń Selim wybierze; napuściłem oliwą zamki i płócienne płatki do kul, poczém nabiłem oba ostrożnie. Szarzało już. Była godzina trzecia. Skończywszy robotę, rzuciłem się na fotel i począłem rozmyślać. Z przebiegu wypadku i z tego, co mi powiedział ksiądz Ludwik, wywijał się coraz wyraźniéj jeden pewnik: oto, że wszystkiemu co zaszło byłem téż i ja niemało winien. Pytałem siebie, czym spełniał należycie obowiązek opieki, jaki na mnie włożył stary Mikołaj, i odpowiedziałem: nie. Czym myślał tylko o Hani, nie o sobie? odpowiedziałem: nie! O kogo mi chodziło w téj całéj sprawie? Poprostu o siebie. A przytém Hania, ta łagodna, bezbronna istota, była między

nami tém, czém gołąbka w gnieździe drapieżnych ptaków. Nie mogłem przytłumić w sobie téj niezmiernie przykréj myśli, że obaj z Selimem rozrywaliśmy ją między sobą, jak łup ponętny, a w téj walce, gdzie drapieżnikom głównie o siebie chodziło, najwięcéj ucierpiała ta, która najmniéj była winna. Oto za parę godzin mieliśmy o nią zwieść walkę ostatnią. Przykre, ciężkie to były myśli. Okazało się, że cały ten nasz świat szlachecki, zaszorstki był dla Hani. Matki mojéj na nieszczęście oddawna nie było w domu, a my mężczyzni mieliśmy zaszorstkie ręce i zmieliśmy ten delikatny kwiat rzucony pomiędzy nas losem. Wina ciążyła na całym naszym domu i winę tę potrzeba było zmazać krwią moją, albo Selima.

Byłem gotów na jedno i na drugie.

Tymczasem brzask dzienny coraz silniéj i silniéj począł zaglądać w moje okna. Za oknem jęły świegotać na powitanie zorzy porannéj jaskółki. Zagasiłem świéce palące się na stole: było już prawie widno. Godzina wpół do czwartéj uderzyła donośnie w sali domowéj. „No! czas!" pomyślałem sobie i zarzuciwszy na ramiona płaszcz dla ukrycia broni, na wypadek gdyby mnie kto spotkał, wyszedłem ze stancyi.

Przechodząc koło domu, spostrzegłem, że drzwi główne od sieni, które na noc zamykano zwykle na żelazne lwie paszcze, były już otwarte. Widocznie ktoś wyszedł z. domu, musiałem więc zachować, wszelką ostrożność, aby się z nim nie spotkać. Cicho skradając się bokiem dziedzińca ku lipowéj alei, rozglądałem się ostrożnie na wszystkie strony, ale zdawało mi się, że wszystko naokół śpi jeszcze spokojnie. W alei jednak dopiéro podniosłem śmiało głowę, pewny, że

mnie już z domu nie zobaczą. Ranek po wczorajszéj burzy robił się przeczysty i śliczny. Miodowa woń lip mokrych uderzyła mnie w alei potężnie. Skręciłem na lewo ku kuźni, młynom i grobli, tamtędy bowiem wypadała mi droga do Wachowéj chaty. Sen i zmęczenie, pod wpływem świeżości poranku i pogody, uleciały odemnie daleko. Byłem pełen jakiéjś dobréj otuchy i niby przeczucie jakieś wewnętrzne mówiło mi, że w téj walce, która miała za chwilę nastąpić, ja zwyciężę. Selim strzelał wprawdzie z pistoletów jak mistrz, ale i ja strzelałem nie gorzéj: w robieniu szablą przewyższał mnie wprawdzie zręcznością, ale za to ja znów byłem daleko silniéjszy, do tego stopnia silniejszy, że zaledwie mógł wytrzymać na szabli moje cięcia. „A zresztą, niech będzie co chce, myślałem sobie: oto jest koniec i jeśli nie rozwiązanie, to rozcięcie tego węzła gordyjskiego, który krępował mnie i dusił od tak dawna.” A przytem Selim w dobréj czy złéj wierze wyrządził wielką krzywdę Hani, musiał więc tę krzywdę zapłacić.

Tak rozmyślając, doszedłem do brzegu stawu. Mgły i opary opadały z powietrza na wodę. Świtanie umalowało błękitne szyby stawów barwami zórz. Wczesny ranek dopiéro się rozpoczynał naprawdę; powietrze stawało się coraz przezroczystsze, a rzeźwo było wszędzie, a pogodnie, a różano, a cicho; tylko z szuwarów dochodziło uszu moich kwakanie dzikich kaczek. Byłem już blizko śluzy i mostu, gdy nagle zatrzymałem się jak w ziemię wbity.

Na moście stał mój ojciec z rękami założonemi za siebie i z fajką wygasłą w rękach; stał oparty o poręcz mostu i patrzył zamyślony na wodę i na zorzę

poranną. Widocznie tak jak i ja nie mógł zasnąć i wyszedł, chcąc odetchnąć ranném powietrzem, a może spojrzeć tu i owdzie na gospodarstwo.

Nie spostrzegłem go zrazu, bom szedł bokiem drogi, zatém wierzby zasłaniały mi poręcz mostu; byłem jednak nie daléj jak o dziesięć kroków. Schowałem się za wierzbę, sam nie wiedząc co mam na razie robić,

Ale ojciec stał ciągle na miejscu. Spojrzałem nań: na twarzy jego malowała się troska i bezsenność. Wodził oczyma po stawie i mruczał pacierze poranne. Do uszu moich doszło wyraźnie:

„Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą!“ Tu dalszy ciąg począł szeptać cicho, a potém znowu głośno:

„I błogosławion owoc żywota Twojego. Amen.“

Zniecierpliwiło mnie tak stać za wierzbą i postanowiłem przemknąć się cicho przez most. Mogłem to uczynić, albowiem ojciec stał odwrócony ku wodzie, a przytém, jak wspomniałem, był trochę głuchy, bo jeszcze za czasów swych wojskowych ogłuchł był od zbytniego huku dział. Stąpając tedy ostrożnie, przebierałem się przez most za dalsze wierzby, na nieszczęście jednak źle poobsadzane dyle drgnęły, ojciec obejrzał się:

— Co ty tu robisz?—spytał.

Zarumieniłem się jak burak.

— Przejść się, ojcze, idę, przejść się tylko.

Ale ojciec zbliżył się ku mnie i odchyliwszy trochę płaszcza, którym osłaniałem się starannie, ukazał na szablę i pistolety i rzekł:

— A to co?

Nie było rady: należało się przyznać.

— Powiem już ojcu wszystko—rzekłem—idę się bić z Mirzą.

Myślałem że ojciec wybuchnie gniewem, ale nad spodziewanie moje nie wybuchnął, tylko spytał:

— Kto kogo wyzwał?

— Ja jego.

— Bez poradzenia się z ojcem, bez powiedzenia słowa?

— Wyzwałem go wczoraj, zaraz po pogoni w Ustrzycy. Nie mogłem, ojcze, pytać się o nic, a zresztą bałem się, że ojciec zabroni.

— I zgadłeś. Wracaj do domu. Całą tę sprawę mnie zostaw.

Serce ścisnęło mi się tak boleśnie i rozpaczliwie, jak nigdy.

— Ojcze — rzekłem — zaklinam cię na wszystko co ci jest święte, na pamięć dziada, nie zabraniaj mi się bić z Tatarem. Pamiętam, jak nazywałeś mnie demokratą i gniewałeś się o to na mnie. Otóż teraz przypomniałem sobie, że płynie we mnie krew dziada i twoja. Ojcze, on skrzywdził Hanię! i maż to mu być darowane? Niechaj nie mówią ludzie, że ród nasz dał ukrzywdzić sierotę i nie pomścił za nią. Ja jestem bardzo winien: ja ją kochałem i nie powiedziałem ojcu o tém, ale przysięgam, że gdybym nawet nie kochał jéj, to dla jéj sieroctwa, dla naszego domu i dla naszego imienia uczyniłbym toż samo co teraz czynię. Sumienie mówi mi, że to jest szlachetne—i ty, ojcze, mi nie zaprzeczysz; ale jeśli tak jest, to ja nie wierzę, żebyś ty bronił mi być szlachetnym: ja nie wierzę! nie wierzę, ojcze! Ojcze! pamiętaj, Hania skrzywdzona, a ja wyzwałem. ja dałem słowo. Wiem, żem jeszcze nie-

dorosły, ale czyż niedorosły nie ma takiéj saméj czci i takiego samego honoru jak dorosły? Jam wyzwał, ja dałem słowo, a uczyłeś mnie nieraz, że honor, to piérwsze prawo szlachcica. Ja dałem słowo, ojcze. Hania skrzywdzona, na domu naszym plama i ja dałem słowo. Ojcze! ojcze!

I zawisnąwszy mu ustami na ręku, rozpłakałem się jak bóbr; modliłem się prawie do ojca: ale téż w miarę jak mówiłem, surowa twarz jego miękła i łagodniała coraz bardziéj: podniósł oczy w górę i ciężka, gruba łza, prawdziwie ojcowska, spłynęła mi na czoło! Toczył ciężką walkę z sobą, bo byłem źrenicą jego oka i kochał mnie nad wszystko na świecie, więc drżał o mnie, lecz wreszcie schylił posiwiałą głowę i rzekł cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich, idź chłopcze, idź się bić z Tatarem.

Padliśmy sobie w objęcia. Ojciec przycisnął mnie do siebie i długo, długo trzymał mnie na piersi swojéj. Potém jednak otrząsnął się ze wzruszenia i rzekł do mnie z mocą i weseléj:

— A to już bij, chłopcze, aż będzie w niebie słychać!

Pocałowałem go w rękę, on zaś:

— Na szable, czy na pistolety?

— On wybierze.

— A świadkowie?

— Bez świadków. Ufam ja jemu, a on mnie. Po co nam świadkowie, ojcze?

I znowu rzuciłem mu się na szyję, bo czas mi było ruszać. Odszedłszy ze stają drogi, obejrzałem się: ojciec stał jeszcze na moście i żegnał mnie zdaleka krzyżem

świętym. Piérwsze promienie wschodzącego słońca padłszy na wyniosłą jego postać, otoczyły ją jakby świetlistą aureolą. I tak w świetle, z podniesionemi rękoma, wydał mi się ten posiwiały weteran, niby starym orłem błogosławiącym zdaleka swoje pisklę, na takie życie gromkie i skrzydlate, w jakiém sam kiedyś się lubował.

Ach! serce tak mi wezbrało wówczas, tyle miałem otuchy, wiary i zapału, że gdyby nie jeden, ale dziesięciu Selimów czekało na mnie u Wachowéj chaty, wszystkich dziesięciu wyzwałbym natychmiast o lepszą.

Przyszedłem wreszcie do chaty. Selim czekał na mnie na skraju lasu. Przyznaję, że gdym spojrzał nań, uczułem w sercu coś takiego, co czuje wilk patrząc na łup swój. Spojrzeliśmy sobie groźnie i ciekawie w oczy. Selim zmienił się przez te parę dni; schudł i zbrzydł, a może mnie się tylko tak zdawało, że zbrzydł: oczy jego świeciły gorączkowo, końce ust drgały.

Poszliśmy obaj natychmiast w głąb lasu, ale przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Wreszcie znalazłszy małą polankę między sosnami, zatrzymałem się i rzekłem:

— Tu. Zgoda?

Kiwnął głową i począł rozpinać surdut, aby zrzucić go do pojedynku.

— Wybieraj! — rzekłem, ukazując mu pistolety i szablę.

Wskazał na szablę, którą miał z sobą: turecką, mocno zakrzywioną na końcu damascenkę.

Tymczasem zrzuciłem surdut: on poszedł za moim przykładem, ale poprzednio wydobył z kieszeni list.

— Jeżeli zginę, proszę, oddaj tó pannie Hannie.

— Nie przyjmuję.

— To nie zwierzenia, to wyjaśnienia.

— Zgoda.

Tak rozmawiając, zawinęliśmy rękawy od koszul. Teraz dopiéro serce poczęło mi bić żywiéj. Wreszcie Selim chwycił za rękojeść; wyprostował się, stanął w postawie szermierskiéj, wyzywającéj, dumnéj i trzymając szablę poziomo wyżéj głowy, rzekł krótko:

— Jestem gotów.

Stanąłem w takiéj saméj postawie, wsparłszy szablę na jego szablę.

— Czy już?

— Już!

— Zaczynajmy.

Uderzyłem odrazu nań tak natarczywie, że aż się musiał cofnąć kilka kroków, a przytém z trudnością utrzymywał moje razy na szabli; na każde cięcie jednak odpowiadał cięciem z taką szybkością, że uderzenie i odpowiedź rozlegały się prawie równocześnie. Rumieniec oblał mu twarz; nozdrza się rozdęły, oczy wyciągnęły na wskos po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice. Przez chwilę słychać tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi. Selim zrozumiał wkrótce, że jeśli walka przedłuży się, on musi uledz, bo nie stanie mu sił, ni płuc. Grube krople potu wystąpiły mu już na czoło, oddech stawał się coraz chrapliwszy. Ale też ogarnęła go jakaś wściekłość, jakieś szaleństwo bojowe. Włosy rozrzucone ruchem, opadły mu na czoło, w otwartych ustach połyskiwały białe zaciśnięte zęby. Rzekłbyś, natura tatarska rozbudziła się w nim i zdziczała, czując szablę w ręku i wietrząc krew przed sobą. A jednakże miałem nad nim przewagę równéj furyi, a większéj

siły! Raz już nie utrzymał cięcia i krew trysnęła z jego lewego ramienia; po kilku sekundach, sam koniec méj szabli znowu dotknął mu czoła. Straszny był wówczas z tą czerwoną wstążką krwi pomieszaną nawpół z potem i ściekającą po twarzy na usta i brodę. Zdawało się to go podniecać. Przyskakiwał do mnie i odskakiwał, jak ranny tygrys. Koniec jego szabli wił się ze straszną szybkością ognistego piorunu, koło mojéj głowy, ramion i piersi. Z trudnością chwytałem te szalone cięcia, témbardziéj, żem więcéj myślał o tém, żeby je zadawać. Chwilami docieraliśmy do siebie tak blizko, że pierś prawie uderzała o pierś. Nagle Selim odskoczył, szabla zaświszczała tuż koło mojéj skroni; ale odbiłem ją z taką siłą, że głowa Selima pozostała na chwilę odkryta; wymierzyłem cios, zdolny rozpłatać ją na dwoje i... niby piorun uderzył nagle w moją czaszkę; krzyknąłem: „Jezus, Marya!“ szabla wypadła mi z ręki i jakby porażony, upadłem twarzą na ziemię.

XII.

Co się działo ze mną przez czas długi, nie wiem i nie pamiętam. Gdym się rozbudził, leżałem na wznak w pokoju i na łóżku ojca, ojciec zaś siedział przy mnie w fotelu, z głową przechyloną w tył, blady i z przymkniętemi oczyma. Okiennice były pozamykane, na stole paliły się świece, a w ciszy wielkiéj panującéj w pokoju, słyszałem tylko szept zegara. Przez jakiś czas patrzyłem bezmyślnie w sufit i zbierałem leniwe myśli, potém próbowałem się poruszyć ale przeszkodził mi nieznośny ból w głowie. Ten ból przypomniał mi trochę wszystko co zaszło, więc ozwałem się cichym osłabionym głosem:

— Ojcze!

Ojciec drgnął i pochylił się nademną. Radość pomięszana z czułością odmalowała się na jego twarzy i rzekł:

— Boże! dzięki Ci! odzyskał przytomność. Co synku? co?

— Ojcze, ja biłem się z Selimem?

— Tak, kochanie moje! nie myśl o tém!

Przez chwilę panowało milczenie, a potém spytałem:

— Ojcze? a kto mnie tu przyniósł do pokoju z lasu?

— Ja przyniosłem cię na ręku; ale nie mów nic: nie męcz się.

Nie upłynęło jednak pięć minut, jak znów zacząłem pytać. Mówiłem tylko bardzo wolno:

— Ojcze!

— Co, dziecko moje?

— A co się stało z Selimem?

— Zemdlał także z utraty krwi. Kazałem go odwieźć do Chorzel.

Chciałem jeszcze pytać o Hanię i o matkę, ale czułem, że znów opuszcza mnie przytomność. Zdawało mi się, że jakieś psy czarne i żółte zaczęły tańcować na dwóch łapach koło mojego łóżka i począłem się im przypatrywać. To znów marzyło mi się, że słyszę głosy fujarek wiejskich, to chwilami zamiast zegara, który wisiał naprzeciw mojego łóżka, widywałem twarz jakąś, wyglądającą ze ściany i chowającą się w nią naprzemian. Nie był to stan zupełnéj nieprzytomności, tylko gorączki i rozproszenia myśli; musiał jednak trwać dosyć długo. Chwilami było mi trochę lepiéj, a wtedy rozpoznawałem nawpół twarze otaczające moje łóżko: to ojca, to księdza, to Kazia, to doktora Stasia. Pamiętam, że między twarzami temi brakło mi jednéj, ale nie mogłem dojść któréj; wiem jednak, że czułem ten brak i że szukałem jéj instynktowo. Raz w nocy usnąwszy mocno, rozbudziłem się nad ranem. Świece paliły się jeszcze na stole. Było mi jakoś bardzo, bardzo słabo. Nagle spostrzegłem schyloną nad łóżkiem osobę, któréj nie poznałem odrazu, ale na widok któréj zrobiło mi się tak błogo, jakbym już umarł i był wzięty do nieba. Była to anielska

jakaś twarz, ale tak anielska, taka święta, dobra z temi łzami płynącemi jéj cicho z oczu, że uczułem jakby i mnie na płacz się zbierało. Ale wówczas wróciła mi iskra przytomności, rozjaśniło mi się w oczach i zawołałem słabo a cicho:

— Mamo!

Anielska twarz pochyliła się ku mojéj wychudzonéj ręce leżącéj bez ruchu na kołdrze i przycisnęła do niéj usta. Usiłowałem się podnieść, ale uczułem znowu ból w skroniach, więc zawołałem tylko:

— Mamo! boli!

Matka moja, bo ona to była, poczęła zmieniać okłady z lodem, leżące na méj głowie. Zawsze ten opatrunek przyczyniał mi niemało cierpień, ale teraz te słodkie, kochane ręce z taką troskliwą delikatnością poczęły poruszać się koło méj biédnéj, porąbanéj głowy, że nie czując najmniejszéj boleści, począłem szeptać:

— Dobrze! o, dobrze!

Odtąd byłem już przytomniejszy, pod wieczór tylko zapadałem w gorączkę. Widywałem wtedy Hanię, chociaż gdym był przytomny, nie widziałem jéj przy sobie nigdy. Ale widywałem ją zawsze w jakiémś niebezpieczeństwie. To raz wilk z czerwonemi oczyma rzucał się na nią, to znów porywał ją ktoś niby Selim, a niby nie Selim, bo z twarzą porośniętą czarną szczeciną i z rogami na głowie. Wówczas czasem krzyczałem, a czasem prosiłem wilka lub owego rogacza, bardzo grzecznie i pokornie, żeby jéj nie porywał. W takich chwilach matka kładła mi rękę na czoło i złe mary znikały natychmiast.

Wreszcie gorączka opuściła mnie stanowczo odzyskałem zupełną przytomność, ale nie znaczyło to, że byłem zdrowszy. Przyplątała się jakaś inna choroba, jakieś niesłychane osłabienie, pod wpływem którego gasłem widocznie. Po całych dniach i nocach wpatrywałem się w jeden punkt na suficie. Byłem niby przytomny, ale obojętny na wszystko. Nie obchodziło mnie ani życie, ani śmierć, ani osoby czuwające nad mojém łóżkiem. Odbiérałem wrażenia, widziałem wszystko, co się koło mnie działo; pamiętałem wszystko, ale nie miałem dość sił, żeby zebrać myśli i żeby czuć. Raz wieczorem począłem widocznie konać. Postawiono koło mojego łóżka wielką żółtą świécę, potém ujrzałem księdza Ludwika ubranego w komżę. Dawał mi Sakrament, następnie kładł na mnie Oleje święte, a przytém szlochał tak, że mało od przytomności nie odszedł. Matkę wyniesiono zemdloną z pokoju; Kazio wył płaczem pod ścianą i targał się za włosy: ojciec siedział z załamanemi rękoma, zupełnie jakby kamienny. Widziałem to wszystko doskonale, ale byłem zupełnie obojętny i patrzyłem jak zwykle, martwém, szklaném okiem na sufit, na poręcz łóżka w nogach lub na okno, przez które wpadały mléczne i srebrne snopy księżyćowego światła.

Następnie, do pokoju wszystkiemi drzwiami poczęła się cisnąć służba; krzyki, łkania i wycie, któremu przywodził Kazio, napełniały cały pokój, tylko ojciec po dawnemu siedział kamienny; ale wreszcie, gdy klękli wszyscy, a ksiądz począł mówić litanię i uciął, bo nie mógł od łez, ojciec porwał się nagle i ryknąwszy: „O! Jezu! Jezu!“ rzucił się jak długi na podłogę. W téj chwili uczułem, że końce palców u rąk i nóg

poczynają mi ziębnąć, ogarnęła mnie jakaś dziwna senność i ziewanie. „Aha! to ja umieram!“ pomyślałem sobie i usnąłem.

Ale istotnie usnąłem, zamiast umrzéć, i to usnąłem tak dobrze, że nie obudziłem się jak we dwadzieścia cztery godziny późniéj i tak dalece wzmocniony na siłach, żem sam nie umiał zdać sobie sprawy, co się ze mną zrobiło. Obojętność moja znikła, potężny, młody organizm zwyciężył śmierć samą i budził się do nowego życia, z nowemi siłami. Teraz znów działy się przy łóżku mojém takie sceny radości, że i opisywać ich nie probuje. Kazio fiksował po prostu ze szczęścia. Opowiadano mi późniéj że zaraz po pojedynku, kiedy ojciec odniósł mnie rannego do domu, a doktór odrazu nie ręczył za moje życie, poczciwego Kazika musieli zamknąć, bo poprostu polował na Selima, jak na dzikie zwierzę i przysiągł sobie, że jeśli ja umrę, to go zastrzeli, gdzie go spotka. Szczęściem i Selim poraniony cokolwiek, musiał przez jakiś czas leżeć w łóżku.

Ale tymczasem każdy dzień przynosił mi coraz większą ulgę. Wracała mi ochota do życia. Ojciec, matka, ksiądz i Kazio, czuwali dzień i noc nad mojém łóżkiem. Jakże ja ich kochałem wtedy, jak tęskniłem, gdy które z nich opuściło mój pokój. Ale razem z życiem, poczęło i dawne uczucie dla Hani odzywać się na nowo w mém sercu. Kiedy obudziłem się z tego snu, który wszyscy za początek wiecznego snu poczytali, natychmiast spytałem o Hanię. Odpowiadał mi ojciec, że zdrowa, ale że wyjechała z panią d'Yves i siostrzyczkami, do stryja, bo ospa powiększała się coraz bardziéj we wsi. Mówił mi przytém, że

już jéj przebaczył, że zapomniał i kazał mi być spokojnym. Później jednak nieraz rozmawiałem o niéj z matką, która widząc, że mnie ten przedmiot nad wszystkie inne zajmuje, sama zaczynała rozmowę, a kończyła ją anielskiemi, lubo niewyraźnemi słowy, że gdy wyzdrowieję, wówczas pomówi z ojcem o wielu rzeczach, które dla mnie będą bardzo przyjemne, trzeba tylko, żebym był spokojny i starał się jak najprędzéj przyjść do siebie.

Mówiąc to, uśmiechała się smutno, mnie zaś chciało się płakać z radości. Czasem jednak trafiało się coś takiego w domu, co mąciło mój spokój, a nawet przejmowało mnie strachem. Raz naprzykład wieczorem, gdy matka siedziała przy mnie, wszedł służący Franek i poprosił ją do pokoju Hanny.

Siadłem natychmiast na łóżku.

— Hania przyjechała?—spytałem.

— Nie! odrzekła matka. — Nie przyjechała. On prosi mnie do pokoju Hani, bo tam bielą i dają nowe obicia.

— Czasem zdawało mi się, jakby chmura ciężkiego a źle ukrywanego smutku leżała na czołach otaczających mnie osób. Nie rozumiałem nic co się dzieje, a pytania moje zbywano byle czém. Badałem Kazia, odpowiadał tak jak i inni, że w domu wszystko dobrze, że siostry, pani d'Yves i Hania wkrótce wrócą i nakoniec: żebym był spokojny:

— A skądże ten smutek?—spytałem.

— Widzisz, ja ci opowiem wszystko. Oto Selim ze starym Mirzą przyjeżdżają tu codziennie. Selim po całych dniach desperuje, płacze, chce cię widzieć ko-

niecznie, a rodzice nasi boją się, żeby ci ta wizyta nie zaszkodziła.

Uśmiechnąłem się.

— Mądry Selim! — rzekłem. — Mało mi czaszki nie rozłupał a teraz za mną płacze. A cóż: o Hani myśli ciągle?

— Ii, gdzie mu tam Hania w głowie. Nie wiem zresztą, nie pytałem się o to, ale myślę, że on się już jéj wyrzekł zupełnie.

— To kwestya!

W każdym razie, kto inny ją dostanie: bądź spokojny!

Tu Kazik przekrzywił twarz po studencku i dodał z miną franta:

— Wiem nawet kto. Dałby tylko Bóg, żeby...

— Żeby co?

— Żeby wróciła jak najprędzéj — dodał pośpiesznie.

Słowa te uspokoiły mnie zupełnie. W parę dni potém, wieczorem, ojciec siedział przy mnie wraz z matką. Zaczęliśmy z ojcem grać w szachy. Po chwili matka wyszła, zostawiwszy drzwi otwarte, przez które widać było szereg komnat, na końcu zaś owego szeregu znajdował się pokój Hani. Spojrzałem nań, ale nie mogłem nic dojrzeć, wszystkie pokoje bowiem, prócz mego, były nieoświecone, drzwi zaś od pokoju Hani, o ile mogłem dopatrzeć w ciemnościach, zamknięte.

Nagle wszedł tam ktoś, jakby doktor Stanisław i nie domknął znów drzwi za sobą.

Serce uderzyło mi niespokojnie. W pokoju Hani było światło.

Światło to wpadało jasną smugą do ciemnéj sąsiedniéj sali, a na tle téj jasnéj smugi zdawało mi się, żem dojrzał delikatne zwoje dymu, kręcące się tak, jak kurz kręci się w świetle słonecznem.

Zwolna o powonienie moje uderzył jakiś niewyraźny zapach, który jednak z każdą sekundą stawał się coraz mocniejszy i mocniejszy. Nagle włosy zjeżyły mi się na głowie: rozpoznałem zapach jałowcu.

— Ojcze! co to jest? zawołałem gwałtownie zrzuciwszy szachy wraz z szachownicą na ziemię.

Ojciec zerwał się zmieszany, poczuwszy również ten przeklęty zapach i zamknął coprędzéj drzwi od pokoju.

— Nic, to nic!—odpowiedział pośpiesznie.

Ale ja byłem już na nogach, a lubo chwiałem się jeszcze, jednakże posunąłem się szybko ku drzwiom.

— Dlaczego tam kadzą jałowcem?—krzyknąłem—ja tam chcę pójść!

Ojciec pochwycił mnie wpół.

— Nie pójdziesz tam! nie pójdziesz: zabraniam ci!

Ogarnęła mnie rozpacz, więc chwyciwszy za bandaże opasujące mi głowę, krzyknąłem z uniesieniem:

— A więc dobrze! Ale przysięgam że zerwę te bandaże i rozdrapię ranę własnemi rękoma. Hania umarła! ja ją chce widzieć!

— Hania nie umarła, daję ci słowo!—wołał ojciec, uchwyciwszy mnie za ręce i pasując się ze mną.— Zachorowała, ale zdrowsza! Uspokój się! uspokój! Czy nie dość jeszcze nieszczęść! Opowiem ci wszystko, ale połóż się. Iść do niéj nie możesz. Zgubiłbyś ją. Uspokój się! połóż się. Przysięgam ci, że zdrowsza.

Siły mnie opuściły i upadłem na łóżko, powtarzając tylko:

— Mój Boże! mój Boże!

— Henryku! przyjdź do siebie. Czyś ty kobiéta? Bądź mężny. Ona już nie jest w niebezpieczeństwie. Obiecałem ci opowiedzieć wszystko i opowiem, ale pod warunkiem, że zbierzesz siły. Oprzyj głowę na poduszce! Ot, tak. Okryj się i leż spokojnie.

Byłem posłuszny.

— Już jestem spokojny, ale prędzéj ojcze, prędzéj. Niech się już raz dowiem wszystkiego. Czy istotnie już zdrowsza? co jéj było?

— A więc słuchaj: téj nocy, w któréj Selim ją porwał była burza. Hania miała na sobie tylko lekką sukienkę. Przemokła do nitki. Przytém, krok ten szalony kosztował ją niemało. W Chorzelach, dokąd zawiózł ją Mirza, nie miała się w co przebrać, więc w téj saméj mokréj sukience tu powróciła. Tegoż samego dnia już dostała dreszczów i silnéj gorączki. Na drugi dzień, stara Węgrowska nie umiała utrzymać języka i powiedziała jéj o twoim wypadku. Powiedziała jéj nawet, żeś zabity. Oczywiście zaszkodziło jéj to. Wieczorem była już bezprzytomna. Doktor nie wiedział przez długi czas, co to jest, aż wreszcie... wiesz: we wsi całéj panowała i panuje dotąd ospa: Hania dostała ospy.

Przymknąłem oczy, bo zdawało mi się, że i ja odchodzę od przytomności; wreszcie rzekłem:

— Niech ojciec mówi daléj, przecie jestem spokojny.

— Były chwile—mówił daléj ojciec — wielkiego niebezpieczeństwa. Tego samego dnia, kiedy ciebie

mieliśmy już za straconego i ona była prawie konająca. Ale dla obojga was przyszła jednocześnie szczęśliwa kryzys. Dziś ona, tak jak i ty, jest rekonwalescentką. Za jaki tydzień będzie zupełnie zdrową. Ale co tu się działo w domu! co się działo!

Ojciec skończył i patrzył na mnie uważnie, jakby w obawie, by słowa jego zbyt nie wstrząsnęły mego osłabionego jeszcze umysłu; ja zaś leżałem nieruchomie. Przez długi czas trwało milczenie. Zbierałem myśli i rozpatrywałem się w nowém nieszczęściu. Ojciec wstał i począł chodzić szerokiemi krokami po pokoju, spoglądając od czasu do czasu na mnie.

— Ojcze?—rzekłem po długiém milczeniu.

— Co, chłopcze?

— Czy... czy... bardzo zeszpecona?

Głos mój był spokojny i cichy, ale serce biło mi głośno w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Tak!—odparł ojciec.—Jak to po ospie. Może być, że nie będzie żadnych znaków. Dziś jeszcze są, ale znikną, znikną pewnie.

Odwróciłem się do ściany: czułem, że robi mi się gorzéj niż zwykle.

W tydzień jednak potém byłem już na nogach, a w dwa tygodnie ujrzałem Hanię. Ach! opisywać nawet nie probuje, co się zrobiło z téj ślicznéj, idealnéj twarzy. Gdy biédaczka wyszła ze swego pokoju i gdy ujrzałem ją poraz piérwszy, jakkolwiek przysiągłem sobie poprzednio, że nie pokażę po sobie najmniejszego wzruszenia, nagle zrobiło mi się słabo i zemdlałem, jak nieżywy. O! jakże była zeszpecona okropnie!

Gdy mnie ocucono z omdlenia, Hania płakała gło-

śno i nad sobą pewnie i nademną, bo i ja byłem podobniejszy jeszcze do cienia niż do człowieka.

— To ja wszystkiego tego przyczyną!—powtarzała łkając—ja przyczyną.

— Haniulku, siostrzyczko moja! nie płacz, ja cię zawsze będę kochał!—zawołałem i uchwyciłem jéj ręce, chcąc podnieść je do ust, jak dawniéj.

Nagle drgnąłem i cofnąłem usta. Te ręce, niegdyś tak białe, delikatne i śliczne, były teraz okropne. Czarne plamy pokrywały je całkowicie, a przytém stały się chropawe, wstrętne prawie.

Ja cię zawsze będę kochał!—powtórzyłem z wysileniem.

Kłamałem. Miałem w sercu litość ogromną, łzawą i miłość brata, ale dawne uczucie uleciało, jak ptak ulata, bez śladu.

Wyszedłem do ogrodu i w téj saméj chmielowéj altanie, gdzie nastąpiło pierwsze wyznanie między Selimem i Hanią, płakałem tak, jak po zgonie drogiéj osoby.

Bo téż istotnie, dawna Hania dla mnie umarła, a raczéj miłość moja umarła i w sercu pozostała tylko po niéj pustka i ból, jakby z niezagojonej rany i wspomnienie wyciskające łzy na oczy.

Siedziałem tak długo i długo! Cichy wieczór jesienny poczynał palić się czerwoną zorzą na szczytach drzew. Szukano mnie w domu, wreszcie do altany wszedł ojciec.

Spojrzał na mnie i uszanował mój żal.

— Biédny chłopcze—rzekł—Bóg doświadczył cię ciężko, ale ufaj Mu! On zawsze wié co czyni.

Oparłem głowę na piersi ojca i przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

Po niejakiéj chwili ojciec rzekł:

— Byłeś do niéj przywiązany bardzo, więc powiedz mi: gdybym ci rzekł: daję ci ją, podaj jéj rękę na całe życie, cóżbyś mi odpowiedział?

— Ojcze!—odrzekłem—miłość mogła ulecieć odemnie, ale uczciwość nigdy: jestem gotów.

Ojciec ucałował mnie serdecznie.

— Niechże cię Bóg błogosławi. Poznaję cię; ale to nie twój obowiązek, nie twoja powinność: to powinność Selima.

— Czy on tu przyjedzie?

— Przyjedzie wraz z ojcem swoim. Ojciec jego wié już o wszystkiém.

Jakoż o zmroku przyjéchał Selim. Gdy ujrzał Hanię, zaczerwienił się a potém zbladł jak płótno. Przez chwilę znać było na jego twarzy ciężką walkę serca z sumieniem. Znać i od niego ulatywał ów ptak skrzydlaty, któremu imię: miłość. Ale zwyciężył się ten szlachetny chłopak: powstał, wyciągnął ręce a potém upadł przed Hanią na kolana i zawołał:

— Haniu moja! jam zawsze ten sam: ja nie opuszczę cię nigdy, nigdy!

Łzy obfite spłynęły po twarzy Hani, odsunęła jednak lekko Selima.

— Nie wierzę, nie wierzę, żeby mnie teraz kochać można—rzekła, a potém zakrywszy twarz rękoma, zawołała:

— O! jacy wyście wszyscy dobrzy i szlachetni! jam tylko najmniéj szlachetna, najwięcéj grzeszna; ale to się już skończyło wszystko: jam już inna!

I mimo nalegań starego Mirzy, mimo próśb Selima, nie chciała oddać mu ręki. Pierwsza burza życiowa złamała ten śliczny kwiat, zaledwo rozkwitły. Biédna dziewczyna! potrzebowała teraz po burzy jakiéj przystani świętéj a cichéj, gdzieby ukoić mogła sumienie i ukołysać serce.

Jakoż znalazła tę cichą i świętą przystań: została Siostrą miłosierdzia.

Późniéj nowe wypadki i jedna straszliwa burza, sprawiły, żem stracił ją z oczu na długo.

Po kilku latach jednak ujrzałem ją niespodzianie: spokój i cisza malowały się w tych anielskich rysach; ślady straszliwéj choroby znikły zupełnie; w czarnéj sukience i białym klasztornym kapeluszu, piękna była jak nigdy, ale już tą nieziemską pięknością: więcéj anielską niż ludzką.

III.

SZKICE WĘGLEM.

SZKICE WĘGLEM.

I.

W którym zabieramy znajomość z bohaterami i zaczynamy się spodziewać, że coś więcéj nastąpi.

We wsi Barania-Głowa, w kancelaryi wójta gminy, cicho było jak makiem siał. Wójt gminy, niemłody już włościanin, nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmolił coś na papierze; pisarz zaś gminny, młody i pełen nadziei pan Zołzikiewicz stał pod oknem i opędzał się od much.

Much było w kancelaryi jak w oborze. Wszystkie ściany, popstrzone od nich, straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papiér, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie.

Muchy łaziły i po wójcie tak jakby po jakim zwyczajnym sobie ławniku, ale szczególniéj nęciła je wypomadowana, woniejąca goździkami głowa pana Zołzikiewicza.... Nad tą głową unosił się ich cały rój; siadały na rozdziale włosów, tworząc żywe, ruchome, czarne plamy. Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do cza-

su ostrożnie rękę, a potém spuszczał ją nagle; dawał się słyszeć plask dłoni o głowę, rój wzbijał się brzecząc w powietrze, a pan Zołzikiewicz schyliwszy czuprynę, wybierał palcami trupy z włosów i rzucał je na ziemię.

Godzina była czwarta po południu, w całéj wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko kancelaryi czochała się o ścianę krowa i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza, ze śliną wiszącą u pyska.

Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet, broniąc się także od much, przyczém rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał:

— A hej! Ażeby cię....

Potém przeglądał się w lusterku, wiszącém tuż koło okna i poprawiał włosy.

Nakoniec przerwał milczenie wójt.

— Panie Zołzikiewicz—rzekł z mazurska—niech ino pan napisze ten *rapurt*, bo mię jakoś nieskładno. Przecie pan je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić.

— To i cóż żem pisarz?—odparł z lekceważeniem. Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta takiego jak wy, to wy sobie sami piszcie.

Potém dodał z majestatyczną pogardą:

— Albo to dla mnie wójt, to co? Chłop i basta! Zrób chłopa czém chcesz... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potém poprawił włosy i znów spojrzał w lusterko.

Wójt jednak czuł się dotknięty i odrzekł:

— Patrzcie-no się! A niby to ja z *koniusarzem* nie piłem arbaty?

— Wielka mi rzecz, herbata! — odparł niedbale Zołzikiewicz.—A może jeszcze bez araku?

— A nieprawda! bo z harakiem.

— To niech będzie z arakiem, a ja dlatego raportu nie będę pisał.

Wójt ozwał się gniewliwie:

— Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?

— A was się kto prosił. Ja tylko po znajomości z naczelnikiem....

— Wielga znajomość, a jak tu przyjadzie, to pan ani pary z gęby....

— Burak! Burak! ostrzegam, że wy jakoś nadto rozpuszczacie język. Mnie już wasze chłopy kością w gardle stoją, razem z waszém pisarstwem. Człowiek z edukacyą tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozgniewam, tak rzucę pisarstwo i was do dyabła.

— Ba! i cóż pan będzie robił?

— Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacyą da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacyą nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stołbicki do mnie powiada:—„Ej ty Zołzikiewicz! z ciebie byłby czort nie podrewizor, bo ty wiesz jak trawa rośnie.“ Powiedzcie głupiemu. Mnie plunąć na wasze pisarstwo. Człowiek z edukacyą.....

— O wa! to się jeszcze świat nie skończy.

— Świat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

— Kiej bo pan, to zara na zadnie nogi.

— A to nie rozpuszczajcie gęby....

— Juści, bo juści.

I znowu nastała cisza, tylko pióro wójtowskie zwolna skrzypiało po papiérze.

Nakoniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

— A no! z pomocą Bożą skończyłem.

— Przeczytajcież coście nagwazdali.

— Co miałem ta gwazdać. Wypisałem akuratnie wszyćko co potrzeba.

— Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papiér w obie ręce i zaczął czytać:

„Do wójta gminy Wrzeciądza. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Naczelnik kozeł, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Bozkiéj, a tu u waju mentryki w parafii u dobrodzieja i téż nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki téż przysłać przed Matką Bozką, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczynita, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen.“

Poczciwy wójt co niedziela słyszał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się równie koniecznem, jak i odpowiadającém wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu, a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać.

— To tak?—spytał.

— A to niech pan napisze lepiéj.

— Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią-Głowę.

To rzekłszy, Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył niém kilka kół, jakby dla nabrania rozpędu i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

„Wójt gminy Barania-Głowa, do wójta gminy Wrzeciądza!“

„Tak jak spisy wojskowe, z polecenia władzy wyższéj mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego, tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeciądza, ażeby metryki włościan Baraniogłowskich nachodzące się w kancelaryi parafialnéj, z takowéj kancelaryi wyjął i do gminy Barania-Głowa, w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania-Głowa znajdujących się na robociźnie we Wrzeciądzy, na tenże dzień przystawić.“

Wójt chciwém uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało mu się piękném, uroczystém, jak na wskroś urzędowém. Oto, naprzykład, choćby ten początek: „Tak jak spisy wojskowe etc.“ Wójt uwielbiał to: „Tak jak,“ ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczéj zacząć wprawdzie umiał, ale daléj, ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda, że nawet i w kancelaryi w powiecie lepiéj nie pisali. Potém tylko ukopcić pieczątkę, kropnąć nią o papier, ażeby stół trzasnął i ot co!

— No, jużci co głowa to głowa—rzekł wójt.

— Ba — rzekł udobruchany Zołzikiewicz—przecież pisarz, to jest ten co książki pisze.

— A to pan i książki pisze?

— Pytacie, jakbyście nie wiedzieli, a księgi kancelaryjne któż pisze?

— Prawda—rzekł wójt.

I po chwili dodał:

— Spisy pójdą piorunem.

— Wy oto patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców.

— Bogać ich się tam pozbędzie!

— A ja wam mówię, że naczelnik skarżył się, że w Baraniéj-Głowie lud niedobry. Wciąż, powiada, piją. Burak, powiada, ludzi nie pilnuje, więc się téż na nim skrupi.

— Ba!—dyć ja wiem—odrzekł wójt—że się wszyćko na mnie krupi. Jak Rozalka Kowalicha zległa, sąd kazał jéj dać dwadzieścia pięć, dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to, powiada, dziewce nie ładno. Kto kazał? Ja? Nie ja, jeno sąd. A mnie do tego co? Niechta sobie i wszystkie zlegną. Sąd kazał, a potém na mnie.

W tém miejscu krowa z łoskotem uderzyła o ścianę, że aż się kancelarya zatrzęsła. Wójt zawołał głosem pełnym goryczy:

— A hej! żeby cię wciorności!

Pisarz który przez ten czas siadł na stole, począł znów przeglądać się w lusterku.

— Dobrze wam tak—rzekł—czemu się nie pilnujecie. Z tém piciem będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkiém dowodzi i ludzi ciąga do karczmy.

— Pewnikiem, że nie wiadomo, a co do picia: jenszy się téż potrzebuje napić, jak się naprucuje w polu.

— A ja wam mówię tylko to, jednego Rzepy się pozbyć i wszystko będzie dobrze.

— Cóże mu ta łeb urwę?

— Łba mu nie urwiecie, ale teraz spisy wojskowe. Ot zapisaćby go w listę, niechby pociągnął los i basta.

— Toćże on żeniaty i chłopaka ma już rocznego.

— A ktoby tam wiedział. Onby na skargę nie poszedł, a poszedłby, toby go i nie chcieli słuchać. W czasie branki nikt niéma czasu.

— Oj panie pisarzu! panie pisarzu! musi panu nie o pijaństwo chodzić, ino o Rzepową, a to tylo obraza Boska.

— A wam co do tego. Wy patrzcie ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat i że takoż musi losować.

— Wiemci ja o tém, ale ja go nie dam. Jak nie będzie można inaczéj, to i wykupię.

— O! kiedyście taki bogacz.....

— Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, nie wiela tego jest, ale może i wstrzyma.

— Ośmset rubli koprowiny będziecie płacić.

— A kiej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę, a potém, byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy Jego najwyższéj pomocy, może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

— Powróci się, albo i nie powróci. Ja téż potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacyą, zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty; a jakbyśmy Rzepę zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność..... ośmset rubli na drodze nie znaleźć.

Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znacznéj summy poczęła go łechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

— Ba!—rzekł w końcu—zawdyk to nieprzezpieczna rzecz.

— Już to nie na waszéj głowie.

— Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi a na mojéj się skrupi.

— Jak sobie chcecie, to płaćcie ośmset rubli...

— Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal....

— A! skoro myślicie, że się wam wróci, to czegóż żałować? Ale wy na swoje wójtostwo tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale żeby tylko wiedzieli to, co ja wiem...

Dyć pan kancelaryjnego więcéj bierze jak ja.

— Nie o kancelaryjném też mówię, ale o trochę dawniejszych czasach....

— A nie boję się! Co mi kazali tom robił.

— No! będziecie się tłómaczyć gdzieindziéj.

To rzekłszy, pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę i wyszedł z kancelaryi. Słońce już było bardzo nizko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy, z kosami na plecach, którzy pokłonili mu się mówiąc: „pochwalony;" ale pan pisarz kiwnął im tylko wypomadowaną głową a zasię: „na wieki" nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacyą, to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukacyą, o tém wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i w ogóle źle myślący, którym każda osobistość, wyrastająca głową nad zwykły poziom, zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje.

Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi, w biografii tego niepospolitego człowieka czytalibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznem mieście powiatu Osłowickiego, w którymto powiecie leżała i Barania-Głowa. W siedmnastym roku życia doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klassy drugiéj, a byłby również wcześnie doszedł wyżéj, gdyby nie to, że nagle nastały burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karyerę. Uniesiony zwykłym mło-

dości zapałem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość professorów, stanął na czele żywiéj czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom; podarł książki, połamał linie, pióra i porzuciwszy Minerwę, wstąpił na nową drogę. Idąc po téj nowéj drodze, doszedł aż do pisarstwa gminnego, a jak to już słyszeliśmy, marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nie źle. Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś, jak wspomniałem, sympatyczny mój bohatér wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu Osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem, pomieszanym z pewną ostrożnością, ażeby się w czémś tak niepospolitéj osobistości nie narazić. Kłaniały mu się więc i osoby z intelligencyi, kłaniali się i chłopi zdejmując już zdaleka czapki i mówiąc: „pochwalony!" Tu widzę jednak, że muszę jaśniéj czytelnikowi wytłumaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na „pochwalony" zwykłém: „na wieki wieków."

Wspomniałem już, że sądził, iż człowiekowi z edukacyą to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskroś samodzielne, bywają zwykle śmiałe i radykalne. Otóż pan Zołzikiewicz doszedł do przekonania, że „dusza to para i basta." Przytém pan pisarz czytał teraz właśnie wydawnictwo warszawskiego księgarza pana Breslauera, pod tytułem: „Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego." Znakomity ten pod każdym względem romans, tak mu się nawet podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii: „Udało się Marforemu, myślał sobie, dla-

czegóż i mnie nie miałoby sie udać?" Byłby może nawet i pojechał, bo zresztą był teraz zdania, że „w tym głupim kraju, tylko się człowiek marnuje," ale wstrzymywały go, na szczęście, inne okoliczności, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż skutkiem czytania owéj Izabeli hiszpańskiéj wydawanéj peryodycznie, ku większéj chwale naszéj literatury, przez pana Breslauera, pan Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatém i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom, jako zwykle „na wieki wieków," tylko szedł daléj., Idzie idzie, aż tu spotyka i dziewki z sierpami na ramionach, wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiéj kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiéro pan Zołzikiewicz powiada: „Jak się macie sikory!" i zatrzymał się na téj saméj steczce, a co która dziewczyna przechodzi, te on ją wpół i całusa a potém ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip. Dziewki téż krzyczały oj! oj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potém, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnéj przyjemności usłyszał jak mówiły jedna do drugiéj: „A już to piękny kawalir, ten nasz pisarz!" „I czerwony kiéj jabłuszeczko." Trzecia zaś mówi: „A głowa to mu tak puszy kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!" Pan pisarz poszedł daléj, pełen dobrych myśli. Ale daléj znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiéj strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie

baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podołku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła:

— Oj! moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w żołnierze nie wzieni, że aż mi skóra cierpnie.

A Stachowa na to:

— Do pisarzaby wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

— A z czémże, moja Stachowa, ja do niego pójdę. Do niego z gołemi rękami nie można. Wójt je lepszy, przyniesiesz mu czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kurę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojrzy. O! on strasznie ambitny. Jemu to tylo chuścinę rozwiąż i zara rubla!

— Niedoczekanie wasze!—mruknął do siebie pisarz—żebym ja od was jaja albo kury brał. Cóżto ja łapownik jestem, czy co? A idź z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy, rozsunął gałęzie wiśniowe i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu turkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrzał. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zołzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

— Jak się masz panie Zołzikiewicz. Co tam słychać. Cóż, zawsze pomadujesz się na dwa cale?

— Sługa pana dobrodzieja!—ozwał kłaniając się nizko Zołzikiewicz, ale gdy bryka mignęła daléj, zawołał w ślad za nią zcicha:

— Żebyś kark skręcił nim dojedziesz.

Tego akademika pan pisarz niecierpiał. Byłto kuzyn państwa Skorabiewskich, który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zołzikiewicz, nietylko go niecierpiał, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zołzikiewicza kpił, jak gdyby umyślnie, i on jeden w okolicy co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powiedział wyraźnie Zołzikiewiczowi, że głupi; chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan Zołzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O innych, to choć coś wiedział, a o nim to nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu nie na rękę, dlatego poszedł daléj z zachmurzoném czołem i nie zatrzymał się, aż dopiéro przed jedną chałupą, stojącą trochę opodal od drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa, może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umieciono było przed nią czysto, a podwórko przytrząśnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednéj z nich wspartéj na pieńku sterczała siekiera. Nieco daléj widać było stodołę z otwartemi wjerzejami, obok niéj szopę, która była chlewkiem i oborą zarazem; daléj jeszcze ogrodzenie, w którém koń szczypał trawę, przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w któréj leżały dwie świnie. Kaczki brodziły koło gnojówki. Blizko szczap, między wiórami, kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub czerwin, poczynał krzyczeć: „kocz! kocz! kocz!“ kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały specyał, odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie, śpiewając: „oj ta dada! oj ta dada! da-dana!“ Koło niéj leżał z wyciągniętemi przedniemi nogami pies, kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwaném uchu.

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę zaścięgniętą czerwoną tasiemką. Kobieta zdrowa była jak rydz, szeroka w plecach, i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania.

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i płeć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże czarne, brwi jakby napisane, mały cienki nosek i usta jak wiśnia. Śliczne ciemne włosy wymykały się jéj z pod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i począł warczeć, błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

— Kruczek!—zawołała dźwięcznym cienkim głosem kobiéta. Nie będziesz ty leżał: żeby cię robole!...

— Dobry wieczór, Rzepowa!—zaczął pisarz.

— Dobry wieczór, panie pisarzoju!—odrzekła kobieta, nie przestając mędlić.

— Wasz w domu?

— Na robocie w lesie.

— A to szkoda. Jest do niego interes z gminy.

Interes z gminy, to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie, spytała niespokojnie:

— No? cóże to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niéj.

— A dacie się pocałować? to wam powiem.

— Obędzie się!—odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć w pół i przygarnąć do siebie.

— Panie! będę krzyceć!—wołała Rzepowa, wyrywając się silnie.

— Moja śliczna, Rzepowa.... Marysiu!

— Pa-anie! toćto obraza Boska! Panie!

To mówiąc wydzierała się coraz silniéj, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał.

W téj chwili Kruczek przyszedł jéj na pomoc. Zjeżył sierć na karku i z wściekłém szczekaniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz ubrany był w krótką marynarkę, Kruczek więc schwycił za nieosłoniony marynarką kort, przejął chwycił za nankin, przejął nankin, chwycił za skórę, przejął skórę i dopiéro poczuwszy pełno w pysku, począł potrząsać wściekle łbem i targać.

— Jezus! Marya!—krzyczał pan pisarz, zapominając o tém, że należał do *esprits forts*.

Ale Kruczek pana pisarza nie puszczał, dopiéro, gdy ten schwyciwszy polano, zaczął niém zadawać w tył ślepe razy, Kruczek otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomląc żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

— Weźcie tego psa, weźcie tego dyabła!—krzyczał pan pisarz, machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa i odpędziła go za wrota.

Potém oboje z pisarzem spoglądali na siebie w milczeniu.

— Oj dola moja! Coże se pan do mnie upatrzył?—

zawołała nakoniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

— Pomsta na was!—krzyknął pan pisarz. — Pomsta na was! Czekajcie! pójdzie Rzepa w sołdaty. Chciałem bronić!.... ale teraz.... Przyjdziecie wy jeszcze do mnie.... Pomsta na was!...

Kobiécina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę uderzył, rozłożyła ręce, otwarła usta, jakby chciała coś mówić: ale tymczasem pan pisarz, podniosłszy z ziemi kortową czapkę, w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem a drugą podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

II.

Niektóre inne osoby i przykre widzenia.

W godzinę potém może, przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem, na dworskim wozie. Rzepa, chłopisko był rosły, jak topola, tęgi: prawdziwie od topora. Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry. Jak bywało, plunie w garście, a chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niéj oderwie. W ładowaniu drzewa na fury, także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w ręku i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśla, mawiał do niego:

— No, ty Rzepa! niech ciebie dyabuł weźmie. Na! sieść groszy na wódką.... nie, czekaj; na! pięć groszy na wódkę.

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot dla uciechy, puszczał głos po lesie:

— Hop! hop!

Głos leciał między pnie, a potém wracał echem.

I znowu nie było nic słychać, prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był piérwszy. Trzeba było słyszeć, jak huczał z drwalami pieśń, którą ich sam nauczył:

„Coś tam w boru hukneno!
Buuuu!
I okrutnie stukneno
Buuuu!
A to komar z dęba spadł
Buuuu!
I stłukł sobie w plecach gnat
Buuuu!
A tu mucha poćciwa
Buuuu!
Leci ledwie co żywa
Buuuu!
I pyta się komara
Buuuu!
Czy nie trzeba doktora
Buuuu!
Ojł nie trzeba doktora
Buuuu!
Ani żadnéj apteki
Buuuu!
Jéno rydla, motyki
Buuuu!“

W karczmie téż Rzepa piérwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił, a skory był do bitki, jak podpił. Raz Damazemu parobkowi dworskiemu zrobił taką dziurę we łbie, że Józwowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedem-

naście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelaryi, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozoru, a potém, udobruchawszy się zaraz, pytał:

— Rzepa, bój się Boga! jakżeś ty z nimi poradził, przecie ich było siedmiu?

A Rzepa na to:

— A cóż, jaśnie dziedzicu! nożyska mają masierunkiem zerwane, to tylko com się którego tknon, to on zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniéj był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiéj do ucha, że Rzepa to jego syn: „Toć znać zaraz, dodawały, że fantazyą ma psia jucha ślachecką.“

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornem na chałupie i na trzech morgach, na których go téż i uwłaszczenie zastało. Potém zaczął gospodarować na swojém, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszéj i ze świécą szukać; więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

— Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał. Gdy zobaczył zdaleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę, idące na wysokich nogach zwolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz téż wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozić w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził.

A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świńmi chodził. Ale potém pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobiéta z płaczem wielkim i daléjże wołać:

— Już ciebie nieboże, niedługo moje oczy będą oglądały; już ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdziesz ty nieboraku na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

— Czyś ty się kobiéto—rzeknie—blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

— Ni ja się blekotu najadłam ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był i mówił, że tobie już nijak od wojska się nie wykręcić... Oj! pójdziesz, pójdziesz na kraj świata!

Dopiéro on ją wypytywać: jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi nie powiedział, albo czego Boże broń! na niego się nie porwał i tém sprawy swojéj nie pogorszył.

— Ty głupia!—powiedział w końcu Rzepa—czego płaczesz? mnie do wojska nie wezmą, bom wyszedł z lat; przytém chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc, pokazał na kołyskę, w któréj rak utrapiony, t. j. tęgi roczny chłopak, wierzgał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

Kobiéta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

— Co ta wszystko znaczy? Albo to nie wié o papierach, coś je woził z boru do boru.

Teraz Rzepa podrapał się w głowę.

— Jużci bo wié.

Po chwili zaś dodał:

— Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic strasznego.

— Idź, idź!—rzekła kobiéta—a weź ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach, stojących nad stawem, czyli w tak zwaném murowaném. Tam w osobnéj sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszéj izbie nie było nic, tylko trochę słomy para kamaszów, druga była zarazem salonem i sypialnią. Stało tam łóżko niezaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze; obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów „Izabeli hiszpańskiéj" wydawnictwa pana Breslauera; dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów i wreszcie świéca w blaszanym lichtarzu z rudym knotem i muchami potopionemi w łoju koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda, obejmująca nader wykwintną tualetę pana pisarza: różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowic.

Oprócz tego, w chwili, o któréj mowa, na krześle przy łóżku spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał

zeszyt „Izabeli hiszpańskiéj,“ wydawnictwa pana Breslauera.

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzebaby mieć chyba styl Wiktora Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przedewszystkiém, w ranie czuł wściekły ból. Owo czytanie Izabeli, które było dlań zawsze najmilszą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nietylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkiem.

Miał trochę gorączki i ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem, nawiedzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskuryalu, pokryty ranami po świetném zwycięztwie nad Karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin faluje żywo na jéj piersiach.

— Generale! tyś ranny—pyta Serrana ze drżeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zołzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

— Oj! oj! jestem ranny!—powtarza przygnębionym głosem.—Królowo, przebacz! A żeby to najjaśniejsze!...

— Spocznij, generale! Siadaj, siadaj! Opowiedz mi swoje bohatérskie czyny.

— Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą—woła zdesperowany Serrano.—Oj!... Wybacz, królowo. Ten przeklęty Kruczek!... chciałem powiedzieć: Don Jose.... Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świéca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta łojem mucha; inne muchy łażą po

ścianach... A? więc to czworaki, nie Eskuryal? Królowéj Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkowicie do przytomności! podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą stojącym pod łóżkiem i zmienia okład.

Poczém zwraca się do ściany, zasypia, a raczéj rozmarza się, wpół śnie, wpół jawie i oczywiście jedzie znowu jakby ekstrapocztą do Eskuryalu.

— Miły Serrano! kochanku mój! sama opatrzę twe rany—szepcze królowa.

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swéj pozycyi. Jak tu nie posłuchać królowéj, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle....

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i staje w nich ni mniéj, ni więcéj, jak tylko Don Jose, zacięty wróg Serrana.

— Czego tu chcesz? Ktoś ty?—woła Serrano.

— To ja, Rzepa!—odpowiada ponuro Don Jose.

Zołzikiewicz budzi się poraz drugi; Eskuryal staje się znów murowańcem, świéca się pali, mucha przy knocie trzeszczy i pryska błękitnemi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim... pióro wypada mi z ręki; przez pół odchylone drzwi, wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiéj strony...

— Czego tu obaj chcecie?—woła wystraszonym głosem.

Ale Rzepa kładzie rubla na stół i odzywa się pokornie:

— Jelemożny pisarzu! a to ja przyszedłem wedle... téj branki.

— Won! won! won!—krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość, zrywa się do Rzepy, ale w téj chwili w karlistowskiéj ranie zabolało go srodze, pada więc znowu na poduszki, wydając tylko przygłuszone jęki:

— Oj, jej!

III.

Rozmyślania i eureka.

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają łzy ronić nad moim bohaterem, a zatém, nim która z nich zemdleje pośpieszam dodać, że jednak bohatér nie umarł z téj rany. Przeznaczoném mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale, że nie umarł, ciągnę więc daléj.

Owóż więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniéj-Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu humory z głowy, więc zaczął myśleć jaśniéj i zaraz poznał, że robił dotychczas same głupstwa. Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówią w Warszawie, parol na Rzepową i nie dziwić się mu, bo téż to była kobiéta, jakiéj drugiéj nie znaleźć w całym powiecie Osłowickim, chciał się więc pozbyć Rzepy. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć: „hulaj dusza bez kontusza!" Ale nie tak łatwo było zamiast wójtowego syna, podsunąć Rzepę. Pisarz jest potęgą: Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w spra-

wie poboru nie był ostatnią instancyą. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisyą wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży które to wszystkie osobistości bynajmniéj nie były interesowane, żeby zamiast Buraka, obdarzyć armię i państwo Rzepą. „Umieścić go w spisie wojskowym? i cóż daléj"—pytał siebie mój sympatyczny bohatér. Spisy sprawdzą, a że metryki muszą być załączone, i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa i skończyło się.

Najwięksi ludzie, pod wpływem namiętności, robili głupstwa, ale w tém właśnie ich wielkość, że poznawali się na tém dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obiecawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę popisowych, uczynił piérwsze głupstwo; poszedłszy do Rzepowéj i napadłszy ją przy mędlicy, uczynił drugie głupstwo; przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O, chwili szczytna! w któréj mąż prawdziwie wielki mówi sobie: jestem osłem! nadeszłaś wówczas i dla Baraniéj-Głowy, zleciałaś jakoby na skrzydłach z téj krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnem, bo Zołzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: jestem osłem!

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych... (w zapale powiedział: własnych piersi), miałżeby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kortowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi, i parą nankinowych, którą sam nie wiedział czy dwa razy miał na sobie.

Nie i nigdy!

Przeciwnie teraz, gdy do projektów na Rzepową, przyłączyła się jeszcze chęć zemsty nad obojgiem

i nad Kruczkiem z niemi razem, Zołzikiewicz przysiągł sobie, że kpem będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego, zmieniając okłady, i czy wiécie co wymyślił? Oto nic nie wymyślił.

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z Osłowickiéj apteki diachelum; Zołzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i—co za cudowne skutki tego medicamentum! prawie jednocześnie wykrzyknął: „znalazłem!" Istotnie coś znalazł.

IV.

Któryby można zatytułować: Zwierz w sieci.

W kilka dni potém, nie wiem dobrze czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy Baraniogłowskiéj siedział wójt Burak, ławnik Gomuła i młody Rzepa. Wójt wziął za szklankę.

— Przestalibyśta się o to swarzyć, kiedy nie mata o co!—rzekł wójt.

— A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi—mówił Gomuła, uderzając pięścią o stół.

— Prusak psia jucha chytry!—odparł Rzepa.

— To co, ze chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.

— Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda (Garibaldi)?

— Musiśta wstali do góry... plecami. A wyśta zkąd wyrwali Harubandę?

Co go miałem wyrywać? Abo to ludzie nie gadali, że pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielgą? Ino mu się piwo w Warsiawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.

— Nie bluźnilibyście po próżnicy. Kużden śwab, to je żyd.

— Przecie Harubanda nie świab.

— Ino co?

— Ba? co? musi; cysarz i basta!

— Oj, straśnieście mądrzy!

— Wyśta też nie mądrzejsi.

— A kiejśta tacy mądrzy, to powiedzta, jakta było na przezwisko pierwszemu rodzicowi?

— Jak? juści: Jadam.

— No! to na krzestne imię, ale na przezwisko?

— Czy ja wiem.

— A widzita? A ja wiem. Na przezwisko było mu: „Skruszyła.“

— Chybaście pypcia dostali.

— Nie wierzyta, to posłuchajta:

„Gwiazdo morza, któraś Pana
Mlekiem swojém wykarmiła!
Tyś śmierci szczep, który wszczepił
Pierwszy rodzic, skruszyła.“

— A co, czy nie Skruszyła?

— No juści prawda.

— Napilibyśta się lepiéj—rzekł wójt.

— Zdrowie wasze, kumo!

— Zdrowie wasze!

— Haim!

— Siulim!

— Daj Panie Boże szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale że to było w czasie francuzko-pruskiéj wojny, ławnik więc Gomuła, znowu wrócił do polityki.

— No! napijwa się jeszcze—rzekł po chwili Burak.

— Daj Panie Boże szczęście!

— Panie Boże zapłać!

— No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i odrzekł:

— Ej! dobroć teżto, dobroć!

— Ano jeszcze?—rzekł Burak.

— Nalejta.

Rzepa stawał się coraz czerwieńszy, Burak dolewał mu ciągle.

A wy—rzekł wreszcie do Rzepy—to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedną ręką, a balibyśta się pójść na wojnę.

— Cobym się miał bać? Kiej się bić, to się bić.

Gomuła na to rzekł:

— Jenszy jest mały a odważny, jenszy wielgi i mocny i bojący.

— A nieprawda!—rzekł Rzepa—ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

— Kto was tam wie?

— A ja pojedam—odparł Rzepa, pokazując pięść, jak bochenek chleba—że inobym was zajechał w pacierze tą pięścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

A może i nie.

— Chceta spróbować?

— Dajta spokój—wtrącił wójt.—Będzieta się bili czy co? ot napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta, Rzepa zaś wypił całą szklankę araku aż mu oko zbielało.

— Pocałujta się teraz—rzekł wójt.

Rzepa aż się rozpłakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem że już podpił dobrze; poczém

zaczął wyrzekać, gorzko wspominając, graniaste cielę, które dwa tygodnie temu, zdechło mu w nocy w oborze.

— Oj! jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał odemnie! —wołał żałośnie.

— No, nie smućta się!—rzekł Burak. Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

— I po sprawiedliwości! Alboto pan las siał?

Ale potém zaraz znów zaczął zawodzić:

— Oj! co cielak, był to cielak; jakta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała

— Pisarz mówił...

— Comita pisarz!—przerwał gniewnie Rzepa. Pisarz dla mnie:

„Tyle znaczy,
Co Ignacy...“

— Nie pomstowalibyście! Napijwa się!

Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtém drzwi się otworzyły i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemię, powstał i wybełkotał:

— Pochwalony.

— Jest tu wójt?—spytał pisarz.

— Jest!— odpowiedziało trzy głosy.

Pisarz zbliżył się, zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku. Zołzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole!

Chwilę panowało milczenie. Nakoniec Gomuła zaczął.

— Panie pisarzu?

— Czego?

— Czy to prawda wedle tego boru?

— Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.

— Ja tam nie będę podpisywał—ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.

— Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nie podpiszesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

— O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoję część płotem, żeby nie było sporów.

— To-ta płot będzie więcéj kosztował niż las wart—wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

— Na koszta płotu—mówił do wójta i ławnika—rząd przysyła pieniądze. Jeszcze każdy na tém zarobi, bo wypada po piećdziesiąt rubli na głowę.

Rzepie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

— A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?

— Są u mnie—rzekł pisarz.—A to dokument.

To rzekłszy, wydobył złożony we czworo papier, i odczytał coś, czego chłopi wprawdzie nie rozumieli, ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz, wydobywszy pieniądze, rzekł:

— No! który pierwszy?

Podpisywali kolejno, gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zołzikiewicz usunął dokument i rzekł:

— A może nie chcesz? To wszystko dobrowolnie.

— Co nie mam chcieć?

A pisarz na to:

— Szmul!

— Szmul ukazał się we drzwiach.

— Ny? co pan pisarz chce?

— Chodź i ty na świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potém znów powiada do Rzepy:

— Może nie chcesz?

Ale Rzepa już podpisał i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potém wziął pieniądze od pisarza, całych pięćdziesiąt rubli i schowawszy je za pazuchę, zawołał:

— A dajta-no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł: wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzémać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, nakoniec zwalił się z zydla, mruknąwszy: „Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!“ i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała że jeśli się upił, to może się jéj co oberwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przepraszał żonę, całował ją po rękach. Po trzeźwemu nie dał jéj nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jéj się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca. Patrzy, wyłupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma i nie alkierz, w którym siedział wczoraj, ale ogólna izba z szynkwasem.

— Imię Ojca i Syna i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiéj, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwas, a w oknie stoi Szmul ubrany w śmiertelną koszulę i w cycełe na głowie; stoi w oknie i kiwa się i modli się głośno.

— Szmul, psia-wiaro!—zawołał Rzepa.

Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył i modlił się daléj.

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop przespawszy noc w karczmie. Namacał pieniądze.

— Jezus, Marya! a to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić i zdjąwszy śmiertelną koszulę i cycełe, poszedł je schować do alkierza, a potém wrócił wolnym krokiem poważny i spokojny.

— Szmul?

— Ny, czego chcesz?

— Coto ja mam za pieniądze?

— Co, głupi, nie wies? Toć się wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz losował, i pieniądze wziąłeś i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana: rzucił czapkę o ziemię, potém sam grzmotnął się o nią i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęsły.

— No, pasioł won ty sałdat!—rzekł flegmatycznie Szmul.

W pół godziny potém, Rzepa zbliżał się do chałupy, Rzepowa, która właśnie gotowała strawę, usłyszawszy go jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego spotkanie gniewna bardzo.

— Ty pijaku!—zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała!

— A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytała wreszcie wszystkiego. „Zaprzedali mnie“ rzekł w końcu. Wówczas ona z kolei uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczeć; Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w ręku, pytając jedna drugiéj:

— Co się tam u Rzepów stało?

— Musiał ją bić, czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziéj niż Rzepa, bo miłowała ona jego, nieboga, nad wszystko w świecie.

V.

W którym poznajemy ciało prawodawcze Baraniéj-Głowy i głównych jego przywódzców.

Nazajutrz było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całéj gminy, z wyjątkiem panów, alias szlachty, z któréj jakkolwiek kilku w powiecie było ławnikami, ale tych kilku, nie chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiéj, to jest zasady nieinterwencyi, tak zachwalanéj przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało to jednak pośredniego wpływu „intelligencyi“ na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z „intelligencyi“ miał sprawę wówczas w wigilią posiedzenia zapraszał pana Zołzikiewicza do siebie; przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela intelligencyi wódeczkę podawano cygaro i wtedy obgadywała się rzecz z łatwością potem następował obiad na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmemi słowami: „Ano siadaj, panie Zołzikiewicz! siadaj!“

Pan Zołzikiewicz téż siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: „Byłem wczoraj na obiedzie u Miedziszewskich, Skorabiewskich lub Ościeszyńskich. Hm! córka w domu jest: rozumiem co to znaczy!“ Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy, tak jak uważał, że inni jedzą i nie okazywać przytém, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbytecznie cieszyć.

Byłto człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć; dlatego też nietylko nie tracił w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy, wspominając przytém „tego poczciwego komisarza“ lub „tego wybornego sobie naczelnika,“ z którymi wczoraj lub onegdaj machnął maleńką pulkę po kopiejce punkt. Słowem starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszemi powagami w Osłowickim powiecie. Uważał wprawdzie, że, w czasie jego opowiadań, panie dziwnie jakoś patrzyły w talerze. ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie dziwiło go także nieraz, że szlachcic, nie czekając aż on się żegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: „No! to bywaj zdrów, panie Zołzikiewicz!“ ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przytém ściskając na pożegnenie rękę gospodarza domu, uczuwał w niéj zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce i drapiąc szlachcica w dłoń, wygarniał z niéj to „coś szeleszczącego,“ nie zapominając jednak nigdy dodać: „A, panie dobrodzieju! między nami to niepotrzebne! a co do sprawy, może pan dobrodziéj być spokojny!“

Przy tak sprężystym zarządzie i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza, sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiéj, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie, że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos i tłómaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać; resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczém szeleszczącém, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu i podczas przebiegu ich spokojnie siedział, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się poprostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściśléj, z panów, jeden tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo, jako ławnik, na sądach gminnych i twierdził, że intelligencya powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być „czerwony," czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło; chłopi zaś w demokratyczném poczuciu własnéj odrębności, utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednéj ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że „jensze panowie tego nie robią." W ogóle chłopi mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczém szeleszczącém zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu, jako ławnik, nakazał mu nawet milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna; skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranku, wobec całéj gminy, z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: „Alboto wielmożny pan, to pan? Pan Oścerzyński, to jest pan, pan Skorabiewski, to jest pan, a wielmożny pan, to nie pan, ino dorobiec." Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą-Wolę, plunął na wszystko i gminę pozostawił gminie, tak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu. Szlachta zaś mówiła: „doigrał się." przyczém na obronę zasady nieinterwencyi, przytaczano jedno z przysłów stanowiących mądrość narodów, które miało dowodzić, że chłopa ulepszyć nie można.

Gmina tedy, nie zakłócona udziałem „intelligencyi," radziła o własnych sprawach, bez pomocy powyższego pierwiastku, a za pośrednictwem tylko baraniogłow-

skiego rozumu, który przecież dla Baraniéj-Głowy powinien był wystarczać, na mocy téjże zasady, na mocy któréj paryzki rozum wystarcza dla Paryża. Zresztą, pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek, albo inaczéj, tak zwany: „zdrowy chłopski rozum“ więcéj jest wart od każdéj obco-żywiołowéj intelligencyi, że zaś mieszkańcy kraju, z urodzenia już ów „zdrowy rozum“ na świat przynoszą, to zdaje mi się nie potrzebuje być dowodzoném.

Okazało się to także zaraz w Baraniéj-Głowie, gdy na posiedzeniu, o którem mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem, na przestrzeni swych gruntów, naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten, w ogóle, nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym *patres conscripti*, jeden zaś z miejscowych senatorów wyraził światły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu: *pro publico bono*, ale pana Skorabiewskiego nie było i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencyi. Projekt więc byłby przeszedł niezawodnie *unanimitate*, gdyby nie to, że pan Zołzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał pannie Jadwidze scenę uduszenia dwóch generałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w „Izabeli hiszpańskiéj“ wydawnictwa pana Breslauera, po obiedzie zaś, przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego, poczuł w ręku coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, położył pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

— Pan pisarz chce cosik powiedzić — rozległy się głosy w zgromadzeniu.

— Ja chcę powiedzieć, żeście durnie—odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwéj parlamentarnéj wymowy, choćby w najtreściwszéj zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższém orędziu, oznaczającém protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnéj polityce ciała baraniogłowskiego, ciało wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie po długiéj chwili milczenia, jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

— Abo co?

— Boście durnie!

— Musi tak być!—ozwał się jeden głos.

— Łąka łąką—dodał drugi.

— A na wiosnę, to nawet bez nią nie przejechać —zakończył trzeci.

Skutkiem tego, poprawka zalecająca łąkę pana Skorabiewskiego, upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca, wedle nadesłanego kosztorysu. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umysły ciała sprawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykręcić, z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, którzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzéj.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne poświęcenie się ze strony wójta i ławnika, jak każda cnota, wychodząca poza obręb pospolitości, obudziło pewną

zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołało jeden głos protestacyi, który ozwał się gniewliwie:

— A wy to dlaczego nie będzieta płacić?

— A cóże my to będziem darmo pieniądze dawać, kiéj tego co wy zapłacita wystarczy—powiedział na to Gomuła.

Był to argument, na który, spodziewam się, nietylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi; głos zatém protestującego umilkł na chwilę, a po chwili odrzekł tonem przekonania:

— A prawda!

Sprawa całkowicie była ukończona i przystąpionoby zapewne bezzwłocznie do rozstrząsania innych, gdyby nie nagłe, a niespodziewane wtargnięcie do izby prawodawczéj, dwóch prosiąt, wpadłszy jak szalone przez niedomknięte drzwi, zaczęły bez żadnéj rozumnéj przyczyny, latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć w niebogłosy. Oczywiście obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: „a syk! a ciu! ażeby was paralus!“ i tym podobne. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzikiewicza i splamiły mu jakąś zielonością drugą parę kortowych, koloru piaskowego, a która to zieloność wyprać się nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowém mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energii, która jak nigdy, tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiéj, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi i mimo najusilniejszych protestacyi, wyrzucone za drzwi, poczém już można było przejść do

porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa, ze wzmiankowanym wyżéj panem Flossem. Zdarzyło się że woły Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flossa, nad ranem opuściły ten padół łez i nędzy, przeniosłszy się do lepszego—wołowego świata. Zrozpaczony Środa przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi, prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole pana Flossa, jednakże gdyby na tém polu rósł np. owies albo pszenica, nie ta zaś „gadzina“ koniczyna, woły cieszyłyby się dotychczas najlepszém i najpożądańszém zdrowiem i z pewnością nie doznałyby tych smutnych przypadłości rozdęcia, których padły ofiarą. Wychodząc z téj premissy większéj i przechodząc drogą, równie logiczną, jak ściśle prawną, do mniejszéj, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie był nie Środa, ale pan Floss; zatém pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość, wnieść do kassy gminnéj na kancelaryą rs. 5. Summa powyższa, na wypadek gdyby obwiniony wypłaty jéj odmówił, miała być ściągniętą z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnéj, wszystkie zaś one, o ile nie dotyczały bliżéj lub daléj genialnego Zołzikiewicza, były sądzone zupełnie samodzielnie, a przytém na wagach czystéj sprawiedliwości, zawieszonych na zdrowym baraniogłowskim rozumie. Dzięki przytém angielskiéj zasadzie nieinterwencyi, jakiéj trzymała się wspomniona już wyżéj „intelligencya,“ powszechna zgoda i jednomyślność rzadko

tylko bywały zakłócane ubocznemi wzmiankami o paraliżu, przegniciu wątroby i morowéj zarazie, wypowiadanemi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki téj nieocenionéj zasadzie nieinterwencyi, wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca, wnosiły zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne „na kancelaryą.“ Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucyach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost, mogło oduczyć ludzi pieniactwa i podnieść moralność gminy Barania-Głowa do stanu, o jakim napróżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godném było uwagi także i to, o czém zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelaryą, druga zaś półowa przeznaczona była na „nieprzewidziane wypadki,“ w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Nakoniec przystąpiono do sądzenia spraw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stójce przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania-Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziéj zgodny z wymaganiami cywilizacyi system więzienia celularnego, czyli komórkowego. Nie może to być podawaném przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim chlewku w Baraniéj-Głowie, znajdują się aż cztery przegrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie zwierząt, o których pewna „Zoologia dla użytku młodzieży“ mówi:

„Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojéj niechlujności etc.“ a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jéj celowości. Otóż więźniowie siedzieli w komórkach tylko w takiém towarzystwie, co jak wiadomo, nie mogło im przeszkadzać oddawaniu się refleksyi, rozmyślaniom nad złém popełnioném i przedsiębraniu poprawy życia.

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego celkowego więzienia i z celek jego przyprowadził przed oblicze sądu, nie dwóch, ale wyraźnie dwoje przestępców, z czego czytelnik może wnieść łatwo, jak delikatnéj natury i jak głęboko-psychologicznie zawikłane sprawy przychodziło czasem baraniogłowskiemu sądowi rozstrzygać. Jakoż istotnie, sprawa była arcy-delikatna. Pewien Romeo, inaczéj zwany Wach Rechnio i pewna Julia, inaczéj zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza: on za parobka, ona za dziewkę. I co tu ukrywać: kochali się nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezewendecha. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea i Julią, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea, zabawiającego się przydługo z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia, czekała tylko okazyi. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julii, zawcześnie przyszedł z pola i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i zobopólnych wyjaśnień, przyczém zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnéj twarzy Julii, również jak i na rozciętém czole, pełnego męzkiéj dumy oblicza Romea. Sądowi pozostawało teraz zawyrokować, po czyjéj stronie była słuszność i kto komu miał

wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli wyrażając się poprawniéj, kop. sr. siedmdziesiąt pięć.

Zdrowéj duchowéj treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew Zachodu; dlatego brzydząc się do głębi duszy emancypacyą kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcéj sielankowym usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który trzymając się za rozcięty łeb, tak mówić począł:

— Jelemożny sądzie! A to ta psia jucha, już dawno spokoju mi nie daje, Przyszedem, jak kto dobry na podwieczerz, a ona do mnie: „Ty psie kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układziesz i będziesz na mnie mrygał?“ A ja ta nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora com jéj pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potém i pozreć nie dała, tylko tak mi wymyślała: „ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!“ Dopiéro, jak mi powiedziała: „sufraganie,“ tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warząchwią w łeb....

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— A nieprawda! nieprawda! nieprawda! Szczekasz jak pies.

Potém rozpłakała się całém wezbraném sercem i zwróciwszy się do sądu poczęła wołać:

— Jelemożny sądzie! O! ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga rety! Nie przy studni ja jego z Jagną wi-

działam, żeby ich olśnęło! Rozpuśniku! powiadam, małoś to razy *gadoł* do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro! Ażeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął! Nie warząchwiąby jego po łbie, oj! dołóż moja! ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i zreć woła! Mówię mu jak komu dobremu grzecznie; ty złodziejski potrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? Ale: sufraganie! mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż. A żeby jego....

W tém miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną, uczyniwszy jéj uwagę w kształcie zapytania:

— Niestulisz-że ty mordy, utrapiona?

Nastała chwilowa cisza; sąd począł się namyślać nad wyrokiem i co za delikatne poczucie sytuacyi! pięciu złotych nie przysądził żadnéj stronie, ale tylko tak dla zachowania swéj powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całéj Baraniéj-Głowie, skazał skarzących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w celowém więzieniu i na zapłacenie na kancelaryą po rubli srebrem jeden.

Od Wacha Rechnia i Baśki Żabianki, na kancelaryą po kopiejek srebrem pięćdziesiąt, zapisał pan Zołzikiewicz.

Poczém posiedzenie było skończone. Pan Zołzikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe, koloru piaskowego, w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy w zamiarze rozejścia się, już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt, rozwarły się na oścież i ukazał się w nich Rzepa chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledziusieńka jak płótno: jéj śliczn delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkic czarnych oczach ukazywały się łzy, ściekające następni po policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, al jak zobaczył cały sąd, tak zaraz stracił minę i dość cichym głosem ozwał się:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!—odpowiedzieli chórem ławnicy.

— A wy tu czego chceta?—spytał groźnie wójt który zrazu zmieszał się, ale już przyszedł do siebie Sprawę jaką mata? pobiliśta się, czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił:

— Dajcie im mówić.

Rzepa zaczął:

— Jelemożny sądzie.... A niechto najjaśniejsze...

— Cichaj! cichaj!—przerwała prędko kobieta—daj że mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy, obtarła fartuchem łzy i nos, i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę. Ach! al gdzież to ona przyszła? Oto przyszła na skargę n wójta i na pisarza, przed.... wójta i pisarza. „Wzięl go, mówiła, obiecowali mu las, byle podpisał, to i pod pisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i ni wiedział, że zaprzedaje dolę swoję i moję i dzieciaka Pijany był wielmożny sądzie, pijany jak nieboskie stwo rzenie!—mówiła daléj już z płaczem. Toć pijany ni wié co robi, toć i w sądzie, jak kto po pijanemu prze skrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział c robił. Na miłosierdzie Boże! a toć trzeźwy człowiel nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojéj! Oj

ulitujta wy się nademną i nad nim i nad dzieckiem niewinném! W co ja się obrócę nieszczęśliwa sama, samiusieńka na świecie bez niego, bez *nieboracyska* mojego! Oj, Bóg wam za to da szczęście i zapłaci wam za biedaków!"

Tu łkanie przerwało jéj dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palce. Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

— Chłopsko chodzi jak struty. Ciebie powiada, zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a powiada, nie pójdę i nie pójdę. A cóżem ja winna nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosy, ani do siekiery, ino siedzi w izbie i wzdycha i wzdycha, ale ja sądu czekałam; toć wy ludzie macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyńże Ty się; przyczyń za nami!

Przez chwilę słychać znów było tylko szlochanie Rzepowéj, nakoniec stary jeden ławnik mruknął:

— A, dyć to nie ładno człeka upoić i zaprzedać.

— Bo i nieładno!—odpowiedzieli inni.

— Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi—zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, niemniéj markotny był i ławnik Gomuła; obaj zaś spoglądali na pisarza, który milczał, ale gdy Rzepowa skończyła, rzekł do mruczących ławników:

— Jesteście durnie!

Nastała cisza jak makiem siał, pisarz mówił daléj.

— Wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie durnie co to jest morski sąd? Wy tego durnie nie wiécie, morski sąd to jest....

Tu wydobył chustkę i utarł nos, potém głosem zimnym i urzędowym tak daléj swoję rzecz prowadził:

— Który kpie jeden z drugim nie wiész co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz co jest morski sąd, aż cię siódma skóra zaboli. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara. Ugoda podpisana, świadkowie są i szabas! To się rozumié w jurysprudencyi, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przytém, to i cóż? Albo to wy nie pijecie durnie zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jedném a gołym mieczem w drugim ręku, wylazła z za wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcéj przestraszyła, jak ten: morski sąd, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głuche milczenie i dopiéro po niejakim czasie ozwał się Gomuła cichym głosem, na który obejrzeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

— Dyć prawda! konia sprzedasz, napijesz się; wołu sprzedasz, też; świnię, też. To już taki obyczaj.

— Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju—wtrącił wójt.

A potém ławnicy śmieléj zwrócili się do Rzepy.

— Cóż, kiejś sobie piwa nawarzył, to go pij.

— Albo to tobie sześć lat? albo ty nie wiész co robisz?

— Łba ci przecięć nie urwą.

— A jak pójdziesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć; on cię ta zastąpi i przy chałupie i przy kobiecie.

Wesołość poczęła ogarniać zwolna zgromadzenie.

Nagle pisarz znowu otworzył usta: uciszyło się wszystko.

— Ale wy nie wiécie—mówił—w co wam się wtrącać a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie i takiéj rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przyszła na skargę, niechże od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

— Nieprawda! nieprawda! — zawołała z rozpaczą Rzepowa—ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadny krzywdy od niego nie doznałam. O! Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nietylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznéj troskliwości o całość Rzepowéj, postanowił ją ubezpieczyć, przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowioném było przytém, żeby na kancelaryą zapłacił rubli srebrem dwa, kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta rzucił na ziemię wołając: „niech je se ta bierze kto chce!“ Zaczął się rozgardyasz straszny. Stójka wpadł i daléj Rzepę ciągnąć; Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark

i wyrzucił za drzwi, dawszy pięścią w krzyż na drogę, inni zaś pomogli stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: „Od Wawrzona Rzepy ,rs. 1 kop. 25 na kancelaryą.“

Rzepowa szła do pustéj chałupy, prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

— Oo! oo! oo!

Wójt że to miał serce dobre, więc idąc zwolna z Gomułą ku karczmie, rzekł:

— Mnie ta cosik téj baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?

VI.

Imogena.

Tu spodziewam się, że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa: szach mat Rzepowéj i Rzepie. Zapisać Rzepę na listę, to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał, pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością, dowodzącą że przy zbiegu okoliczności, pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją „koprowiną“ wykupić, zgodził się na ten plan z radością, témbardziéj, że Zołzikiewicz, równie umiarkowany jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę. Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości dzielił się kancelaryjnem z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w „cisto paryzką“ garderobę.

A teraz, gdym już raz wszedł na drogę wyznań, nie będę także ukrywał, dlaczego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to, zapewne, z este-

tycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się kochał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowéj. Na Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam: „apetycik“ i basta. Ale oprócz tego pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżéj sięgających i bardziéj złożonych. Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy domyślają się już zapewne, że przedmiotem tych ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny, jak panna Jadwiga Skorobiewska. Nieraz, kiedy na niebie wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którymto instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami i spoglądając w stronę dworu, przy melancholicznych, a czasem i sapiących dźwiękach, nucił:

„A od samego prawie świtania
Do późnéj nocy łzy leję;
W nocy oddycham, przez ciężkie wzdychania:
Straciłem wszelką nadzieję.“

Głos biegł w stronę dworu, wśród poetycznéj ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał jeszcze po chwili:

„O! ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,
Coście młodzieńca życie zatruli.“

Ktoby jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach téż jego, zwykle panna Jadwiga podstawiała się za Izabelę, on za Serrana lub Marforego. Że jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swojem uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora, spostrzegł na sznu-

rze koło drwalni suszące się spódnice i po znakach J. S., wraz z koroną przy rąbku, poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas, powiedz pan dobrodziéj, któżby wytrzymał? więc i on nie wytrzymał; zbliżył się i począł gorąco całować jednę z tych spódnic, co zobaczywszy dworska dziéwka Małgośka, poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że „pan pisarz nos se w panienki spódnicę wyciero.“ Na szczęście jednak nie uwierzono temu i tak uczucie pana pisarza pozostało nieznaném nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu państwo dobrodziejstwo tego za złe: miał! Ile razy szedł do dworu, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nie ustający, szeptał mu do ucha: „A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepnie ci nogę pod stołem?...“

— Hm! mniejszaby i o lakierki—dodawał z ową wielkością duszy, właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera, dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. Ale panna Jadwiga nietylko mu nic nie przydeptywała, ale—któż zrozumié kobiétę!? — patrzyła na niego tak jakby patrzyła na płot, na kota, na talerz lub coś podobnego. Co on się biédak nie namęczył, żeby zwrócić jéj uwagę na siebie. Nieraz, zawiązując niesłychanego koloru krawat lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznemi lampasami, myślał sobie: „No, teraz przecie zauważy!“ Sam Srul, odnosząc mu nowe ubranie, mawiał: „Ny! w takich spodniach, to choćby z psieprosieniem do hrabianki można iść.“ Gdzietam! Przyszedł było na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa; zaszeleści su-

knią, fałdami i fałdeczkami; potém siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojrzy.

— Czy ona tego nie rozumié, że to i kosztuje!— myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. „Gdyby tak zostać podrewizorem!—myślał—człowiekby ani nogą ze dworu. Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiekby miał najtyczankę, parę koni, a to choćby już wtedy przynajmniéj rękę uścisnęła pod stołem...“ Pan Zołzikiewicz zapuszczał się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencye tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jako zbyt tajemnie-serdecznych, zdradzać już nie będziemy.

Jakato jednak była natura bogata ten pan Zołzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca: mieściło się w nim równoznaczne z „apetycikiem“ uczucie do Rzepowéj. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobiéta co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jéj zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność téj kobiéty. Oporność w prostéj kobiécie — i komu? — jemu, wydawała się panu Zołzikiewiczowi czémś tak zuchwałém, a zarazem niesłychaném, że nietylko Rzepowa nabrała zaraz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przytém dać jéj naukę, na jaką zasługiwała. Zajście z Kruczkiem ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. Wiedział jednak, że ofiara będzie się bronić, dlatego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała, pozornie przynajmniéj, na jego łaskę i niełaskę, tak samego Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa, po owém zajściu w sądzie, nie dawała jeszcze za wygraną. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść, jak zwykle, na summę do Wrzeciądzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży było dwóch: jeden proboszcz kanonik Ulanowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wyłaziły jak rybie, a głowa kręciła się na obie strony; nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był człowiek bardzo świątobliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. Chciała była Rzepowa pójść wcześnie i jeszcze przed summą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie i za męża robić bo mąż siedział w chlewku; nim więc poprzątnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniosła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała, że przed summą nie zdąży.

Jakoż gdy przyszła, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiéty, poubierane w zielone przyjaciółki, siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy, trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangielii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił o średniowiecznéj herezyi Catharów i tłómaczył swoim parafianom, w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezyą, jak i na bullę *Ex stercore* przeciw niéj wymierzoną. Potém bardzo wymownie i z wielkiém przejęciem się ostrzegał swoje owieczki, aby ja-

ko prostaczkowie, ubodzy, niby owi ptakowie niebiescy, a zatém mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sieją zamiast pszenicy, a łzy i grzech zbierać będą. Tu mimochodem wspomniał o Condillacu Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamtym świecie narażeni. A w Rzepową odrazu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że „juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić.“ Potém kazanie się skończyło, a zaczęła się summa. Oj! modliła się téż Rzepowa nieboga, modliła jak nigdy w życiu, ale téż czuła że jéj coraz lżéj i lżéj na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb' dziekan, wydobył Przenajświętszy Sakrament z cymboryum, a potem odwrócił się do ludzi i trzymając w drżących rękach monstrancyą jak słońce, tuż koło twarzy, stał tak przez czas jakiś z przymkniętemi oczyma i schyloną głową, jakby zbierając się z duchem, aż wreszcie zaintonował: „Przed tak Wielkim Sakramentem!“

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

Upadajmy na twarzy,
Niech ustąpią z testamentem,
Nowym prawom już starzy;
Wiara będzie suplementem,
Co się zmysłom nie zdarzy...“

Pieśń brzmiała aż się szyby zatrzęsły; zahuczał organ, zabrzęczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło, jakoby tęczą, owe zwoje. Wśród tego gwaru, dymów, promieni, głosów, błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił, i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancyą, jak jakieś zjawisko niebieskie, nawpół mgłą dymów przesłonione a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. Owo ta błogość i uspokojenie wielkie, wzięły pod skrzydła Boże i strapioną duszę Rzepowéj: „Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie!—wołała nieszczęśliwa kobiéta—nie opuszczajże mnie niebogą!“ I z oczu płynęły jéj łzy, ale już nie te łzy, któremi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże, jak kałakuckie perły, ano słodkie przytem i spokojne. Padła Rzepowa przed Majestatem Bożym twarzą na podłogę, a potém to już i sama nie wiedziała co się z nią stało. Zdawało się jéj, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi jako liść marny, aż do nieba, w wiekuistą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zołzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych, tylko jakby jedna zorza, a w onéj zorzy tron Boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy mrużyć i całe chmary aniołków, niby ptaszków z białemi skrzydełkami.

Rzepowa leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu dziad gasił świéce, więc Rzepowa się podniosła i poszła na parafią, rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobiéta chce się z nim widzieć. Byłto młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

— A czegoto chcecie, moja kobiéto?—spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę i popłakiwać przytém i całować go po ręku, aż wreszcie, podnosząc nań pokornie swoje czarne oczy, rzecze:

— Oj! porady, dobrodzieju, porady! przyszłam od was szukać.

— I nie omyliliście się, moja kobiéto—odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk.—Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych: doświadcza ich nawet i srodze, jak Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azaryasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie co robi i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę Bożą, za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.

Rzepowa popatrzyła na księdza swemi czarnemi oczyma, podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

VII.

Imogena.

Po południu, koło godziny piątéj, na głównéj drodze między chałupami błyszczała w dali błękitna parasolka; żółty ryżowy kapelusik z błękitnemi wstążkami i migdałowa sukienka garnirowana takoż błękitno: to panna Jadwiga szła na spacer po obiedzie, obok niéj zaś kuzyn pan Wiktor.

Panna Jadwiga była to ładna panna, co się nazywa: włosy miała czarne, oczy niebieskie, płeć jak mléko, a przytém ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwintne, że aż promienie biły od niego, dodawało jéj jeszcze uroku. Jéj śliczna dziewicza kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w powiętrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, z pod któréj widać było brzeżek karbowany białéj spódniczki i śliczne małe nóżki, obute w buciki węgierskie.

Pan Wiktor, który koło niéj szedł, choć miał ogromną, kręconą, jasnéj barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od téj pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przytém znać było po obojgu owo życie

wyższe, świąteczne; życie skrzydlatych polotów, nietylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień, równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia, wyglądali oboje, jakby jakieś istoty z innéj planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą, a prozaicznym, pełnym szaréj rzeczywistości i nawpół zwierzęcym bytem wioski. Nie istniał żaden związek, przynajmniéj duchowy. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezyi, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawaler i dworna panna. Ci ludzie w parcianéj odzieży, ci chłopi i te baby nie zrozumieliby nawet ich słów i języka. Aż miło pomyśleć! przyznaj cież mi to, acańst wo dobrodziejstwo!

W rozmowie téj pysznéj pary nie było nic, czegoby się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali, jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się czczą i pospolitą kiedy się rozmawia z lubą duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na któréj ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierzga, i kiedy, od czasu do czasu, rozchyla swe wnętrze, jakoby spłonione wnętrze białéj róży. A przytém, taka rozmowa wzlatuje, bądźcobądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę, jakoby wijąca się roślinka po tyczce. Tam w karczmie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, a owa para płynęła w inną krainę i na okręcie, który miał, jak mówi piosnka Gounoda:

„Maszty z kości słoniowéj,
Flagą jedwab, różowy
I szczerozłoty ster.“

Obok tego jeszcze należy dodać, że panna Jadwiga zawracała dla wprawy głowę kuzynkowi. W tych warunkach, najczęściéj mówi się o poezyi.

— Czytała pani ostanie wydanie Elego? — pytał kawaler.

Wié pan, panie Wiktorze—odrzekła panna Jadwiga — że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam, zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimowolnie stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

„Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę;
Łzę mam senną w oku:
Oddechu nie słyszę.
Fiołkowéj woni
Otacza mnie morze;
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę... płynę...“

— Ach!—przerwała nagle—gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana. Zrozumielibyśmy się z pewnością.

— Na szczęście jest żonaty!—odparł sucho pan Wiktor.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła pół-uśmiechem usta, aż jéj się dołki ukazały na policzkach, i spoglądając z ukosa na pana Wiktora, spytała:

— Dlaczego pan mówi, na szczęście?

— Na szczęście dla tych wszystkich, dla którychby życie nie miało wówczas żadnego powabu.

To mówiąc, pan Wiktor był bardzo tragiczny.

— O! pan zadużo mi przypisuje.

Pan Wiktor przeszedł w lirykę.

— Pani jesteś aniołem...

— No.... to dobrze.... to mówmy o czém innem. Więc pan nie lubi Elego?

— Zaczęłem go nienawidzieć przed chwilą.

— Brzydki grymaśnik z pana. Proszę się rozchmurzyć i wymówić mi swego ulubionego poetę.

— Sowiński...—mruknął ponuro pan Wiktor.

— A ja się go po prostu boję. Ironia, krew pożar... dzikie wybuchy!

— Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale.

To rzekłszy, pan Wiktor spojrzał tak walecznie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch, cofnął się przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia bródka, zadarty nos i jasnozielony krawat, a potém zatrzymali się przed ładnym domkiem, pokrytym dzikiém winem i patrzącym tylnemi oknami na staw.

— Widzi pan, jaki to ładny domek: to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniéj-Głowie.

— Cóżto za dom?

— To była dawniéj ochrona. Tu dzieci wiejskie uczyły się czytać, gdy rodzice byli w polu. Papa naumyślnie kazał wybudować ten dom.

— A teraz cóż w nim jest?

— Teraz tam stoją beczki z okowitą....

Ale nie dokończyła myśli, bo doszli do wielkiéj kałuży, w któréj leżało kilka świń „słusznie tak nazwanych, dla swego niechlujstwa.“ Żeby tę kałużę obejść, potrzeba było przejść koło chałupy Rzepowéj; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa, z łokciami opartemi na kolanach i z twarzą podpartą na ręku. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenie mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienka spostrzegła ją zaraz i rzekła:

— Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się, podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktora, przyczém rozpłakała się cicho.

— Coto wam, Rzepowa?—spytała panna.

— O! jagódko moja złota, o zorzo moja rumiana! może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyńże ty się za mną, pociecho nasza!

Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz całą, przeplatając opowiadanie całowaniem panienki po ręku, a raczéj po rękawiczkach, które przytém łzami plamiła; panienka zmieszała się bardzo: widać było wyraźnie kłopot na jéj ładnéj, poważnéj twarzyczce i sama nie wiedziała co począć, nakoniec jednak rzekła z wahaniem:

— Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! Mnie was żal bardzo. Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy.... może papa.... No! bądźcie zdrowi, Rzepowo...

To rzekłszy, panna Jadwiga podniosła jeszcze wyżéj migdałową sukienkę, aż nad trzewikiem błyszczała biała w błękitne paski pończoszka, potém zaś panna Jadwiga poszła daléj z panem Wiktorem.

— Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy!—zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktorowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jéj oku; więc, żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim i o innych mniejszych już rybach literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiała się stopniowo, zapomnieli wkrótce oboje o téj „niemiłéj sprawie.“

— Do dworu?—mówiła sobie tymczasem Rzepowa.—A toć mnie tam najpierwéj trzeba było iść. Oj! głupia téż ze mnie kobiéta!

VIII.

Imogena.

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z niemi razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony z wielkiemi wąsami, siedział na krześle, paląc fajkę; pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był sceptyk, podrwiwał ze starego dziekana.

— Ot! niech-no nam ksiądz dobrodziéj opowié o téj sławnéj bitwie—mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

— Hę?

— O bitwie!—powtórzył rewizor głośniéj.

— A? o bitwie?—rzekł dziekan i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie i patrzeć w górę, niby sobie coś przypominając; rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

— Co?—zaczął ksiądz dziekan—ja jeszcze wtedy byłem wikaryuszem, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. To on co zakrystyą przebudował... A światłość wiekuista!... Więc zaraz po summie powiadam: księże proboszczu? A on pyta: co? Mnie się zdaję, że to coś z tego będzie, powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzymy: aż tu z za wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotą, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zara pomyślałem sobie: o! Aż tu i z drugiéj strony, owce? myślę, a to nie owce, tylko kawalerya. Jak tylko tych zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawalerya, dopiéro ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za niemi. Dopiéro widzą: trudno! więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam, a proboszcz mówi: widzę, a tam już walą z armat, z karabinów; tamci do rzeki, ci nie puszczają; ten tego, ten owego!... co ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potém na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księże proboszczu, mówię, tamci górą! A on mówi: I mnie się zdaje, że górą. Ledwiem domówił, ci w nogi! tamci za nimi; dopiéro ich topić, zabijać, brać w niewolą, i myślę: skończy się... ale gdzietam! tego... powiadam, właśnie, no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko, wpadł jakoby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniéj jak zwykle, a oczy bardziéj jeszcze na wierzch wyłaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

— Księże dobrodzieju!—zapytał—któż się z kim bił, gdzie i kiedy?

A kanonik rękę do ucha i mówi:

— Hę?

— Ot! prosto nie mogę od śmiechu — rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

— A może cygarko?

— A może kawy?

— Nie: nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał, co niedziela; wesołość była więc ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy, lękliwy głos, z zewnątrz ganku, który rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

Pan Skorabiewski zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

— A kto tam?

— To ja, Rzepowa.

— Czego?

Rzepowa schyliła się, o ile jéj na to dzieciak pozwalał, i podjęła go pod nogi.

— Po ratunek, jaśnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

— Moja Rzepowa, dajcie mi téż choć w niedzielę pokój!—przerwał pan Skorabiewski z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni.—Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

— Ja zaczekam...

— No, to czekajcie-że. Ja się przecie na dwoje nie rozerwę...

To rzekłszy, pan Skorabiewski wsunął napowrót swe obszary w ganek, a Rzepową cofnęła się aż do

kratek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jéj czekać dość długo. Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jéj dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jéj było niebodze. Potém wrócili pan Wiktor z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce się miało ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiek, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: „jeden drugim“ i zaczął nakrywać do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wpuszczać w nie z brzękiem łyżeczki. Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jéj do głowy, czyby nie wrócić do chałupy, a przyjść późniéj, ale bała się, że potém będzie zapóźno, przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty było już zastawione; w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami „Anioł Pański,“ a potém rozmyślała, jak téż-to ją poratuje pan Skorabiewski. Dobrze ona nie wiedziała jak? nie rozumiała, że pan jako pan, to i z komisarzem ma znajomość i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Pan Bóg, że się złe odmieni. A przytém myślała, że niechby się Zołzikiewicz, albo wójt sprzeciwiał, to pan wiedziałby gdzie pójść po sprawiedliwość: „Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi

miłosierny, myślała sobie, toć mnie tak nie ostawi.“ I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Daléj przypomniała sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw; daléj, że jéj nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jéj serce. To, że czekała już parę godzin, wydało jéj się tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się nad tem. Tymczasem państwo wrócili na ganek. Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka „arbatę,“ czyli jak mawiała nieboszczka matka Rzepowéj, taką wodę pachniącą, co ci od niéj w calusieńkiéj gębie puszy.“ Potém pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiéro wtedy przyszło Rzepowéj do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcéj szczęścia niż w prostym i sama nie wiedziała czemu łzy znowu popłynęły jéj po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu bo oto na ganek „jeden z drugim“ wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniała sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta, a rano tylko się trochę mléka napiła.

— Oj! żeby mi téż choć kosteczki dali ogryźć!— pomyślała sobie—i wiedziała, że daliby z pewnością, nietylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leźć przy gościach, zacoby się może pan i rozgniewał.

Nareszcie skończyła się i kolacya; rewizor odjechał zaraz, a w pół godziny potém i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc osądziła, że chwila nadeszła i zbliżyła się ku gankowi.

Bryka ruszyła; pan krzyknął na drogę furmanowi: „a przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!“ potém spojrzał na niebo, chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda, nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowéj.

— A kto tam?

— Rzepowa.

— A, to wy! Gadajcie prędzéj, czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potém rzekł:

— Moi kochani! ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że ja się w sprawy gminne nie będę wtrącał.

— Dyć ja wiem, jaśnie dziedzicu—rzekła drżącym głosem Rzepowa—ale pomyślałam sobie, że może jaśnie dziedzic ulituje się nademną...

Głos jéj urwał się nagle.

— Wszystko to bardzo dobrze—rzekł pan Skorabiewski — ale co ja mogę zrobić? Ja swego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnemi sprawami... Wy macie swoję gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? moja Rzepowa No! idźcie z Bogiem.

— Panie Boże zapłać—ozwała się głucho kobiéta, podjąwszy dziedzica pod nogi.

IX.

Imogena.

Rzepa po wyjściu z chlewka, poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany tąż samą myślą co i Rzepowa, poszedł do pana Skorabiewskiego i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy, nie wié co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał toż samo co i Rzepowa, o zasadzie nieinterwencyi, nietylko, że w skutek przyrodzonéj prostakom tępości umysłowéj, téj wysoce dyplomatycznéj zasady nie pojął, ale z gburowatością właściwą również prostakom, ozwał się i został wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł nazad do chałupy, sam powiedział żonie:

— Byłem we dworze.

— I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

— Podpalićby ich, psio-wiary.

— Cichajże zbereźniku. Co ci ta pan powiedział?

— Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

— Ono, to chyba trzeba iść do Osłowic.

— Pojadę do Osłowic—mówił zaraz wtedy—i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

— Nie pojedziesżże ty nieboraku, mój serdeczny, tylo ja sama. Ty ino się napijesz, to zara hardo się stawisz i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz po południu poszedł do karczmy zalać robaka, nazajutrz dzień toż samo; kobiéta więc nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę Bożą i we środę, wziąwszy dziecko, wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtaniem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jéj przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątéj rano, siadłszy zmęczona na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj, które miała ze sobą w kobiałce, potém poszła daléj. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeciądzy, który wiózł w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

— Z Bogiem, moja Rzepowa—odpowiedział Herszek — ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę?

Dopiéro przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział:

— Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie, i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy, zaciął konia i pojechał daléj. Na świecie stawało się coraz gorącéj i pot lał się stru-

mieniem z Rzepowéj, ale zbierała nogi jak mogła i w godzinę późniéj wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografią, ten wié, że wjeżdżając od strony Baraniéj-Głowy do Osłowic, trzeba przejeżdżać koło kościoła po-reformackiego, w którym dawniéj była Matka Boska cudowna, a około którego, jeszcze dziś, co niedziela siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących w niebogłosy. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale zato wyciągał z pod łachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w ręku wierzch pudełka od szuwaksu, śpiewał:

„Święta, niebieska,
Pani anielska!“

Ujrzawszy kogo przechodzącego, przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze daléj nogę, poczynał krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Miłosierne osoby! Biédna kaleka litości błaga! Niech wam Pan Bóg miłosierny da wszystko dobre na ziemi!

Ujrzawszy go Rzepowa, odwiązała z chusty swego czeskiego i zbliżywszy się rzekła:

— Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad poczuwszy szóstaka w palcach, nuż jej wymyślać: „Żałujeta czeskiego Panu Bogu, pożałuje i wam Pan Bóg wspomożenia. Idźta do paralusa, pókim dobry!“

Więc Rzepowa sobie rzekła: „niech to będzie na chwałę Bożą“ i poszła daléj.

Dopiéro jak przyszła na rynek, tak się zlękła. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zabłądzić w Osłowicach jeszcze łatwiéj. A toćto miasto nie żarty! Przyj-

dziesz do jakiéj nieznajoméj wsi, a już musisz wypytywać się gdzie kto mieszka, a cóż dopiéro w takich Osłowicach. „Ja się tu zgubię, jak w lesie," pomyślała Rzepowa. Nie było innéj rady jak wypytywać się ludzi. O komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu, dowiedziała się, że wyjechał do gubernii. O naczelniku powiedzieli jéj, że go trzeba szukać w powiecie. Ba! a powiat gdzie? Oj! głupia, głupia kobiéta, przecie w Osłowicach, nie gdzieindziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała; nareszcie patrzy: stoi jakiś pałac, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów i bid żydowskich! Rzepowéj zdawało się, że to jakiś odpust. „A kaj tu je powiat?"– pyta Rzepowa jakiegoś we fraku, podjąwszy go pod nogi. „Toć stoisz, kobiéto, przed nim." Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, daléj jeszcze i drzwi i drzwi, a na każdych jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i otworzywszy z nieśmiałością i pocichutku pierwsze, znalazła się w jakiéjś wielkiéj izbie, przedzielonéj stalami jak kościół.

Za stalami siedział jakiś we fraku ze złocistemi guzikami i z piórem za uchem, a przed stalami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, które panom oddawał. Kto wziął kwitek, ten wychodził. Dopiéro Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić i pożałowała swojego czeskiego. To téż z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrzał. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina: jedni wchodzą, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Na-

koniec przerzedziło się jakoś, a wreszcie i nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

— Pochwalony Jezus Chrystus!...

— Czego tam?

— Jaśnie naczelniku!...

— Tu jest kassa.

— Jaśnie naczelniku!...

— Tu jest kassa, mówię wam.

— A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi.

— Tam.

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? ba! ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść? Nareszcie widzi, że między rozmaitemi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

— Ojcze?

— A czego chceta?

— Zkądeście?

— Z Wieprzowisk, abo co?

— Kaj tu naczelnik?

— Czy ja wiem.

Potém spytała jeszcze jakiegoś ze złotemi guzikami, ale nie we fraku i z dziurami na łokciach; ten nie chciał jéj nawet słuchać, odpowiedział tylko:

— Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze lepsze drzwi, nie wiedziała biédaczka, że na tych drzwiach stał napis: „Osobom nienależącym do składu urzędu, wchodzić niewolno.“ Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzémie. Daléj drzwi do innego pokoju, w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzémał na ławie; miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed się nogach, dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrzał na nią i jak krzyknie:

— Nie wolno!

Kobiécina w nogi, a on drzwiami za nią trzasnął.

Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu.

Siadła koło jakichś drzwi i z cierpliwością prawdziwie chłopską, postanowiła siedzieć przy nich, choćby do skończenia świata. „A przecie kto może i zapyta!"— myślała sobie. — Nie płakała, tylko tarła oczy, bo ją swędziły, i czuła, że cały korytarz ze wszystkiemi drzwiami zaczyna się z nią kręcić.

A tu ludzie koło niéj, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słychać: haru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł stateczny szlachcic, którego czasem w kościele we Wrzeciądzy widywała; potknął się o nią i pyta:

— A wy tu czego, kobiéto, siedzicie? co?

— Do naczelnika...

— Tu jest komornik, nie naczelnik.

Szlachcic ukazał drzwi w głębi kurytarza.

— Tam gdzie ta zielona tabliczka, co? ale nie chodźcie do niego, bo zajęty, co? Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł daléj, a Rzepowa spojrzała za nim takiém spojrzeniem, jakby za swoim aniołem-stróżem.

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem; wyszedł z nich niemłody już wojskowy, i szedł przez korytarz śpiesząc się bardzo. Oj! zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku interesantów, zabiegając mu to z prawej, to z lewéj strony, a do uszu Rzepowéj doszły wykrzyki: „Panie naczelniku dobrodzieju!“ „Słóweczko, panie naczelniku!“ „Łaskawy naczelniku!“ Ale on nie słuchał i szedł naprzód! Rzepowéj aż zaraz pociemniało w oczach na jego widok. „Dziéj się wola Boża!“ przemknęło jéj w głowie, więc wypadła na środek korytarza i klęknąwszy z podniesionemi rękoma, zagrodziła mu drogę.

Spojrzał, stanął: cała processya zatrzymała się przed nią.

— Toż co jest?—spytał.

— Przenoświętsy naczelni...

I nie mogła daléj; zalękła się tak, że głos urwał się jéj w gardle: język kołem stanął.

— Czego?

— O! o! ady! ady! wedle... poboru:

— Cóżto? was do wojska chcą? — a? — spytał naczelnik.

Interesanci zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

— Proszę! proszę cicho!

A potém niecierpliwie do Rzepowéj:

— Prędzéj! czego? bo niémam czasu.

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: „Burak! Rzepa! Rzepa! Burak, o!

— Musi być pijana!— rzekł jeden z otaczających.

— Zostawiła język w chałupie—dodał drugi.

— Czegóż chcecie?—powtórzył jeszcze niecierpliwiéj naczelnik.—Pijaniście, czy co?

— O, Jezusie! Maryja!—wykrzyknęła Rzepowa, czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jéj z rąk. —Przenoświętsy nacel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty bo to i spisy się już zaczęły i interesów w powiecie było mnóstwo, zresztą, z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

— Wódka! wódka. A kobiéta młoda i ładna.

Potém do Rzepowéj takim głosem, że mało się pod ziemię nie schowała:

— Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie!

Poszedł śpiesznie daléj, a interesanci za nim powtarzając: „Panie naczelniku dobrodzieju!" „Słóweczko, panie naczelniku!" „Łaskawy naczelniku!"

. . . . . .

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho. tylko dzieciak Rzepowéj począł wrzeszczeć. Więc roz-

budziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nie swoim głosem:

— Aa! aa! aa!

Potém wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami: na krańcach widnokręgu grzmiało. W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowéj, gdy przechodziła znowu koło po-reformackiego kościoła z powrotem do Baraniéj-Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobném położeniu, dopiérobym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniéj rozpacznych, a zatém bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie, a przebolesne poczucie bezradności niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku: ani z ziemi ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę, jakimś niemniéj natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputacyą. A Rzepowa? Ten prosty naród gdy cierpi, to tylko cierpi i nic więcéj! Rzepowa w twardém ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jéj czoła i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynał oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: „Jaśku! Jasieńku mój serdeczny!" i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. Minęła wreszcie po-reformacki

kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury waliły się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś, jakby burza; od czasu do czasu błyskało, ale chłop nie pytał, rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał:

„Poszła Doda
Do ogroda
Pasternaku kupać,
A ja Dodę
Kijem w nogę:
Doda uciekać!
Uu, du!"

Ujrzawszy Rzepowę, stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął:

„Oj! pójdziewa w żyto,
Boś dobra kobiéto!"

I chciał ją złapać wpół, ale Rzepowa zlękłszy się o dziecko i o siebie, uskoczyła w bok; chłop za nią, ale że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił jéj jednak, tylko porwawszy kamień, rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, to téż przyklękła. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: „dziecko" i poczęła uciekać daléj. Zatrzymała się dopiéro pod krzyżem, a obejrzawszy się, spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i taczając się, szedł do miasta.

W téj chwili jednak uczuła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potém spojrzawszy na palce, spostrzegła krew.

Pociemniało jéj w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Zdaleka nadjeżdżał kabryolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszyński, z guwernantką ze dworu.

Pan Ościeszyński Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabryoletu i prosić na miłosierdzie Boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali: podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrzawszy nieznajomą kobiétę, stojącą pod krzyżem, zawołał:

— Kobiéto! kobiéto! siadajcie.

— Niech panu Bóg...

— Ale na ziemi, na ziemi.

O! byłto figlarz znany w całéj okolicy ten młody pan Ościeszyński, więc on tak zaczepiał wszystkich po drodze, a tak samo téż zażartował i z Rzepowéj, a potém zaraz ruszył daléj. Do uszu Rzepowéj doszły śmiechy jego i guwernantki; potém zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabryoletem w ciemnéj dali.

Rzepowa została sama. Ale nie darmo to mówią: „Baby i ropuchy, nawet siekierą nie zabijesz!" Po godzinie jakiéj, zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią: poszła daléj.

Cóż ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota, Panie Boże!—powtarzała, tuląc do piersi chorego Jaśka.

A potém widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć, jakby pijana.

— W chałupie pusta kołyseczka, a mój to ta, poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jéj czepiec z głowy; śliczne jéj włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blizko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: „A słowo stało się ciałem!" Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekłe, i zaczęła drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę!" Jakiś złowrogi miedziany odblask padał z chmur na ziemię. Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniéj i straszniéj. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: „Co to będzie! O! dla Boga!" Potém znów nastawała cisza. Czasem znów z głębiny leśnéj rozlegał się jakiś głos. Rzepową aż ciarki przechodziły, że to może „złe" śmieje się na bajorach, albo może gomon przesunie strasznym korowodem lada chwila. „Byle bez las, byle bez las!"—myślała sobie — a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza!" Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jéj głową: dészcz, pomieszany z gradem, lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słychać trzask gałęzi: ciemność!

Rzepowa uczuła, że słabnie.

— Ratunku! ludzie!—zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie słyszał. Wicher wbił jéj nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy-to zrozumiała, że już daléj nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potém ujrzawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niéj prawie na czworakach i złożywszy pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

— Boże! przyjm duszę moję!—wyszeptała zcicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, nakoniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur poczęły połyskiwać gwiazdy. Pod brzozą bieliła się nieruchoma ciągle postać Rzepowéj.

— Nau!—rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili, zdaleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach.

To Herszek, pachciarz z Wrzeciądzy, sprzedawszy w Osłowicach gęsi, wracał na noc do domu.

Ujrzawszy Rzepową, zlazł z woza.

X.

Zwycięztwo geniuszu.

Herszek z Wrzeciądza zabrał było Rzepową z pod brzozy i wiózł ją do Baraniéj-Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który, widząc że idzie burza, wyjechał z wozem na spotkanie kobiety. Kobiéta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory. Przyszły kumy i okadzały go święconemi wiankami, a następnie stara Cisowa kowalka zażegnywała chorobę z sitem w ręku i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zaraz pomogło, ale biéda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz, kiedy Rzepowa przyszła do przytomności i zaraz spytała o dziecko; on zamiast okazać jéj troskliwość, ozwał się chmurno. „Będziesz ty po miastach latać, a dzieciaka licho weźnie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!“ Więc dopiero kobiéta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto z pod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcéj powiedzieć, jak tylko krzyknąć: „Wawrzon!“ I spojrzała na niego przez łzy. A chłopa jakby podrzuciło

ze skrzynki, na któréj siedział. Przez chwilę cicho był, a potém powiada innym już głosem: „Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę żem cię ukrzywdził.“ To rzekłszy, ryknął wielkim głosem i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, żа takiéj kobiéty nie wart. Ale ta zgoda nie długo trwała. Smutek jątrzący się jako rana, zaczął ich zaraz jątrzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzał wilkiem w ziemię, Tak siadywał po całych godzinach jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak dawniéj, ale także milczała. Późniéj, gdy jedno i chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiéj urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie. O czémże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już niéma żadnéj rady i że dola ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł było do spowiedzi do księdza Czyżyka, ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa zamiast do kościoła, poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomódz, to on duszę dyabłu zaprzeda i poczeli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby klątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zbereźnik ściągnie tylko pomstę Bożą na całą Baranią-Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia. Rzepowa więc poszła po wodę przed karczmę, a po drodze słyszała, jak chłopaki mówili między sobą: „Idzie żołnierka!“ A inny chłopak powiada: „Nie żołnierka to, ale dyabłowa!“ Kobiéta nie rzekłszy słowa, poszła daléj, ale widziała jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę i do domu. A tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała i zawołał:

— Rzepowa!

Rzepowa zatrzymała się i pyta:

— Czego chcecie?

A on:

— Byliście u sądu w gminie?

— Byłam!

— Byliście u księdza?

— Byłam!

— Byliście we dworze?

— Byłam!

— Byliście w powiecie?

— Byłam!

— I nie wskóraliście nic?

Rzepowa tylko westchnęła, a Szmul znowu:

— Ny! jacy wyście głupi, to już w całéj Baraniéj-Głowie nikogo głupszego niéma! A wam po co tam było iść?

— A gdzież miałam iść?—rzecze kobiéta.

— Gdzie?—odparł żyd—a na czém ugoda stoi? na papierze; niéma papieru, niéma i ugody: podrzeć papier i basta!

— O, moiście wy! — rzecze Rzepowa — żeby ja miała ten, dawnobym ja go podarła!

— Ba! a to nie wiécie, że papier u pisarza? No... ja wiem co wy Rzepowa dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: niech Rzepowa, powiada, przyjdzie i mnie poprosi, a ja, powiada, papier podrę i basta!

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko chwyciła konewkę za ucho i poszła w stronę murowańca a tymczasem ściemniło się na dworze. . . . . .
. . . . . .

XI.

Skończona niedola.

Na niebie zaszedł już *wóz*, a weszły *kurki*, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa, jak zwykle będzie spał w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą, z pięściami wspartemi o kolana i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

— Gdzieś była? spytał ponuro Rzepa.

Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach ze szlochaniem i płaczem wielkim, zaczęła wołać:

— Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potém zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulitujże się choć ty nademną: mój serdeczny! Wawrzon! Wawrzon!

Rzepa wydobył z za skrzynki siekierę.

— Nie—mówił spokojnym głosem—już tobie przyszło na koniec, niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiéro ona spojrzała na niego z przerażeniem.

— Cóże ty chcesz mnie zamordować?

A on:

— No, Maryśko! nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potém będzie koniec: nawet nie poczujesz niebogo.

— Wawrzon i ty naprawdę?...

— Połóż głowę na skrzyni...

— Wawrzon!

— Połóż głowę na skrzyni! — wołał już z pianą na ustach.

— O! dla Boga! ratunku! ludzie! ratun...

Rozległo się głuche uderzenie, potém jęk i stuk głowy o podłogę; potém drugie uderzenie, słabszy jęk: potém trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste. Na podłogę lunął strumień krwi, węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potém trup jéj wyprężył się nagle i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potém szeroka krwawa łuna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.

EPILOG.

A teraz powiem wam coś na ucho, czytelnicy: Rzepy nie byliby wzięli do wojska. Taka ugoda jaką spisano w karczmie, nie była wystarczającą. Ale, widzicie, chłopi się na takich rzeczach nie znają, intelligencya, dzięki neutralności także niewiele, więc... więc pan Zołzikiewicz, który trochę wiedział o tém, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach rzuci kobiétę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa podpaliwszy zabudowania dworskie, poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim: ale że na okrzyk: „gore!“ zbudziła się już cała wieś, więc Zołzikiewicz ocalał.

I oto piastuje daléj urząd pisarza w Baraniéj-Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać Barbarę Ubryk i spodziewa się także, że panna Jadwiga uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą przyszłość okaże.

IV.

JANKO MUZYKANT.

JANKO MUZYKANT.

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta—powiada—to zapalę nad wami gromnicę; już z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodziejaby posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba!—powiada druga—a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a powiada, błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potém wziąwszy dziecko, pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie „krzcę“ w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i daję ci na przezwisko Jan, a teraz-że duszo „krześciańska“ idź, zkądeś przyszła. Amen!

Ale dusza chrześciańska nie miała wcale ochoty iść, zkąd przyszła i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mo-

gła i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kumy: „myślałby kto, kocię nie kocię, albo co!“

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał: choréj zrobiło się lepiéj. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał,“ ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakiém takiém zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłemi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzyszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanéj krajką i w słomianym „kapalusie,“ z pod którego obdartéj kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biédna komornica, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała odmieńcem.“ W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem, lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Byłto chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi, palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniéj, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo, zkąd się to takie uplęgło, ale na jednę rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie

też je słyszał, a jak tylko trochę podrósł, tak już o niczém inném nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem, albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szepleniąc:

— Matlu! tak-ci coś w boru „grlało!" Oj! oj!

A matka na to:

— Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, ze tam coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył, i odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie „Janko muzykant!"... Wiosną uciekał z domu, kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczyć; gdy koguty piały po zapłociach: to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wié, jakie on i w tém nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy, lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał pocichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: „U-ha!:" Słychać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: „Czegóż?" Skrzypki śpiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili," a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! jak Bóg dał!" Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Coby on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili." Takie deszczułki śpiewające. Ba! ale zkąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniéj pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzietam! Wolno mu tylko było słuchać, to téż i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim w ciemności:

— Nie pójdziesz-że ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili" i poważny głos basetli: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!"

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czyto na dożynkach, czy na weselu jakiém, to już dla niego było wielkie święto. Wlazł potém za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącemi

oczyma z ciemności. Potém zrobił sam sobie skrzypki z gonta i z włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziéj, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstszą i oczy coraz szerzéj otwarte, choć najczęściéj łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiéj i głębiéj...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczéj jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednowku przytem przymierał głodem, bo żył najczęściéj surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącéj. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi, więc tam chłopak duszę swoję całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, któréj niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby przynajmniéj raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżéj... Biédne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnéj nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo oddawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami,

więc lokaj przesiadywał na drugiéj stronie u panny pokojowéj. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wschodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległéj ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnéj głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególniéj wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek nakształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek téż patrzył coraz chciwiéj. Przykucznięty w łopuchach, z łokciami opartemi o chude kolana, z otwartemi ustami, patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzezwyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąc ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziéj. Czary, wyraźnie czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź, Janku! w kredensie niéma nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywał ci-

cho, to głośniéj: „Idź! pójdź! weź!“ Lelek poczciwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: „Janku, nie! nie!“ Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniéj mruczały: „Tam niéma nikogo!“ Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biédny, mały, skulony kształt zwolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: „Idź! pójdź! weź!

Biała koszula migotała coraz bliżéj drzwi kredensowych. Już nie okrywają jéj czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Napróżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: „nie! nie!“ Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potém ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przytém ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami, z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać, ani słychać.

Po chwili dopiéro z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Janek zatail dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potém... Eh, Boże! Słychać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: O! dla Boga! szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biédny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, niewiedzący gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biédę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać, czy jak?... Trzebaż przytém miéć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da rózgą, żeby na drugi raz nie kradł i cała rzecz.

— Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę!

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka i wyniósł ku stodułce. Dziecko czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalękło; dość że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wié co z nim zrobią? Dopiéro jak go Stach w stodole

wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopiéroż Janek krzyknął:

— Matulu! i co go stójka rózgą, to on: „Matulu! matulu!“ ale coraz ciszéj, słabiéj, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli!...

Biédne potrzaskane skrzypki!...

Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Tożto małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyźbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w któréj nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła poprawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana, śpiewały: „Oj na zielonéj, na runi!“ a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umiérającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co synku?—ozwała się matka, którą dusiły łzy...

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

— Da ci, synku, da!—odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jéj twardéj piersi buchnęła wzbierająca żałość, więc jęknąwszy tylko: „O, Jezu! Jezu! padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci Janku!

*

* *

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem co się o nią starał. Kawaler mówił:

— *Quel beau pays que l'Italie.*

— I co to za lud artystów. *On est heureux de chercher la-bas des talents et de les protéger...* — dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu pierwszego.

str.

I. Stary sługa 7
II. Hania 27
III. Szkice węglem 193
IV. Janko muzykant 285

Stanford University Libraries
3 6105 124 433 090

PG
7132
S2
188
v.1

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.